11

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XV. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LIX.

TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec.

1890
3

WARSZAWA.

1890.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Broszurę, zawierającą **„Zestawienie przedmiotów, zawartyc w 52 tomach „Ateneum“ z lat 1876—1888“**, *odbitą w niewielkiej liczbi egzemplarzy, można nabywać w redakcyi „Ateneum“ po kopiejek 70 z egzemplarz, a z przesyłką pocztową po kop. 80.*

Druk ukończono dnia 2 lipca 1890 r.



DOBROCZYNNOŚĆ PRYWATNA
W PARYŻU.

Warszawa słynie, jak wiadomo, z dobroczynności. Takie przynajmniéj mniemanie o sobie zdaje się miéć Warszawa sama. Spotkać się bowiem można często z wyrażanemi w tym sensie twierdzeniami w miejscowych pismach. Czy i o ile dobra ta renoma i towarzyszące jéj *satisfecit* własnego sumienia są usprawiedliwione? Sądzimy, iż odpowiedź na to pytanie dostarczona być może jedynie drogą porównawczych badań. Jeżeli co bowiem względnego jest na świecie to właśnie dobroczynność. Ostatniemi czasy jeden z nadsekwańskich przeglądów zamieścił cały szereg artykułów poświęconych obrazowi miejscowéj dobroczynności prywatnéj. Chcielibyśmy na tém miejscu streścić rezultaty badań, które p. Maxime du Camp przeprowadził w tym kierunku z uznaną powszechnie kompetencyą i talentem. Ze względu na rozmiary przedmiotu (praca akademickiego pisarza, osobno wydana, zajmuje dwa grube tomy o 1,000 przeszło stronach) i szczupłość miejsca, którém rozporządzamy, musimy poprzestać na bardzo suchéj analizie, wyrzekając się wszelkiéj pretensyi do malowniczości, za pomocą któréj p. du Camp potrafił ożywić swoje referaty, i do zabawienia naszych czytelników. Dostarczymy im natomiast sporo przedmiotowego materyału i obfity temat do rozmyślań. Praca p. du Camp nie jest zresztą także wyczerpująca. Liczba zakładów paryskich, należących do jednego tylko działu dobroczynnéj inicyatywy, poświęconych mianowicie opiece nad młodzieżą ubogą obojéj płci, wynosi 126. Szczegółowy ich przegląd byłby niemożliwy w każdém, dla szerszéj publiczności przeznaczoném piśmie. P. Maxime du Camp ograniczył się do przedstawienia swym czytelnikom pewnéj tylko liczby zakładów typowych. Pójdziemy w ślad za nim, zostawiając także na boku, za

jego przykładem, cały wydział dobroczynności publicznéj, urzędowéj, która sama jedna rozporządza funduszami, równającemi się budżetowi drugorzędnego państwa. Nareszcie odróżnił p. du Camp w swych sprawozdaniach cztéry gałęzie prywatnéj działalności miłosiernéj, wyłącznie uwzględnianéj przez się, a mianowicie instytucye zostające pod mniéj lub więcéj bezpośrednim wpływem kościoła katolickiego, instytucye pozbawione wszelkiego religijnego charakteru, instytucye protestanckie i wreszcie specyalną grupę zakładów, należących do gminy izraelskiéj. Tak i my uczynimy, starając się głównie o zebranie i ustawienie tych danych, które mogą dla naszych czytelników stać się wskazówką, lub pobudką do przedsięwzięć w wytkniętym przez nie kierunku, jeżeliby mimo wspomnianéj wyżéj renomy, zostawało w Warszawie i jéj okolicach miejsce dla takiéj przedsiębiorczości, o czém, nie znając dostatecznie miejscowych stosunków, przesądzać nie chcemy.

I. Instytucye katolickie.

A. Zakłady t. zw. „Petites soeurs des pauvres“.

Jedna z największych instytucyi miłosiernych, jakie istnieją w Europie, założona została w ciągu bieżącego stulecia przez jedną służącę, dwie wyrobnice i biednego wikaryusza przy ubogiéj parafii. W ciągu zimy 1839 r., wyjątkowo srogiéj, Joanna Jugan, mieszkająca w Saint-Servan, nadmorskiéj mieścinie bretońskiéj, znajduje na ulicy starą, schorowaną kobiétę, drżącą od zimna i głodu. „Chodź do mnie, mówi jéj, będziesz mi służyła za matkę“. I oto początek wielkiego dzieła. Joanna Jugan posiada 600 fr. majątku, uzbieranego w ciągu dwudziestoletniéj służby przy staréj pannie, która świéżo umarła. To i dosyć na dwoje. To nawet za wiele, niebawem bowiem Joanna przygarnia drugą ofiarę nienawistnego losu, nędzy i zimna. Z końcem zaś 1841 r., nająwszy starą opuszczoną karczmę, pomieszcza w niéj 20 starych żebraczek, nie mających już sił nawet do wyciągania ręki po jałmużnę. W jaki sposób starczy im na utrzymanie? Żebrze sama za nie i dla nich. Duch cały i sekret instytucyi, pokrywającéj obecnie Paryż swojemi zakładami, mieści się w téj odpowiedzi. W rzeczywistości, kierunek przedsięwzięcia przeszedł wkrótce do rąk wspomnianego wyżéj księdza, który dla nabycia owéj na przytułek zamienionéj karczmy, pozbył się swojego zegarka, kielicha złotego (pamiątki po pierwszéj mszy swojéj) i wszystkiego co miał przy sobie. Zarząd domu objęły dwie niewiasty mające powołanie do stanu zakonnego. Stąd powstał zakon „Siostrzyczek ubogich“. Ale Joanna Jugan pozostała do końca życia swojego (w r. 1873) główną dostarczycielką

niezbędnych funduszów, pierwszą jałmużniczką instytucyi, która żyje dotąd z jałmużny.

Dziś instytucya ta posiada w Paryżu pięć domów przytułku, w których przeciętnie znajduje schronienie 1,200 starców i staruszek, pielęgnowanych przez 100 siostrzyczek. Żaden z tych zakładów nie rozporządza jakimkolwiek zabezpieczonym funduszem. Wszystkie żyją z dnia na dzień. Tak chce reguła zakonu. W r. 1875 siostrzyczki odrzuciły ofiarę dość znacznego kapitału, z którą zgłosił się ówczesny naczelny redaktor „Figara“, de Villemessant. Każdego dnia z każdego zakładu wyruszają dwie siostry i wyjeżdża jeden jednokonny wózek. Siostry chodzą od domu do domu i z jednego piętra na drugie piętro. „Nicby to nie było — mówią one wesoło (bo wesołe są wszystkie), — gdyby się miało „kolana na zmianę“. Wózek objeżdża restauracye i targi, zbierając skrzętnie ofiarowywane sobie resztki jadła, okruchy chleba, jarzyny, owoce. Jakoś to wystarcza. Największy kłopot mają siostrzyczki o kawę, bez której obejść się nie mogą paryscy staruszkowie i paryskie staruszki. Fusy są téż pożądane, ale nie staje ich czasem. Przyjmują się także chętnie stare ubrania, stare trzewiki, których reperowaniem trudnią się najczęściéj sami mieszkańcy przytułków. Regulamin nie narzuca im zajęcia żadnego, ale pospolicie proszą oni o nie. Wszystko razem składa się na utrzymanie skromne zaiste, ale dostateczne. Ani śniadania o ósméj rano, ani objadu o 12-éj, ani wieczerzy o 5-éj nie brakuje. Dwa razy na tydzień drzwi się otwiérają i pensyonarze i pensyonarki mogą do wieczora przechadzać się po mieście i odwiédzać znajomych. Czasem odwiedziny te dostają się w udziale sąsiedniemu szynkowi; ale siostrzyczki są wyrozumiałe; tylko w razie gwałtowniejszego nadużycia, skandalu wywołanego za powrotem do gościnnego domu, wymierzają karę, która polega na pozbawieniu winowajcy lub winowajczyni — jednego lub kilku następnych spacerów, i która wystarcza dla utrzymania karności. Płeć męska i żeńska są całkowicie i szczelnie oddzielone od siebie. Nawet ogród nie jest wspólny. Małżeństwa, jeżeli się trafiają w jednym domu, mogą widywać się każdego wieczoru, ale na chwilę tylko, przed udaniem się na spoczynek. Zobaczymy późniéj, iż ten artykuł regulaminu nie jest stosowany w innych istytucyach. I zdaje się téż zbyteczny. Dorywczym stosunkom między rozłączonemi w ten sposób towarzyszami i towarzyszkami jednego i tego samego losu przewodzi wielka ceremonialność. „Ci panowie“, mówią staruszki. „Te panie“, mówią staruszkowie. Dzień 19 marca, dzień S-go Józefa, uroczyście jest obchodzony. Przybywa zwykle arcybiskup paryski i przypasawszy fartuch, sam obsługuje staruszków przy

obficiéj zastawionym stole. Imieniny przełożonéj są także dniem świątecznym. Dokonywa się wtedy rzeź na podwórkach, kędy spora liczba wszelakich gatunków drobiu żywi się nawiezionemi z miasta odpadkami. Maxime du Camp był świadkiem takiéj uroczystości. Przy obiedzie każdy ze staruszków otrzymał kieliszek wina, filiżankę kawy czarnéj, pomarańczę i kawałek tortu. Najstarszy domownik wypił zdrowie przełożonéj i uwieńczył jéj ukwefione czoło odrobiną kwiatów. Poczém zaczęły się tańce przy dźwięku orkiestry, bo była i orkiestra, złożona z akordeonu i dwóch bębenków z dzwonkami. Jedna ze siostrzyczek uderzała sama w bębenek i zdawała się znajdywać wielką przyjemność w téj rozrywce muzykalnéj. Nie znać téż było na niéj, i nie znać na żadnéj z jéj towarzyszek śladu doświadczanych niewygód, niewczasów i umęczeń. Jednak jadają one wtedy tylko, kiedy jest co do jedzenia po wyżywieniu całego domu, wstają o wpół do piątéj rano, latem i zimą, a sypiają na prostych siennikach, kiedy staruszkowie i staruszki wylégają się w wygodnych łóżkach. Dzięki wspaniałomyślności jednego dobroczyńcy, każde łóżko posiada materac na sprężynach, dwa inne materace, dwie kołdry i pierzynę. Ćwiczenia religijne ograniczone są, nawet dla siostrzyczek do bardzo skromnych rozmiarów. Służba boża pełni się głównie przy pielęgnowaniu przytulonych biédaków. Po sześciu latach przełożona ustępuje z urzędu i przeniesioną zostaje do innego domu, gdzie powierzone ma sobie najpośledniejsze funkcye.

B. Zakłady Braci Ś-go Jana Bożego.

Znane są dzieje założyciela tego zakonu, Jana Ciudad, który dotąd w oczach nauki pozytywnéj uchodzi za szaleńca, ale którego kościół katolicki umieścił między swymi świętymi. Urodzony w r. 1495 w Portugalii, Jan Ciudad, doświadczał istotnie, jak się zdaje, kilkakrotnych napadów szaleństwa w ciągu burzliwego i rozmaitemi kolejami doświadczonego zawodu. Zaczął zaś od tego, że wypędzony został z wojska za kradzież. Ale w r. 1540 znajdujemy go w Hiszpanii, w Grenadzie, zajętego pomieszczeniem, w zaimprowizowanym przez się szpitalu, 46-ciu zebranych z ulicy żebraków. Bracia Ś-go Jana Bożego sprowadzeni zostali do Paryża w r. 1612 przez Maryę Medycejską. Dom, przez nich wówczas zajęty, przekształcony został późniéj na zakład publiczny. Jest to dzisiejszy szpital *de la Charité.* Dom, w którym obecnie bracia pielęgnują chorych, przy ulicy Oudinot, założony został w r. 1842. Odwiedzaliśmy w nim jednego z naszych znajomych, zmuszonego do poddania się bolesnéj operacyi. Jest

to właściwie rodzaj hotelu, w którym mieszkanie, usługa i pożywienie chorego kosztuje i kosztuje dość drogo, bo od 15 do 20 fr. dziennie. Nocny dozór płaci się nawet osobno, po 5 fr. Ale wszystko jest wyborne: pokój czysty, jedzenie obfite i zdrowe, powietrze możliwie najlepsze, dzięki obszernemu ogrodowi i suto używanym środkom dezynfekcyjnym, usługa doskonała, najlepsi lekarze i chirurgowie na zawołanie, a koszt lekarstw, bandaży, opatrunków, i t. d. wyniósł dla naszego znajomego, po dwóch tygodniach, zaledwie kilkanaście franków. Znany krytyk teatralny, Sarcey, nie zaniechał téż przed kilkoma laty, choć niedowiarek, prosić o gościnę w tym domu. Czy bracia Ś-go Jana pokrywają w nim swoje wydatki, czy nawet ciągną zeń zyski, nie umiemy powiedzieć, ale posiadają oni inny zakład w Paryżu, przy ulicy Lecourbe, co do którego nie może być wątpliwości. Tu bowiem znajdują gościnę chore dzieci i znajdują ją bezpłatnie, albo tak jakby bezpłatnie. Rodzice tych biédnych dziatek obowiązani są wprawdzie do płacenia wynagrodzenia, które wynosi od 50 centymów na dzień do 50 centymów na miesiąc (*sic*). Dla czego? Dla tego, że doświadczenie pokazało, iż rodzice, od których zakład dobroczynny nie wymaga żadnéj opłaty, zapominają wkrótce o swoich dzieciach i porzucają je całkowicie. Trafia się nader często, iż skromna owa opłata, któréj z tego powodu żądają bracia Ś-go Jana, przestaje być uiszczaną; w tym przypadku zakład obejmuje rodzicielskie prawa nad zaniedbaném dzieckiem. Przyjmują się tu dzieci chore, od 5 do 6 lat, za wyłączeniem epileptycznych i idyotów. Zatrzymują się zaś do czasu, który pierwéj był ograniczony do lat ośmnastu, poczém dobroczynność publiczna rozciągała nad niemi swoją opiekę i pomieszczała je w szpitalu chorób nieuleczalnych. Dziś nie ma żadnego terminu określonego. Zakon Ś-go Jana Bożego jest także zakonem żyjącym z jałmużny. Nie przyjmują jednak bracia ofiar w naturze, przeznaczonych do kuchni. Potrzebują bowiem dla swojéj specyalnéj klienteli wyborowych artykułów spożywczych. Dzieci przy ulicy Lecourbe siadają cztery razy na dzień do stołu: zupa na śniadanie, mięso i jarzyny na obiad, chléb na podwieczorek, zupa i jarzyny na kolacyę. W dodatku najpospoliciéj każdodzienne *menu* zaczyna się od szklanki napełnionéj tranem. Pomieszczenie jest przestronne, obficie zaopatrzone w powietrze, o szerokich korytarzach i obszernych salach i sypialniach. P. Maxime du Camp zapewnia, iż gorzéj sypiał w rozmaitych pensyach, w których przebył lata dziecinne. Zakład daje obecnie przytułek 210 dzieciom. Nad losami instytucyi czuwa komitet świecki, złożony z ks. de Mortemart, hr. le Pelletier d'Aunay i hr. de Thury. Rada municypalna paryska udzieliła jéj świéżo 1,500 fr. rocznéj subwencyi, po

długich rozprawach, w ciągu których jeden z członków zgromadzenia miejskiego, motywując odstępstwo od anty-klerykalnych zasad, do którego uczuł się nakłonionym w tym przypadku, odezwał się z tém, że „żaden człowiek świecki nie podjąłby się ani za srebro, ani za złoto, tego rzemiosła, którém trudnią się ci zakonni bracia“.

C. *Zakład księdza Roussel.*

Osobistość księdza Roussel, a nawet jego działalność w pewnym kierunku, uległa w ostatnich czasach zarzutom, które srodze skompromitowały, w oczach opinii, całość podjętego przezeń i z niezrównaną energią przeprowadzonego dzieła. Los to wszystkich przedsięwzięć ludzkich, a zwłaszcza takich, które polegają na inicyatywie pojedyńczéj. Zwykłym też trybem opinia nie umiała odróżnić dzieła i jego przymiotów od człowieka, który związał z niém swoją osobistość, i jego ułomności. Nie mogąc tu roztrząsać oskarżeń, których zasadność nie została zresztą do téj pory stwierdzona dostatecznie, jesteśmy w możności, tak przynajmniéj sądzimy, przejścia nad niemi do porządku dziennego. Człowiek okazał się ułomnym, dajmy na to, ale dzieło jego wywołało pierwéj ogólny poklask, ogólny entuzyazm, a wreszcie bezprzykładny prawie poryw ofiarności publicznéj, i zasługiwało na nie. Tak mniemamy dziś jeszcze. P. Maxime du Camp, przyglądając się mu przed kilkoma laty, ocenił je niezależnie od późniejszych przygód, których nie przewidywał. Pójdziemy i tym razem w jego ślady.

Jest w Paryżu, jak wspomnieliśmy wyżéj o tém, 126 zakładów dobroczynnych (163 w departamencie Sekwany), w których 10,180 dzieci otrzymuje przytułek, trochę nauki i jakie takie początki wykształcenia rzemiosłowego. Z téj liczby 18 tylko zakładów opiekuje się chłopcami. Dla czego tak jest, trudno powiedzieć tutaj. Dość, że za sprawą właśnie téj faktycznéj nierówności, malcy, puszczeni samopas w murach stolicy i trawiący czas na włóczęgostwie, jeśli nie gorzéj, stanowią jedną z wielkich plag, a nawet jedno z wielkich niebezpieczeństw olbrzymiego miasta. I z tego też stanu rzeczy wzięła swój początek inicyatywa ks. Roussel. „Co tu robisz? — spytał on raz jednego z tych włóczęgów, którego zobaczył szperającego w stosie wyrzuconych na ulicę nieczystości. „Szukam czegoś do zjedzenia“. Ks. Roussel zabrał do siebie głodnego malca, i nie domyślając się tego, założył, tak czyniąc, całą instytucyę. Malec ów bowiem, w ten sposób przygarnięty, obudził w nim myśl, która odtąd stała się na długie lata jego myślą przewodnią. Działo się to w r. 1865. W r. 1866 ks. Roussel najmował już na przedmieściu paryskiém, w Auteuil, osobny dom

dla pomieszczenia licznych i przybywających ciągle współtowarzyszy biédnego włóczęgi. W pierwotném założeniu instytucyi chodziło tylko o oswojenie zbieranych na ulicy chłopiąt z abecadłem i katechizmem i przygotowanie ich do 1-éj komunii, poczém powierzanoby je opiece licznych towarzystw opiekuńczych (*de patronage*), lub poszczególnych osób dobroczynnych. Stąd nazwa zakładu: *Oeuvre de la 1-ère Communion.* Około r. 1869 jednak postanowił ks. Roussel połączyć zakład ze szkołą rzemiosłową. Zaczął od warsztatu szewckiego, do którego przyłączyły się stopniowo inne: stolarskie, ślusarskie, krawieckie i t. d. W r. 1878 akademia francuska przyznała ujawnionym zasługom dobroczynnego i z jałmużny utrzymującego się przedsięwzięcia, nagrodę imienia *Montyon* w kwocie 2,500 fr. Ale ks. Roussel miał w tym czasie do 200,000 fr. długów, i położenie jego, oraz jego zakładu zdawało się rozpaczliwém, gdy nie tracący odwagi i niezmordowany sługa boży zjednał dla swego przedsięwzięcia jedną z wielkich potęg stołecznych. Potęgą tą był „Figaro". Co może ta potęga, w porozumieniu z niewyczerpaną ofiarnością mieszkańców wielkiéj stolicy, o tém świadczą cyfry, podług których, sumy zebrane przez „Figaro" na rozmaite cele dobroczynne w ciągu jednego dziesięciolecia, 1871 do 1882 r. wynoszą 3,541,063 fr. „Figaro" otworzył tedy subskrypcyę w swoich kolumnach, p. Bucheron (Saint-Genest) napisał rozczulający artykuł i ks. Roussel znalazł się po ośmiu dniach w posiadaniu kapitału wynoszącego 331,167 fr. 35 c. W sześć lat późniéj, gdy Maxime du Camp zwiedzał zakład, liczba dzieci przygarniętych przezeń od daty założenia, sięgała 6,000. Pochodzenie tych chłopiąt bywa bardzo rozmaite. Znaczną część przysyłają rodzice sami, płacąc, jeżeli mogą, od 10 do 40 fr. miesięcznie, za ich utrzymanie, i najczęściéj przestając płacić po kilku miesiącach. Nie mniéj obfitego kontyngensu dostarczają sądy policyi poprawczéj, unikając dosłownego stosowania litery prawa, które orzeka karę więzienia za włóczęgostwo (*vagabondage*), albo zastępując w ten sposób karę, która odsyła młodych przestępców do domu poprawy (*Correction paternelle*). Nowo-pomieszczone w zakładach dzieci uciekają często, ale wracają same najczęściéj; po sześciu zaś tygodniach nie ma prawie przykładu takich ucieczek. Około 20 chłopaków pracuje w ogrodzie, ucząc się szczepienia drzew i uprawy rozmaitych roślin. Największą zaś liczbę zajmuje ostatni z założonych warsztatów: drukarnia na większą skalę, z prasami poruszanemi parą. Dla dostarczania zatrudnienia téj drukarni, ks. Roussel założył dwa pisma: „*La France illustrée*" i „*L'Ami des Enfants*", które cierpią jednak na brak prenumeratorów. W ogóle zresztą, mimo rozpowszechnionych w tym względzie przesądów a nawet głośno rozsiewanych

podejrzeń, wszystkie warsztaty więcéj kosztują niż przynoszą. Ks. Roussel odrzucił z umysłu propozycye kilku przedsiębiorców, które byłyby mu pozwoliły istotnie ciągnąć zysk z pracy dziecinnéj, obracając ją do robót łatwych, ale nie dających fachowego wykształcenia, jako to do wyrobu wachlarzy papierowych lub tekturowych pudełek. P. du Camp przeglądał rachunki. W r. 1882 rozchody w warsztatach samych wynosiły 29,645 fr. 75 c., zyski tylko 27,294 fr. 60 c. Przyczynia się do tego rezultatu troskliwość z którą ks. Roussell unika przeciążania młodocianych sił, mnożąc rekreakcye, zachęcając do zabaw i ćwiczeń gimnastycznych. Tym ostatnim regulamin zakładu wyznacza bardzo szerokie miejsce. Nigdy zaś żadne dziecko nie jest łajane, jeżeli oddając się zabawie i ruchowi, podarło lub zniszczyło odzienie, czy obówie. Ks. Roussel jest zwolennikiem ruchu, chociażby najgwałtowniejszego. Ogół wydatków wyniósł w r. 1882-im: 211,753 fr. 50 c., z czego wynikło, iż mimo funduszów dość znacznych, złożonych na utrzymanie pewnéj liczby łóżek (do 100,000 fr. rocznie), mimo dochodu z opłat pobieranych, od rodziców (24,600 fr.), deficyt w tym roku doszedł do 87,183 fr., 50 c. Każde dziecko kosztuje, według tego rachunku 1 fr. 77 c. dziennie, łącznie zaś z utrzymaniem domu 1 fr. 94 c., co podług pana du Camp stanowi cud oszczędności. Zauważymy jednak, że podług ostatnich sprawozdań, ogłoszonych przez nasz polski dom przytułku w Paryżu, imienia Ś-go Kazimierza, oszczędność w nim osiąganą jest nierównie większa, wydatek bowiem całkowity, równa się zaledwie 1 fr. 10 c. na dobę i osobę, i tym tylko sposobem z dochodem doprowadzonym przy wielkich wysileniach do 50,000 fr. rocznie, zakład ten jest w możności utrzymania 126 osób. Prawda, że dusza się ściska, patrząc na ubóstwo, z którém walczyć muszą polskie nasze siostrzyczki w progach tego, dzieciom i starcom, dziewczętom i chłopcom naszym schronienie dającego zakładu. Co się tyczy rezultatów dobroczynnych osiąganych w zakładzie ks. Roussel, to podług pana du Camp, nie podlegają zakwestyonowaniu. Nie wszyscy wprawdzie malcy, znajdujący w nim pomieszczenie, wyrastają na dobrych, przykładnych robotników. Procent tych ostatnich sięga jednak 20%. Trzeba się i z tego cieszyć.

D. Stowarzyszenie pań, t. zw. „Dames du Calvaire.“

Stowarzyszenie to nie ma żadnego podobieństwa do zakonu, ani żadnéj wspólności z zakonném życiem. Należą doń damy, zajmujące częstokroć wysokie stanowiska w świecie i nie opuszczające tych stanowisk, oddalające się tylko na dłuższy lub krótszy czas od przyjemno-

ści i rozrywek światowych, od uciech i wygód domowego, nieraz wykwintnego ogniska, aby opasawszy jedwabną, czy koronkową suknię białym fartuszkiem, nieść pomoc ofiarom jednéj z najstraszniejszych chorób, którym podlega biédna, cierpiąca ludzkość. W r. 1843 w Lugdunie, zawezwano dorożkarza do przewiezienia biédnéj kobiéty, która uległa oparzeniu wskutek pogorzeli, i któréj ciało stoczył w dodatku rak nielitosny. Kobiéta ta znajdowała się w tak strasznym stanie, że dorożkarz odmówił swojéj posługi. Wtedy pani Garnier, wdowa po miejscowym przemysłowcu, wzięła na swoje plecy nieszczęśliwą, i zaniosła ją do najętego przez się i przeznaczonego dla niéj domku. Była to pierwsza dama-kalwarystka. Regulamin ułożony przez nią, w porozumieniu z ówczesnym arcybiskupem lugduńskim, ks. de Bonald, i dotąd obowiązujący, tak określa program i cel stowarzyszenia. Składa się ono: 1) z pań (wdów), przybranych (*agrégées*), które przychodzą do szpitala (przeznaczonego dla kobiét dotkniętych chorobą raka), i opatrują chorych; 2) z pań mieszkających w szpitalu i poświęcających się stale pielęgnowaniu cierpiących; 3) z pań kwestujących; 4) z pań stowarzyszonych, płacących roczną składkę, która wynosi co najmniéj 20 fr. Probowała pierwotnie pani Garnier rozciągnąć dobroczynną działalność instytucyi do kobiét, u których nie ciało, lecz dusza uległa zabójczéj zarazie. Usiłowania jéj w tym kierunku nie były jednak uwieńczone powodzeniem i ostatecznie zaniechane zostały całkowicie. W Paryżu fundatorką instytucyi była dopiéro w 1874 r. pani Jousset, wdowa po znanym drukarzu. Znalazło się na razie 5 stowarzyszonych. Po roku było ich już 246. Jedna z nich ofiarowała swoje klejnoty, bardzo liczne i drogocenne, dla wzniesienia obszerniejszego zakładu, z tém jedynie zastrzeżeniem, aby imię jéj nie było nigdy wyjawione. Inna jeszcze, wielka elegantka, zwróciła uwagę pana du Camp chodząc przez całą zimę w jednéj i téj saméj, dość skromnéj sukni wełnianéj, a nie spowiadając się przed nikim z przeznaczenia, udzielonego dziesiątkom tysięcy fr., które dawniéj szły, w ciągu każdego sezonu do Wortha. Tym sposobem zakupiony został przy ulicy Lourmel obszerny grunt 3,000 metr. kwadr. i zbudowano szpital, dający bezpłatnie przytułek nieszczęśliwym ofiarom, skazanym na długie, przez szereg lat częstokroć przeciągające się męczarnie. Sypialnie chorych mieszczą się na 1-ém piętrze. Drugie piętro zajmują damy-rezydentki, z których każda ma swój pokoik, dowolnie umeblowany, płacąc zań, oraz za stół we wspólnéj jadalni, tak jak w hotelu. Niektóre z tych pokoików odznaczają się wykwintnością, a nawet pewnym zbytkiem, zdradzają delikatnemi zapachami wytworne upodobania mieszkanek. Wszystkie celują czystością wzorową.

Na trzeciém piętrze mieści się służba, składająca się z dziewcząt, które poświęcają się także, bo nie pobierają zasług, ale które pełnią tylko najmniéj wstrętne zajęcia. Np. gatunkowanie bielizny, oddawanéj do prania, jest udziałem dam stowarzyszonych. Między temi ostatniemi najwięcéj poszukiwane przez chorych są te, które należą do sfer najarystokratyczniejszych. Opatrunek, z ich rąk przyjmowany, zdaje się sprawiać tym nieszczęśliwym osobliwą przyjemność. Słychać w ich ustach takie frazesy: „księżna przyjechała dziś sama swoim angielskim wózkiem!“—Wbrew dość rozpowszechnionemu mniemaniu szpital nie zawiera i nie zawierał nigdy trędowatych. Choroba ta, która w XIV wieku zapełniała 19,000 szpitali (*léproseries*, *maladreries*) w Europie, 2,000 we Francyi saméj, stanowi dziś rzadkość. I tak, to, co się widzi w progach zakładu przy ulicy Lourmel, jest dość strasznéni.

E. Zakład dla młodych suchotnic.

Instytucya to świéża i, jak dotąd, wyłącznie paryska, ale wzorem poprzednio tu naszkicowanych i wielu innych, biorąca swój początek z prowincyi. W r. 1854-ym ksiądz Ludwik de Soubiran, syn arystokratycznéj rodziny prowanckiéj, organizuje w Castelnaudaury (Aude) zakon sióstr Matki Bożéj Opiekuńczéj (*Marie Auxiliatrice*). Celem zakonu: przygarnianie młodych dziewczyn pozbawionych przytułku, i zapewnianie im opieki tymczasowéj (przez 3 miesiące w zasadzie). W r. 1872-im siostry przybywają do Paryża, i natychmiast instytucya wchodzi na drogę szybkiego rozwoju. Założona zostaje szkoła z internatem i eksternatem. Osobny domek otwiéra swoje gościnne podwoje dla kobiét, owdowiałych lub osamotnionych, a nie rozporządzających dostatecznemi środkami dla zabezpieczenia sobie, na osobności, pożądanych wygód. W innym wydziale znajdują pomieszczenie młode nauczycielki, szukające miejsca. W innym jeszcze—robotnice lub służące, pozbawione chwilowo zarobku. Wejście nie jest bezpłatne—dla tych, które mogą płacić. Opłata wszelako wynosi dla wszystkich kategoryi (za wyjątkiem wdów (*dames seules*), przyjmowanych na mieszkanie i nie należących pospolicie do najuboższéj klasy), 5 centymów dziennie. Wdowy mieszkają w osobnych pokoikach. Wspólne sypialnie nauczycielek i wyrobnic odznaczają się czystością, posiadają wygodne łóżka i wytwornie urządzone umywalnie. Właściwy dom przytułku dla suchotnic założony został obok tych wszystkich dawniejszych urządzeń dobroczynnych, i jak się to często trafia w tego rodzaju przedsiewzięciach, powstał z przypadkowego zbiegu okoliczności. Między przygarniętemi wyrobnicami znalazła się jedna dot-

knięta chorobą piersiową, znajdującą się w początkowéj fazie rozwoju. Szpitale stołeczne przyjmują tego rodzaju chorych tylko w ostatnim i nadziei żadnéj nie zostawiającym już peryodzie. Pomyślano natychmiast o uczynieniu zadość wynikającéj stąd potrzebie, najęto w Livry, opodal od miasta, cztery domki i pomieszczono w nich na początek 15 chorych. Niebawem utworzyła się osobna spółka dobroczynna dla nabycia dominium Villepinte o 18 kilometrów od Paryża, z pięknym parkiem obejmującym 18 hektarów. W r. 1883-im p. du Camp znalazł tam dziewcząt 73. Gościna, która jest im tam udzielana, nie przedstawia bynajmniéj cechy klasztornego życia. Msza odprawia się codzień w miejscowéj kaplicy o wpół do ósméj, ale siostry same jedne słuchają jéj, dziewczęta zaś tylko w niedzielę i za uprzedniém przyzwoleniem doktora. Kaplica zresztą mieści się na strychu, a siostry mieszkają gorzéj jeszcze, wypędzone z zajmowanych poprzednio pokoików przez przysparzającą się ciągle liczbę chorych. Największy kłopot mają, biédaczki, z wyżywieniem swoich pensyonarek. Mimo dość obficie zaopatrzonego stołu (dwóch mięs i rozmaitych jarzyn, podawanych stale na obiad), chore kapryszą, dopominają się o przysmaki, żądają ostryg, homarów, krewetek. Jakoś i to się znajduje zwykle. — Do dnia 31 grudnia 1883 roku 229 dziewcząt przekroczyło progi tego wiejskiego ustronia. Z tych 74 (chorych w 1-ym stopniu) odzyskało całkowicie zdrowie; 59 (w 2-im stopniu) doświadczyło znacznego polepszenia; 23 (w 3-im stopniu) umarło. Większa część łóżek należy do poszczególnych dobrodziejów, którzy złożyli na ich utrzymanie 1,000 fr. renty. Ci rozporządzają swemi łóżkami dowolnie. Niektóre łóżka mają kilku właścicieli, którzy porozumiewają się w tym przypadku między sobą, co do udzielić się mającego przeznaczenia. Rodziny mogą odwiedzać chorych w niedzielę. Osobna na ten cel przeznaczona sala, pozostaje pod dozorem jednéj ze sióstr. Przechadzki z przybywającemi w ten sposób gośćmi po parku zostały wzbronione, wskutek ujawnionych nadużyć. Dostawały się to drogą do rąk chorych rozmaite przysmaki, kiełbasy z czosnkiem, a nawet butelki z gorzałką, które zgubnie oddziaływały na kuracyę. Są także w Villepinte trzy osobne pokoiki dla chorych, mogących płacić za swoje pomieszczenie i wygody. Zakład cieszy się dziś ustaloną reputacyą. Wielkie magazyny (*„du Bon Marche,“* *„Louvre“*) posyłają tu często swoje panny sklepowe. Jednak stary zamek, w którym rozgospodarowano się jak można było najlepiéj, nie zupełnie odpowiada swojemu przeznaczeniu. Podług sprawozdania rady lekarskiéj, zamiast 40 do 50 metrów kubicznych powietrza na osobę i na łóżko, których wymaga hygiena kuracyjna, sypialnie w Villepinte dostarczyć go są w stanie

tylko 12. Innych natomiast wygód nie zbywa. W r. 1883-im konsumpcya napojów w zakładzie wyniosła dla chorych (siostry piją tylko wodę): 9,438 litrów wina bordoskiego, 684 litrów malagi, 300 litrów koniaku i 5,472 litrów piwa, przepisanego przez lekarzy. W osobnym pawilonie wdowa po Hektorze Lefuel (architekcie Luwru) założyła w r. 1883 wzorową ochronkę dla sierot, połączoną ze szkołą początkową dla drobnych dziewcząt od 12 do 14-tu lat zagrożonych chorobą piersiową. Ta ostatnia instytucya nie podlega żadnemu zarzutowi.

F. Zakład sióstr ociemniałych Ś-go Pawła.

Założycielka tego zakonu, Anna Bergunion, urodziła się w Paryżu 1804 r. Zaczęła od założenia pracowni dla dziewcząt wszelakich, którą opuściła następnie ulegając nęcącemu ją, jak sądziła, powołaniu do życia zakonnego. Nie znalazłszy między murami klasztornemi spokoju, którego pragnęła dla swojéj czynnéj i przedsiębiorczéj duszy, wróciła do rozpoczętego dzieła, któremu poświęciła się już do końca. Zostający pod zarządem ministeryum spraw wewnętrznych, Instytut dla ociemniałych przyjmuje dzieci w dziesiątym mniéj więcéj roku życia i odprawia je w ośmnastym. Specyalny dom przytułku dla starców (*Quinze-Vingts*) wymaga dopełnionych lat czterdziestu. Między dwoma temi terminami dotknięte ślepotą dziewczyny znajdują się tym sposobem na bruku. W r. 1850 sekretarz „Towarzystwa opieki nad niewidomemi,“ nie mogąc uczynić zadość wszystkim zgłaszającym się doń potrzebom, zaprowadził do pracowni Anny Bergunion dwie ślepe dziewczyny, ofiarując 300 fr. na rok za ich utrzymanie. Anna Bergunion, czytając w wolnych chwilach „Życie panny de Lamourous,“ była w niém wyczytała właśnie co następuje: „Z jednym tygodniem zapewnionéj pracy, trzema pokojami i jednym talarem w kieszeni można założyć zakon.“ Anna Bergunion założyła zakon. Zebrała kilka towarzyszek i kupiła dom osobny na kredyt, dając hypotekę na ofiarności publicznéj. W r. 1870 zakład ucierpiał od oblężenia, a późniéj od komuny. Kule armatnie, ślepemi będąc same, nie uszanowały ślepych, a kapelan zakładu, ks. Juge, o mało nie został rozstrzelany. W r. 1876 rada municypalna cofnęła całkowicie subwencyą, którą już była pierwéj uszczupliła z 4,000 do 1,300 fr. Nie odprawiono przeto żadnéj ślepéj. Zakład daje obecnie pomieszczenie 59 zakonnicom, z których jest 20 pozbawionych wzroku i wychowanych po większéj części w zakładzie samym. Pracownia, zajmuje 20 ślepych, oddających się wyłącznie rozmaitym rodzajom roboty na drutach, który to rodzaj

zajęcia okazał się jedynie praktycznym. Uczą téj pracy siostry ślepe same, które nie wypuszają drutów z rąk, nawet na przechadzce. Mimo téj pilności, pracownia daje lichy zarobek. Para kamaszków, która wymaga trzech godzin pracy i potrzebuje jeszcze być wykończoną przez robotnicę „widzącą,“ płaci się 0,15 centymów, dochód roczny wynosi od 1,200 do 1,300 fr. Próby z innemi robotami, tokarskiemi np., nie powiodły się. Robota jest powolna i licha. Obok pracowni znajdują się trzy klasy dla małych, średnich i dorastających uczennic, pozbawionych wzroku, z programem szkół początkowych (obejmującym czytanie, pisanie, rachunek, historyę, gegrafię) i z nauką roboty na drutach między lekcyami i rekreacyami. Zaniechaném zostało szycie, zbyt trudne i haftowanie, niemożliwe. Zakład posiada drukarnię, w któréj drukują się podług systemu Braille'a (*système des pointes saillantes*), książki rozdawane uczennicom, oraz przegląd miesięczny dla ślepych („*Le Louis Braille*“) z dodatkiem literackim, naukowym i muzykalnym. Ogółem znajduje schronienie w zakładzie 66 ślepych (nie licząc zakonnic). Dwadzieścia dziewcząt płaci 300 do 400 fr. rocznie, cztery otrzymują zasiłek z domu przytułku (*Quinze-Vingts*), a ośm pobiéra 10 fr. miesięcznie z dobroczynności publicznéj. Łącznie z dochodem osiąganym z pracowni wynosi to 12,000 fr. rocznie. Reszty dostarcza miłosierdzie prywatne. Siostry nie zbiérają wcale jałmużny. Nie mają czasu. Trudni się tém stowarzyszenie dam, które płacą od 24 do 6 fr. rocznéj składki. Mimo ich usiłowań biéda w zakładzie wielka.

G. *Przytułki dla pracy* („*Hospitalité du Travail*“).

Jest w Paryżu od 50 do 60,000 mieszkańców, którzy, wstając rano, nie wiedzą co i czy będą jeść do wieczora, i gdzie i czy spać będą przez noc następną. Więcéj niźli połowa tych nieszczęśliwych, a nawet co najmniéj trzy czwarte z ich liczby, składają się z przybyszów z prowincyi lub zagranicy. Stara, ale zawsze nowa i zawsze słuchana chciwie powieść o chłopie, który przybył do Paryża w sabotach i został milionerem, zawraca dotąd wiele głów i stwarza wiele ofiar. Między temi ofiarami najboleśniejszym jest los kobiét. Kobiéta, mogąca w Paryżu zarabiać 3 fr. dziennie, nie jest pospolitością. Potrzebuje ona znać dobrze jakieś rzemiosło. Te, które zamiatają ulice, dostają 2 fr. Te, które roznoszą chléb z piekarni, dostają funt chleba i 2 fr. Stąd pomysł instytucyi, o któréj mamy do mówienia obecnie. Zaczęto od założenia bezpłatnych sypialni dla tych nieszczęśliwych, gdzie dawano im przytułek na noc, ale tylko na noc jedną. Późniéj pomyślano o zapewnieniu im schronienia na czas dłuższy, na 3 miesiące. Inicya-

tywa wyszła z grona dam miłosiernych, choć żyjących życiem światowém. Najęto dom na przedmieściu, w Auteuil, i powierzono jego zarząd siostrom, należącym do zakonu założonego w r. 1833 pod wezwaniem Najśw. Panny *du Calvaire* (któty to zakon nie ma nic wspólnego ze stowarzyszem dam tegoż imienia, o którém wspomnieliśmy poprzednio). Dom w Auteuil jest zarazem infirmeryą, szkołą, domem przytułku i pracownią. Przepisy policyjne, obowiązujące dla hotelów i domów umeblowanych (*Garnis*), stosują się i do tego zakładu, i wymagają utrzymywania w nim księgi, do której wpisują się z imienia, profesyi, pochodzenia i t. d. wszystkie przybywające kobiéty. Trafiają się przy téj wstępnéj formalności ciekawe dyalogi: Jak się nazywasz? Chiffonatte.— To przecież nie nazwisko? Nie mam innego.—Ależ nazwisko twojéj rodziny? Nie wiem o żadném. — Gdzież twój ojciec, twoja matka? Nie wiem.—Czy znałaś ich? Nigdy. — Któż opiekuje się tobą? Nikt.—Z kim żyjesz? Z wszystkiemi. — Gdzie mieszkasz? Nigdzie.—Czy słyszałaś kiedy o Bogu? O Bogu? Tak, wiem. Jakiś stary, z brodą...—Na sto, z pomiędzy tych, które wiedzą gdzie się urodziły, jest 80 takich, które urodziły się po za Paryżem. Prawie wszystkie przybywają w okropnym stanie. Obok wielkiéj sypialni znajduje się osobna sala dezynfekćyjna, do któréj, natychmiast po przybyciu nowéj ofiary losu, zanosi się jéj ubranie i jéj bielizna, jeżeli jest jaka, podczas gdy ją samą prowadzą do kąpieli. Bardzo często ta ostatnia formalność wywołuje gwałtowny opór. Ale regulamin nie dopuszcza uchybień w tym względzie. Główna sypialnia, mieszcząca 68 łóżek jest nieco ciasna. Obok niektórych łóżek trafiają się i kołyski. Dość często po przywitaniu zgłaszającéj się kobiéty, odprowadza ją jedna z sióstr do specyalnego szpitala (*La Maternité*), skąd po kilku tygodniach zabiéra ją z powrotem. Pomyślano o założeniu przy zakładzie osobnéj ochronki dla niemowląt, ale nie starczyło dotąd środków. Natomiast kołyski, umieszczane w sypialni, nie obciążają zakładu żadnym wydatkiem nadetatowym, dzięki ofiarności młodych panienek, wychowujących się w bogatych klasztorach stołecznych (*Notre-Dame du Roule* i *Notre-Dame de Sion*). Wszystkie przyjęte do zakładu kobiéty nazywają się, bez względu na wiek i stan cywilny, „paniami“ (*madame*) i wyłącznie po imieniu chrzestném. Dodajmy jeden szczegół, który ma swoję wartość: tym, które są lub mienią się matkami, siostra-przełożona ogląda ręce, a jeżeli nie widzi pierścionka, dobywa ze szkatułki i wsuwa na palec tombakowy symbol małżeństwa. Pierwszą w końcu 1880 r. przyjętą kobiétą była pozbawiona zajęcia nauczycielka, która niebawem znalazła miejsce. Od téj pory w ciągu trzech lat zakład przygarnął 7,534 nieszczęśliwych, z których 3,653

opatrzone zostały następnie wystarczającym do życia zarobkiem. Obecnie procent tych, które znajdują przyzwoite pomieszczenie bądź w Paryżu, bądź na prowincyi, powiększył się, dzięki wydoskonalonéj organizacyi warsztatów należących do zakładu, i sięga 70%. Na nieszczęście, instytucya nie jest w stanie wystarczy wszystkim zgłaszającym się. Szpitale przepełnione odsyłają do niéj część swojego kontyngensu, a policya, w ciągu dwóch lat 1882—3, dostawiła jéj 1,068 młodych i starych kobiét, schwyconych na gorącym uczynku ulicznego włóczęgostwa. Nadto regulamin, określający do 3 miesięcy czas pobytu w zakładzie, nie bywa nigdy stosowany ściśle. W roku 1884 liczba łóżek zapełnianych wynosiła 115 i niepodobną było rzeczą powiększyć ją. W tymże roku ogół wydatków wyniósł 59,628 fr. 40 c., łącznie z wynajęciem lokalu (8,500 fr.) i kosztem odzienia lub bielizny rozdanéj potrzebującym (3,300 fr.). Dochody z pracowni sięgają przeciętnie 20,000 fr. Na pokrycie reszty rozchodów składają się subwencye: municypalności (2,000 fr.), ministeryum spraw wewnętrznych (2,000 fr.), prefektury policyi (1,000 fr.) i jałmużny. Dnia 31 grudnia 1883 r. kasa zakładu zawierała 310 fr., stanowiących cały jego majątek. Prawda, że pomijając szczupłość pomieszczenia, nie zbywa ugaszczanym biédaczkom na żadnych wygodach. Strawę mają dobrą, lepszą, niż w wielu domach dostatnich robotników: zupę na śniadanie, zupę i mięso z jarzynami na obiad, chléb na podwieczorek, zupę i jarzyny na kolacyę—i piwo, wyrabiane na miejscu. Koszt tego obfitego, choć skromnego, wiktu wyniósł w r. 1883: 36,440 fr., czyli 0,86½ c. na osobę dziennie. W ogóle każda kobiéta zarabia w pracowni 0,45 cent., a kosztuje 1 fr. 42 c. na dobę. Przełożona jednak zapewnia, że potrafiłaby obejść się bez subwencyi i ofiar wszelakich, gdyby dostarczono jéj środków na założenie wielkiéj pralni. Regulamin zakładu pozwala mieszkankom wychodzić na miasto w pewnych odstępach czasu, ale w dniach nieoznaczonych z góry—dla uniknięcia niepożądanych spotkań.

H. Przytułki nocne („Hospitalité de Nuit“).

Instytucya tymczasowego przytułku dla kobiét, jakkolwiek z inicyatywy świeckiéj wychodząca, otrzymała zarząd i kierunek zakonny. Instytucya nocnych przytułków pozostała dotąd ściśle świecką, choć do pewnego stopnia podległą religijnym, do sfery społeczeństwa katolickiego należącym wpływom. I tak, głównym przewodnikiem działalności rozwiniętéj w tym kierunku był hr. des Cars, członek Jokey-klubu i znany sportsman; prezesem zawiązanego niebawem komitetu

administracyjnego stał się, zajmujący dotąd te stanowisko, baron Livois, były pułkownik. Jednak program zaprojektowanéj fundacyi obmyślony został w łonie komitetu katolickiego, zasiadającego przy ulicy de l'Université. Złożono na razie 300,000 fr. i nabyto dom przy ulicy de Tocqueville, opodal od parku Monceau, gdzie przed niezbyt odległym czasem mieściła się wiejska ferma. Dziś dzielnica ta jest już szczelnie zabudowana. Zakład otworzony został w czerwcu 1878 roku i w dniu tym zgłosiło się trzech biédaków proszących o nocleg. Nazajutrz było ich siedmiu, trzeciego dnia ośmnastu, a jedenastego— trzydziestu pięciu, z których siedmnastu musiało obejść się bez łóżek, śpiąc na gołych deskach. Dzięki jednak czynnéj propagandzie i współudziałowi prasy, w październiku tegoż roku posiadano już 105 kompletnych posłań, i do końca roku udzielono przytułku 2,874 osobom. Wielkie magazyny *du Louvre*, *du Petit St. Thomas* i *Gagne-Petit* dostarczyły bezpłatnie pościeli. P. Lelong, dyrektor wielkiéj wzorowo urządzonéj pralni (*Blanchisserie de Courcelles*), podjął się bezpłatnego prania wszelkiéj bielizny. Niebawem p. de Lamaze złożył 15,000 fr. na wynajęcie nowego lokalu w dzielnicy Vaugirard, w domu, będącym własnością księgarni Hachette, która odstąpiła 11,000 fr. z ceny najmu. Ale p. de Lamaze namyślił się i dołożył 100,000 fr., a późniéj przekazał testamentem drugie 100,000 na kupno tegoż domu. W roku 1879 było już w obu domach 300 łóżek. Zima w tym roku odznaczała się niezwykłą surowością. „Figaro" zaimprowizował dodatkową tymczasową sypalnię, a późniéj przekazał darem nowéj instytucyi cały jéj remanent, który kosztował 23,357 fr. Tak powstał trzeci dom noclegowy. W r. 1882 instytucya uznana została przez dekret rządowy, jako *établissement d'utilité publique* i nie przestała rozwijać się do téj pory, odnawiając zresztą tylko tradycye z epoki przedrewolucyjnéj, która znała w Paryżu i gdzieindziéj przytułki tego rodzaju, będące pozostałością z średniowiecznych jeszcze czasów. Łóżka są żelazne, z materacem na sprężynach, prześcieradłami i dwoma kołdrami. W głębi każdéj sypialni znajduje się kilka obozowych łóżek, bez materaców i kołder, dla spóźnionych przybyszów. Drzwi stoją otworem od 7-éj do 9-éj wieczorem. Pierwsi przybysze, czekając na drugich, czytają książki dostarczane przez dość skąpo zresztą zaopatrzoną bibliotekę, albo piszą listy. Zakład dostarcza papieru, atramentu, a nawet marek pocztowych, bezpłatnie. Wydatek z tego tytułu wyniósł w roku 1883-im: 482 fr. 75 c. za 3,218 marek. O ósméj rozpoczyna się zapisywanie kandydatów do noclegu, gwoli czemu wszyscy defilują przed biurem, umieszczoném w tak zwanéj *salle d'attente*, podają swoje nazwiska i pokazują swoje papiery legitymacyjne. Nie posiadającym

takowych przypomina się, że zakład przyjmuje na siebie koszta legitymacyi. Każdy kandydat otrzymuje tabliczkę drewnianą z napisem oznaczającym numer sypialni i łóżka dlań przeznaczonego, a w dodatku, na żądanie, asygnacyę (*bon*) na funt chleba. W r. 1883 rozdano 34,071 osobom 101,482 tabliczek, przeszło 29,000 asygnacyę na chléb i 18,754 biletów do tanich kuchni. O dziewiątéj przybywa jeden z trzech vice-prezesów instytucyi, czyta regulamin, przemawia krótko do zgromadzonych, zachęcając do odwagi i lepszéj otuchy na przyszłość, a w końcu odmawia pacierz (Ojcze nasz i Zdrowaś Marya), ostrzegając, iż nikt obowiązanym nie jest powtarzać modlitwy, ale wszyscy obowiązanymi są słuchać jéj z uszanowaniem, stojąc i z odkrytą głową. Zazwyczaj większa przeważnie część obecnych dopowiada głośno drugą połowę pacierza. Po pacierzu następuje apel i pochód do sypialni. Pewna liczba biédaków, nie posiadających koszuli, otrzymuje na noc tę część ubrania. Reszta zaś ubrań idzie do sali dezinfekcyjnéj. W r. 1883-im wydano 256 fr. 80 c. na siarkę, chlorek wapna i kwas karbolowy. Obok sypialni mieszczą się umywalnie, w których znajduje się obfitość wody zimnéj i ciepłéj, mydła płynnego (którego zabrać z sobą nie można), a są nawet brzytwy do golenia. Odwiedzenie umywalni jest obowiązkowe, ale tylko rano, po noclegu. Pewna liczba zgłaszających się o nocleg nie staje do apelu, przepędza noc niewiadomo gdzie, ale korzysta z wydanéj sobie tabliczki dla odświéżenia się w umywalni. Zarząd nie stawia w tym względzie przeszkód. Zapisanie w księgach zakładu daje prawo do spędzenia w sypialni trzech nocy; poczém dwumiesięczny przynajmniéj czas upłynąć winien aż do nowego zgłoszenia się téj saméj osoby, i w tym celu zarządzana jest między trzema domami ścisła kontrola. Ta część regulaminu nie bywa jednak przestrzegana zbyt surowo. Od 2 czerwca 1878 r. do 31 października 1883 r. trzy domy noclegowe przygarnęły 146,238 nieszczęśliwych, między którymi widać wielką liczbę dawnych nauczycieli, dziennikarzy, artystów dramatycznych, a nawet wyższych urzędników. Od tego zaś czasu dobroczynna działalność instytucyi spotęgowała się wielce. Do cyfr bowiem i wskazówek zebranych przez pana du Camp, jesteśmy w możności dodać następujące, które czerpiemy ze świéżo (26 marca r. b.) ogłoszonego sprawozdania. Instytucya posiada obecnie w Paryżu cztery domy i zaczęła się szerzyć na prowincyi, założywszy dwie sypialnie w Amiens i w Boulogne-sur-Mer. W roku 1889 dała ona przytułek 88,412 mężczyzn i 12,059 kobiét i dzieci, z których 79,973 było Francuzów, 10,281 Europejczyków, 147 Afrykanów, 5 Azyatów, 69 Amerykanów, 2 przybyszów z Oceanii. Oprócz asygnacyi na chléb, które kosztowały 24,000 fr., biédacy ci otrzymali

w darze: mężczyźni: 1,562 koszul, 1,357 spodni, 1,404 wierzchnich odzień, 4,915 par trzewików, 4,235 innych części ubrania; kobiety i dzieci: 232 koszul, 277 majtek, 379 spódnic i sukien, 109 płaszczów, 300 par trzewików, 328 drobnych przedmiotów, ogółem sztuk 15,098. Między nocującymi było: 12 nauczycielek bez miejsca (w roku poprzednim tylko 6), 8 dziennikarzy, 10 literatów, 177 profesorów, 138 nauczycieli, 147 aplikantów, 32 tłómaczy, 18 architektów, 28 studentów. Najwięcéj było robotników w ziemi pracujących: 26,794, następnie zaś malarzy i cieślów: 6,883. Pomiędzy robotnicami najwięcéj wyrobnic bez rzemiosła (*journalières*): 540 i służących: 395. Ale procent nieszczęśliwych, należących do tak zwanych „liberalnych“ profesyi, powiększył się znacznie i powiększa się stale. Ogólny wydatek instytucyi wyniósł w tym roku: 118,680 fr. 15 c.; dochód zaś tylko 93,264 fr. 40 c., co stanowi deficyt sięgający 25,000 fr., ale pochodzący w pewnéj części z niedoborów dawniejszych.

II. Instytucye humanitarne z czysto świeckim charakterem.

A. *Towarzystwo Filantropijne.*

Datą swego zawiązku Towarzystwo to sięga r. 1780. Ludwik XVI-ty obdarzał je subwencyą miesięczną w kwocie 500 fr. W założeniu poprzestawało ono na udzielaniu wsparcia pieniężnego wszelakiego rodzaju biedakom. Późniéj działalność jego ograniczyła się do wspierania pewnych tylko ofiar wyjątkowéj nędzy, jako to: starców ośmdziesięcioletnich, wdów lub wdowców obarczonych sześciorgiem dzieci i t. d. Rozproszone przez rewolucyą towarzystwo uorganizowało się napowrót w r. VIII dla rozdawania wsławionéj zupy rumfordzkiéj. Instytucya tanich kuchni wzięła stąd swój początek. Towarzystwo brało zresztą od téj pory czynny udział w rozwoju wielkiéj liczby przedsięwzięć dobroczynnych. Rozprzestrzenienie nauczania początkowego, organizacya pomocy sądowéj, założenie towarzystw wzajemnéj pomocy i szkół wieczornych dla osób dorosłych, a wreszcie pierwszy pomysł „żłobków“ (*crêches*) — są to jego dzieła. W r. 1883 tanie kuchnie wydały 2,376,168 porcyi. W r. 1878-ym, gdy zakładano przy ulicy de Tocqueville pierwszą sypalnię dla mężczyzn, Towarzystwo filantropijne podejmowało projekt takiejże sypialni dla kobiet. Otworzoną ona została 20 maja 1879 r. w domu, bezpłatnie (za 50 fr. na rok) udzielonym przez zarząd dobroczynności publicznéj. Dyrektorka zakładu, pani Horny, nie nosi żadnego zakonnego stroju, ale ma duszę prawdziwéj szarytki. Jednym z celów instytucyi jest udzie-

lenie pomocy przygarnionym nieszczęśliwym w wyszukaniu zarobku i w tym względzie jéj usiłowania wywdzięczają się dość pomyślnemi, rezultatami od daty założenia po dzień 31 grud. 1883 r. na 16,837 kobiét, przyjętych do zakładu, 3,629 zostały zaopatrzone w sposób do życia. Jednocześnie udzielono chwilowego przytułku 5,580 dzieci. Dla pomieszczenia zaś matek obarczonych rodziną otworzono, dzięki wspaniałomyślności pani Hottinger, osobną sypialnię. Akt ślubny nie jest tu wymagalnym i przyjmują się téż kobiéty wychodzące od akuszerek, do których odesłane zostały przez zarząd dobroczynności publicznéj. Do niedawnego czasu przebywać one tu mogły tylko dni 9. Termin ten, przedłużony dziś do dni 12, jest jeszcze zbyt krótki. Co się tyczy podziału na profesye między przyjmowanemi do zakładu, ten w r. 1883 przedstawia się jak następuje: 27 nauczycielek, 7 dam do towarzystwa, 152 magazynierek, resztę (na 5,595 osób) składają służące (*bonnes à tout faire*), panny służące, wyrobnice i t. d. W téj liczbie znajdujemy 913 tylko rodowitych paryżanek. Przed udaniem się do sypialni każda kobiéta przechodzi przez ręce dozorczyni, (personel tych dozorczyń rekrutuje się między przyjmowanemi na nocleg biédaczkami), która orzeka o stanie czystości jéj ubrania i bielizny. Jeżeli ubranie lub bielizna okazują się (co się dość często trafia) zamieszkanemi, kandydatka otrzymuje jeden z numerów idących od 1 do 20, co ją przeznacza do osobnéj sypialni, umieszczonéj i odosobnionéj w głębi ogródka. Zresztą porządek przestrzegany jest taki sam, co i w sypialniach męskich. Rano kąpiel jest obowiązkową, a raczéj oblanie ciepłą wodą. W tym celu, w sali betonem wymoszczonéj urządzony jest szereg przedziałów z ceratowemi przegrodzeniami. Po kąpieli zupa ciepła i wyjście na miasto. Po opróżnieniu wszystkich sypialni rozpoczyna się pranie bielizny. Prześcieradła bowiem zmieniane są codzień. Instytucya rozwija się, dzięki licznym składanym jéj ofiarom. W r. 1881 p. Emil Thomas odwiedził pierwszy zakład, otworzony przy ulicy St. Jacques, zostawił 20 fr., a testamentem przekazał mu 200,000. Otrzymawszy ten spadek, zakupiono inne dwa domy przy ulicach Labat i de Crimée. Na ten ostatni zakład panna Kamilla Favre wniosła w jednym dniu 120,000 fr. Dom przy ulicy St. Jacques, noszący dziś imię Emila Thomas, jest dotąd najwięcéj uczęszczany. Każdy z trzech zakładów pozostaje pod specyalną opieką i nadzorem jednego z trzech vice-prezesów instytucyi, któréj prezesem jest margr. de Mortemart. Przy ulicy Labat znajduje się nadto, w głębi dość obszernego podwórza, dom schronienia dla 20 starych kobiét, płacących po 500 fr. rocznie; w prawém zaś skrzydle mieści się *dyspensorium* (czyli lecznica bezpłatna) dla dzieci, który to zakład powierzony zo-

stał wyjątkowo siostrom Najśw. Panny *du Calvaire*. Jako zdolne infirmierki, opatrują one dzieci i rozdają lekarstwa z podręcznéj apteczki. Porada lekarska udziela się bezpłatnie trzy razy na tydzień od 12-éj do 3-éj z południa, każdego dnia zaś od 8-éj do 10 z rana odbywa się leczenie chorych. W wytwornie urządzonym zakładzie hydroterapijnym znajdują się nawet kąpiele morskie. Towarzystwo filantropijne posiada w Paryżu 11 takich dyspensoryów dla osób dorosłych, gdzie w ciągu 1883 r. udzielono bezpłatnie pomocy lekarskiéj 1,387 chorym. Dyspensoryum dla dzieci, jedyne znajdujące się dotąd pod opiekę Towarzystwa, zostało otworzone sposobem próby, która powiodła się całkowicie.

B. Towarzystwo opieki nad kobiétami, wychodzącemi z więzienia St.-Lazare.

Więzienie St.-Lazare stanowiło do niedawnego czasu i stanowi poniekąd dotychczas pandemonium osobliwego rodzaju. Mieściły się tu: kobiéty postawione w stanie oskarżenia i oczekujące sądu, kobiéty skazane na więzienia, kobiéty nierządnego prowadzenia podlegające karze administracyjnéj, małoletnie odesłane wyrokiem sądu do domu poprawy, kobiéty dotknięte zaraźliwemi chorobami. Tak zapełniony zakład był nadto domem przytułku dla pewnéj liczby starych, schorowanych kobiét. Regulamin ustanawiał wprawdzie ścisły rozdział między rozmaitemi temi kategoryami osób, ale nie zapobiegał całkowicie nieuniknionym między niemi zetknięciom. Dopiéro w r. 1884-ym postanowiono przeprowadzić faktyczne i jedynie skuteczne rozłączenie tych tak rozmaitych i rozróżnienia domagających się kategoryi przez pomieszczenie ich w osobnych zakładach. Reforma ta nie została wszelako do téj pory przeprowadzona ostatecznie. Stąd powstała myśl instytucyi, któréj celem jest: zabezpieczyć przed nędzą i rozpaczą nieszczęśliwe wypuszczone z więzienia na wolność po dopełnionéj karze, ale skazane na dalszą pokutę mimo długu spłaconego już przez się społeczeństwu, zapewnić im tymczasowy przytułek, odziać je przyzwoicie, pośredniczyć między niemi a ich rodzinami, udzielić im w potrzebie środków do opuszczenia stolicy i powrócenia do rodzinnego miejsca, bronić je przed społeczeństwem i przed niemi samemi,—słowem, dopomódz im do wejścia napowrót na dobrą drogę i utrzymania się na niéj. Inicyatorką przedsięwzięcia była około 1840 r. kobiéta pióra, obdarzona nagrodą Akademii francuskiéj za napisaną przez się książkę (*Le jeune libéré*), która na nieszczęście padła ofiarą swéj szlachetności. Biédna, będąc inspektorką więzienia, dopomogła jednéj z oskarżonych (która

nie była zresztą godną jéj współczucia) do ucieczki z zostającego pod jéj dozorem domu i dostała się sama pod sąd. Nazywała się ona Ludwika Crombach. Po niéj podjęła myśl zbawienną panna de Grandpré, siostrzenica miejscowego kapelana, którą uderzył i wzruszył los jednéj nieszczęśliwéj dziewczyny, przetrzymanéj w więzieniu przez 3 miesiące pod zarzutem oszustwa, uniewinnionéj, ale mimo tego odepchniętéj przez wszystkich po przestąpieniu hańbiącego progu, a wypuszczonéj na wolność bez grosza. Panna de Grandpré zaczęła od zaopatrywania w odzienie i bieliznę biédnych, zgłaszających się do niéj ofiar losu, lub zgubnych udzielonych sobie instynktów. Wypróżniwszy swoje szafy, odwołała się do swoich znajomych i nazajutrz paki z sukniami i koszulami zaczęły przybywać. Tak powstała w obrębie samego więzienia bezpłatna szatnia (*Vestiaire*). Późniéj, za przyczyną innéj biednéj dziewczyny, która, choć niewinna prawdopodobnie, oskarżona została o kradzież i skazana dla braku dobrego adwokata, utworzyło się towarzystwo opieki sądowéj, złożone z młodych adwokatów (*Conseil judiciaire de l'oeuvre des liberées de St.-Lazare*). W r. 1883 panna de Grandpré, przeniosłszy się na wieś, oddała kierunek instytucyi pani de Barrau, dzisiejszéj prezydentce. Instytucya, aczkolwiek licząca w swoim komitecie kilku mężczyzn, jest przeważnie kobiécą. Składka wynosi 5 fr. rocznie, albo 100 fr. raz wyłożonych. Instytucya jest otwarta dla wszystkich kategoryi społecznych i dla wszystkich wyznań. Sekretaryat, założony na placu Dauphine, w pobliżu gmachów sądowych, przyjmuje prośby każdodziennie od ósméj z rana do dziesiątéj, a we wtorki i piątki od 2 do 4 z południa. W r. 1886 zgłosiło się doń 1,412 nieszczęśliwych. Prowincya dostarcza i tutaj najliczniejszego kontyngensu. W r. 1883 na 4,768 oskarżonych lub skazanych, zatrzymanych w więzieniu St.-Lazare, było 3,318 przybyłych z prowincyi. Zapomogi w pieniądzach udzielają się rzadko, i tylko w razie nieodzownéj konieczności, dla uniknięcia nadużyć. Pierwszém staraniem zarządu jest przyzwoite odzianie zgłaszających się, poczém odesłane one zostają do sypialni Towarzystwa filantropijnego, gdzie znajdują przytułek na 3 noce i pożywienie w zamian za *bony*, wydane przez zarząd instytucyi. Jednocześnie sekretaryat stara się o wynalezienie dla nich pomieszczenia, zwracając się głównie w tym celu do pojedyńczych osób w Paryżu lub na prowincyi. W r. 1886 zarząd instytucyi wydał 1,143 sztuk odzienia i zakupił biletów kolejowych za 912 fr., koleje ustępują połowę ceny biletów. Szatnia odziewa czasem także mężów towarzyszących żonom, a czasem i ich dzieci. Pewna część klientek instytucyi znajduje, za jéj staraniem, czasowe pomieszczenie w specyalnym domu schronienia, otworzonym przez „Towarzy-

stwo filantropijne dla kobiét oczekujących połogu“ (*Asile maternel*, na *Avenue du Maine*), albo w zakładach dających przytułek pracy (*Hospitalité du travail*), o których mówiliśmy poprzednio. W r. 1885 zakłady owe przyjęły 627 kobiét wychodzących z St.-Lazare. W r. 1886 jednak pomyślano o założeniu własnego domu przytułku. Najęto na drodze z Paryża do St.-Cloud dwa domki i pomieszczono w nich sypialnię dla kobiét, oraz ochronkę dla dzieci ze szkółką dla nieumiejących czytać i pisać. Pierwszego roku ofiarowano tam gościnę 200 przeszło kobiétom, które spędziły pod opiekuńczym dachem 1,504 dni, i udzielono 250 noclegów kobiétom, które w dzień szły pracować do miasta. Mer gminy, w którój obrębie znajdują się te schronienia, zapewnia, iż ugaszczane w nich przestępczynie nie dają nigdy powodu do skargi. Instytucya wyklucza stanowczo od swéj opiekuńczéj działalności jednę kategoryę przestępczyń: nałogowe pijaczki, jako niepoprawne. Nie zajmuje się zaś wcale kobiétami nierządnego prowadzenia.

C. *Towarzystwo opieki nad mężczyznami i kobiétami, wychodzącemi z rozmaitych więzień.*

Założone w r. 1871 przez pana Lamarque, naczelnika biura dyrekcyi więzień, towarzystwo to policzone zostało w poczet instytucyi użyteczności publicznéj dekretem z dnia 4 listop. 1885 r. Prezesem jego dzisiejszym jest p. Bérenger. W początkach Towarzystwo szukało samo klienteli swojéj w więzieniach, posługując się pośrednictwem sędziów i adwokatów. Inicyatywa ta nie przyniosła żadnego skutku, wywołując nieufność interesowanych. Zamierzono wtedy poprzestać na otworzeniu biura, którego istnienie tylko podawaném jest do wiadomości więźniów przez dyrektorów lub dozorców. „Idźcie tam i spróbujcie, nic to nie kosztuje“ — powtarzają ci ostatni. W r. 1885 biuro doczekało się 1,241 klientów (1,143 mężczyzn w téj liczbie). W początkach także, odsyłało Towarzystwo swoich protegowanych do pewnéj liczby hotelów, z któremi utrzymywało stosunki. W r. 1878 dopiéro otwarty został osobny dom przytułku, w którym roku 1887 znalazł p. du Camp 41 byłych więźniów. Poprzedniego dnia zgłosiło się ich 17, których musiano odprawić dla braku miejsca, i odesłać do municypalnego domu przytułku, świéżo otworzonego na *Quai de Valmy*. Regulamin obowiązujący w przytułkowym domu Towarzystwa jest następujący. Mieszkańcy wstają o szóstéj, i po śniadaniu uzyskują wolność aż do 12-éj, dla szukania sobie zajęcia. O 12-éj obiad— z mięsem sześć razy w tygodniu. Od 2-éj do 7-éj praca obowiązkowa

w miejscowym warsztacie. O 8½ spoczynek. O 9-éj gaszą się światła. Wobec niepodobieństwa uorganizowania innych robót, przy rozmaitości rzemiosłowych uzdolnień, z któremi zgłaszają się klienci przytułku, warsztat jest podobnym do tych, które istnieją w więzieniach. Robią się w nim pudełka z tektury. Dobry robotnik zarobić jest w stanie 0,80 c. dziennie, z którego to zarobku połowa zapisana zostaje na rzecz jego, połowa zaś przechodzi na rzecz Towarzystwa i przyczynia się do pokrycia kosztów. Dyrektor zakładu otrzymuje od Towarzystwa 1 fr. dziennie od osoby, obowiązanym będąc do utrzymania stołu podług przepisanego z góry programu. Każdy z wchodzących do przytułku otrzymuje tabliczkę z napisem zapowiadającym, iż wykluczonemi są od dobrodziejstwa instytucyi: 1) podający fałszywą deklaracyą; 2) nie przyjmujący miejsca czy zajęcia, które im wskazane zostanie przez zarząd; 3) nie korzystający bezzwłocznie ze wskazanego sobie adresu dla znalezienia zarobku; 4) ci, którzy znalazłszy pomieszczenie, nie sprawowaliby się wzorowo. W r. 1885 na 1,143 byłych więźniów, którzy zgłosili się do biura Towarzystwa, 943 znalazło chwilowe schronienie w jego własnym domu. Z tych, 44 wydalić musiano za wykroczenie przeciwko karności, 2 dostało się do aresztu za dawniejsze przestępstwa, 112 opuściło dom po przebyciu w nim 12 dni przepisanych regulaminem, 54 odesłano na prowincyę do miejsc pierwotnego zamieszkania, 17 powierzono napowrót rodzinom, 92 weszło do wojska, 27 poszło do szpitala, 130 znalazło pomieszczenie w warsztatach rozmaitych, 488 opuściło dom dobrowolnie i udało się niewiadomo dokąd. W ogóle na 943 przytulonych, 260 skorzystało z dobrodziejstwa przytułku. Dom, o którym mówiliśmy, przeznaczony jest wyłącznie dla mężczyzn, którémi stowarzyszenie, w zasadzie, opiekować się miało wyłącznie. Już w 1881 roku jednak założony został przy ulicy Lourmel osobny dom dla kobiét. Klientela tego domu składa się z najgorszych szumowin; śmietankę bowiem zbiérają: Towarzystwo dla kobiét wychodzących z St.-Lazare, oraz siostry Imienia Józefa i Maryi, które ze swojéj strony pracują w tym kierunku. I z tego jednak najlichszego materyału zrobiono doskonały użytek, dzięki zbawiennéj inicyatywie, którą podjął p. Bérenger. Pomyślał on o połączeniu przytułku ze szkołą rzemiosłową i założył warsztat do broszurowania (*atelier de brochage*). Roboty nie zabrakło. W r. 1886 widział tam p. du Camp 31 kobiét, pracujących pod kierunkiem zdolnego majstra i przy pomocy dwóch robotników. Po dwóch lub trzech miesiącach kobiéta zarabiać może 2 fr. 50 c. dziennie, a po roku 4 fr. Robota to jednak odpowiednia jedynie dla młodych kobiét, jako wymagająca szybkich ruchów. Czas pobytu w tak przekształco-

nym przytułku nie jest obecnie określony. Regulamin pozwala także niektórym kobiétom mieszkać na mieście i przychodzić do warsztatu. Podczas odwiedzin pana du Camp, eksternat ten liczył 13 kobiét, internat 18, sześć zaś było kobiét, których noga nie postała w więzieniu, ale które zamówiono do warsztatu z powodu nawału roboty. Przeciętnie broszuruje się tam 275,000 tomów na rok. Dyrektorka zakładu pobiera 0,75 c. dziennie od osoby na koszta żywienia. Kobiéty, nie mieszkające w zakładzie, otrzymują zapracowany przez się zarobek w całości. W r. 1885 zakład przyjął 98 kobiét, z których 12 odesłano do innych domów, 22 opuściło zakład dobrowolnie, 8 wydalono, 4 wróciły do swoich rodzin, 32 znalazły pomieszczenie i zarobek w innych warsztatach. Pewna liczba kobiét téj kategoryi dostaje się wprost z biura Towarzystwa (przy ulicy *de l'Université*) do warsztatów lub domów prywatnych, w których znajduje zarobek, nie przechodząc przez Dom przytułku. Biuro to rozdaje także odzież i, w niektórych razach, zapomogi pieniężne. W r. 1886 wydatek ogólny Towarzystwa wyniósł 80,000 fr., na które złożyła się ofiarność dobroczynna—dość jednak ociężała, jak dotąd, w tym kierunku.

III. Instytucye protestanckie.

A. Szkoła rzemiosłowa.

Dane statystyczne, któremi rozporządzamy, pozwalają oznaczyć w przybliżeniu na 100,000 liczbę protestantów, zamieszkujących w Paryżu. Duch solidarności ukazuje się między niemi dosyć silny i popęd do stowarzyszeń wszelkiego rodzaju bardzo energiczny. Znaczna część tych stowarzyszeń zajmuje się propagandą religijną; jest jednak do 60 takich, które mają cel dobroczynny. Do téj kategoryi należy szkoła przemysłowa, założona w r. 1874 przez pastora Robin, na wzór zakładów tegoż rodzaju istniejących w Anglii od 1857 roku. Założone tam za inicyatową parlamentu i kosztem publicznym, zakłady te pomnożyły się tak szybko, iż w r. 1861 liczono ich już 40, a 100 dziesięcioma latami późniéj. Przeznaczeniem ich przygarniać młodzież, oddającą się włóczęgostwu i złym nałogom, i zapobiegać jéj ostatecznemu nakłonieniu się na drogę występku i zbrodni. Ich działalność zaś okazała się o tyle skuteczną, iż spółmiernie z ich rozwojem liczba małoletnich przestępców zmniejszyła się o 20%. Dla uzyskania wstępu do paryskiéj szkoły przemysłowéj protestanckiéj trzeba: 1) być protestantem; 2) miéć 10 lat skończonych, a mniéj 16-tu; 3) podpisać kontrakt terminatorski na 4 lata; 4) złożyć świadectwo doktora, porę‑

czające za dobry, to jest żadną chroniczną czy nieuleczalną chorobą niedotknięty stan zdrowia kandydata i odbyte przezeń zaszczepienie ospy; 5) płacić 30 fr. miesięcznie, z dodatkiem 60 fr. przy wstępie do zakładu na koszta pierwszego oporządzenia. Nie mogących jednak uczynić zadość temu ostatniemu warunkowi wyręcza w tym względzie Towarzystwo, czuwające nad dobrém instytucyi. Rozszerzony w roku 1879 za pomocą składek i 50 chłopców pomieścić mogący zakład przy ulicy Clavel zgromadził ich dotąd tylko 34, z których 18 przysłanych przez rodziców, 7 przez zarząd dobroczynności publicznéj, 9 przez więzienie *Petite Roquette*, przeznaczone dla wyrostków skazanych na pobyt w domu poprawy, lub mogących uledz téj karze. Instytucya przyjmuje także młodych przestępców, którzy odsiedzieli w więzieniu swoją karę; stara się jednak uprzedzić o ile możności wyrok sądowy, i ocalić winowajców od jego hańbiących następstw, zgłaszając się w tym celu do władz sądowych i wstawiając się za godniejszemi współczucia przestępcami. Z wymienionych wyżéj 34 chłopców około 15 pracuje po za obrębem zakładu u ślusarzy, introligatorów, tapicerów i t. d., wracając na obiad i na nocleg. Reszta znajduje pomieszczenie w dwóch należących do zakładu warsztatach, pracując i ucząc się rzemiosła pod kierunkiem biegłych majstrów. Oba warsztaty są szewckie. Wyrabia się w nich od 1,300 do 1,400 par trzewików na rok. Nauka wymaga około dwóch lat. Koszta utrzymania zakładu wynosiły w 1886 roku: 24,936 fr. 95 c. Regulamin obowiązuje w nim następujący: zimą wstają chłopcy o 6-éj godz., ubiérają się i ścielą sami swoje łóżka, dostają o 6½ kawałek chleba na pierwsze śniadanie i wchodzą o 7-éj do klasy, gdzie pobiérają naukę, odpowiadającą programowi szkół początkowych. O 8-éj następuje zamiatanie domu; o 8½ krótkie ćwiczenie religijne i odczytanie sprawozdania z dnia poprzedniego, wraz z należącemi doń uwagami, przestrogami i napomnieniami; poczém drugie śniadanie składające się z zupy i chleba. O 9-éj praca w warsztatach aż do 12-éj. O 12-éj obiad i rekreacya. O 2-éj znowu praca w warsztatach aż do 7-éj, z dziesięciominutową przerwą o 4-éj na podwieczorek. O 7-éj wieczerza i rekreacya. O 8-éj powrót do klasy na godzinę. O 9-éj pacierze i spoczynek. W lecie dzwonek odzywa się o 5-éj z rana; reszta zaś programu pozostaje niezmieniona. Jest to może program trochę forsowny. Pilni uczniowie otrzymują odpowiednią do zasługi ilość „dobrych punktów,“ z których każdy ma wartość pieniężną (1 cent.) i których całość składa się na drobny fundusz, przechodzący do rąk ucznia przy wyjściu z zakładu. Dołączona zostaje do tegoż funduszu ⅕ część zarobku zapracowanego w warsztatach. Reszta idzie na pokrycie kosztów zakładu. W roku

1886 dwóch chłopców, wyuczywszy się jeden ślusarstwa, drugi wyrobu robót ołowianych, otrzymali wychodząc z zakładu pierwszy 377, drugi 463 fr., częścią w gotówce, częścią we wkładce do kasy oszczędności, do podniesienia po dojściu do pełnoletności. Każdy z uczniów, wychodzących po ukończeniu nauki, otrzymuje także całkowite oporządzenie. Wadą zakładu, podług pana du Camp, jest przewaga w nim udzielona pracy siedzącéj, która pod względem moralnym jest najmniéj pożądaną dla téj kategoryi młodych umysłów. Podług orzeczenia pewnego ministra spraw wewnętrznych, „drugorzędny personel, towarzystw tajnych, składa się wyłącznie prawie z krawców i szewców“.

B. Dom przytułku dla robotników dotkniętych brakiem zarobku.

Otworzony w r. 1880 opodal od szkoły rzemiosłowéj i zostający także pod nadzorem pastora Robin, dom ten jest wierném powtórzeniem, co do urządzenia i regulaminu, analogicznéj instytucyi, dającéj przytułek robotnikom wszelakich wyznań, którą opisaliśmy wyżéj. Wstęp nie jest jednak tutaj bepłatny; wymaga przedstawienia pewnéj liczby „bonów“, czyli kwitów. I tak kwit na nocleg kosztuje 0,50 c.; kwit na obiad tyleż; całkowity jednodzienny pobyt ze stołem 1 fr., 50 c. Ale czas pobytu nie jest ograniczony, „bony“ zaś, o których mowa, rozdają się hojnie potrzebującym bez żadnego z ich strony wydatku. Do tego służą dyakonaty. Kościół reformowany dzieli się w Paryżu na 8 parafii, z których każda posiada dyakonat stanowiący właściwe biuro dobroczynności. Każdy zaś z tych dyakonatów posiada swój osobny majątek, utworzony z zapisów i zasilany peryodycznemi kwestami. Dochody z kwest, bardzo rozmaite w rozmaitych parafiach (np. 15,000 w bogatéj parafii *Roquépine*, a 200 zaledwie w *Belleville*), składają się w kasie centralnéj i podlegają rozdziałowi odpowiednio do potrzeb każdéj parafii, które zazwyczaj znajdują się w odwrotnym stosunku. Do téj kasy zgłasza się co miesiąc zarządzający domem przytułku dla robotników i przedstawia „bony“ wniesione przez tychże robotników, które wypłacają się natychmiast jak weksle. Przybywający do Paryża robotnik protestancki, udaje się do pierwszego lepszego dyakonatu, który zaopatrzywszy go w potrzebną na jedną dobę ilość „bonów“, odsyła go do domu przytułku. Po 24 godzinach, jeżeli robotnik nie znalazł zajęcia, wolno mu pozostać pod tym samym gościnnym dachem, ale z obowiązkiem pracowania na rzecz zakładu.

C. Dyakonki.

Instytucya dyakonek, tego protestanckiego zakonu *sui generis*, sięga 1559 r. Z dumą też wspominają protestanci, iż siostry Ś-go Wincentego a Paulo mają młodsze o wiek prawie cały, bo w r. 1642 dopiéro rozpoczynające się dzieje. Do ostatnich czasów instytucya ta miała główne swoje siedlisko w Niemczech, gdzie w r. 1881 posiadała 53 domy. Do Paryża przybyły dyakonki w r. 1841; zakład zaś dobroczynny, ufundowany przez nie, należy do najciekawszych w stolicy, najbardziéj wzorowo urządzonych i wydających najznakomitsze rezultaty. Jest tu najpierw szkółka, otwarta dla dzieci obojéj płci i wszelkich wyznań w wieku od 4 do 7 lat. Nie ma żadnego katolickiego, czy innego prywatnego zakładu, któryby dorównywał téj szkółce, pod względem czystości, porządku i umiejętnego zastosowania najwytrawniejszych metod pedagogicznych. Stanowi jednak ona tylko *annex* głównego zakładu, przeznaczonego dla dziewczyn złego prowadzenia, oddanych na pokutę lub poprawę. Ten ostatni zawiéra dwa wydziały, a mianowicie rodzaj domu poprawy (*Disciplinaire*) i rodzaj więzienia (*Retenue*). Pierwszy jest właściwie szkołą rzemiosłową. Przyjmują się doń dziewczęta od 7 do 14 lat. W r. 1886 było ich 29. Odbywają one 5 godzin nauki i 6 godzin pracy ręcznéj. Większą część umieszczają tu rodzice sami. Na 33 tych wychowanki, które w pierwszém dziesięcioleciu wyszły z zakładu, 17 pozostaje dotąd na dobréj drodze. W tak zwanéj *Retenue* mieszczą się dziewczyny starsze, od 14 do 20 lat, zamknięte z roporządzenia lub za wyrokiem władzy sądowéj. Praca jest dla nich przymusową i bezpłatną, tak jak w odpowiednim wydziale (*Correction paternelle*) więzienia St.-Lazare. Ale tam rezultaty otrzymywane są prawie żadne; tu ⅓ mniéj więcéj dziewczyn ulega rzeczywistéj poprawie i zostaje ocaloną. Dwie godziny nauki; resztę zaś czasu zabiéra praca ręczna. Przechadzka na podwórzu tylko. Natomiast dziewczyny należące do pierwszego wydziału, odbywają długie i częste przechadzki za miasto i odznaczają się też kwitnącém zdrowiem. W tym samym zakładzie mieści się także nowicyat dla dyakonek, a wreszcie szpital dla kobiét i dziewcząt z 60 łóżkami, założony w r. 1873. W r. 1885 przyjął on 368 chorych.

D. Szkoła dla dzieci gałganiarzy.

Szkoła i ochronka dla chłopców i dla dziewcząt, założona r. 1869 opodal od tak zwanéj *Cité du Soleil*, dzielnicy, będącéj siedliskiém cechu gałganiarskiego. Założycielką była żona artysty-rysownika w fabryce szalów, pani Paris, którą zabłąkana kula, wystrzelona przez je-

dnego z wkraczających do odzyskanéj stolicy Wersalczyków, ugodziła śmiertelnie w r. 1871. Zakład mieścił się pierwotnie w jednéj z nędznych lepianek zamieszkiwanych przez gałganiarzy. Obecnie stanął budynek okazały, i nie sami tylko gałganiarze posyłają doń swoje dzieci, ale urzędnicy kolei zachodniéj, mieszkający w sąsiedztwie, drobni przemysłowcy okoliczni, i t. d. Zakład, choć przez protestantkę powołany do życia i utrzymywany dotąd przez protestantów, nie robi jednak różnicy między wyznaniami. Zaledwie piąta część przygarnianych przezeń dzieci należy do kościoła reformowanego. Ochronka dla chłopców i dziewcząt liczy 220 dzieci zapisanych, co odpowiada 180, przeciętnie, uczęszczającym do niéj dzieciom. W szkole trzy klasy: dla dziewcząt od 7 do 10 lat (80 uczenic), dla dziewcząt od 10 do 14 lat (60 uczenic) i dla chłopców (60 uczniów). Przy téj ostatniéj klasie mieści się szkoła rzemiosłowa z warsztatem stolarskim. Wstęp do ochronki i szkoły, książki, kajety, pióra, wszystko jest bezpłatne. Potrzebującym rozdają nawet bezpłatnie odzież. Ochmistrzyni zakładu, nauczycielki i dozorczynie, pobierają sowite wynagrodzenie. Ofiarność prywatna dostarczyła i dostarcza odpowiednich środków; właściwie zaś wspaniałomyślność dwóch dam, związanych bliskiém pokrewieństwem, z których jedna jest właścicielką ochronki, druga szkoły. Nadto od r. 1884 z inicyatywy pastora Lorriaux i jego żony, opiekującéj się także zakładem, powstała przy ochronie i szkole osobna instytucya (*L'oeuvre des trois semaines*) zajmująca się wyprawianiem dzieci na wieś w czasie wakacyi. W r. 1886 posłano ich 166 do Montjavoult (w departamencie Oise). Wszystkie zyskały za powrotem od 2 do 4 kilogr. wagi. W r. 1885 na 112 dzieci wydatek cały, łącznie z przejazdem tam i napowrót koleją żelazną i z kosztem rozmaitych zabaw i festynów, wyniósł 4,206 fr., 85 c., czyli 40 fr. na głowę. Koleje odstępują połowę ceny biletów. Przykład w tym względnie dostarczony doczekał się już licznych naśladownictw. Niektóre inne instytucye podjęły program dalszych wycieczek w górzyste i malownicze okolice. Te jednak mniéj praktycznemi się okazały pod względem hygienicznym. Dzieci wracały zmęczone, wycieńczone.

IV. Instytucye izraelskie.

Gmina izraelska w Paryżu liczy, według danych statystycznych, około 45,000 członków, co stanowić ma około $^2/_3$ żydów we Francyi mieszkających. Dobroczynność w jéj obrębie jest wysoko rozwinięta, stosunkowo nawet sięga ona rozmiarów, które po za jéj obrębem osiągniętemi dotąd nie zostały nigdzie i osiągniętemi prawdopodobnie być nie mogą. Przedstawiając rzecz jak najtreściwiéj, cechą dobroczyn-

ności katolickiéj nad Sekwaną jest poświęcenie w ofiarności, cechą dobroczynności protestanckiéj systematyczność i praktyczność urządzeń, cechą dobroczyności izraelskiéj zbytek, że się tak wyrazimy, wspaniałość prawie rozrzutna. Zobaczymy to zaraz na przykładach.

A. *Szpitale imienia Rotschildów.*

Pierwszy szpital żydowski w Paryżu założony został r. 1842, za inicyatywą Alberta Coh'na, żyda, przybyłego z Alzacyi i za staraniem „komitetu konsystoryalnego", który następnie od r. 1852, przekształcił się w „komitet dobroczynności", i zajął się metodycznie urządzaniem zakładów odpowiadających najbardziéj naglącym potrzebom miejscowéj gminy. Szpital ów mieścił tylko 12 łóżek, które oczywiście niewystarczającemi się okazywały; co uwzględniając, komitet zwrócił się do ówczesnego wielkiego potentata finansowego, Jamesa Rotschilda. Ten w r. 1852 zakupił 13,000 metrów gruntu, i wybudował swoim nakładem gmach, który rozszerzony następnie, daje dziś pomieszczenie 134 łóżkom. Obok, Alfons Rotschild nabył w późniejszym czasie posiadłość zawierającą 3,000 metrów i założył osobny szpital dla chorób zaraźliwych, szkarlatyny, dyfteryi i t. d. Dla dzieci zaś skrofulicznych Edward i Artur Rotschildowie założyli w Berk, nad morzem, dom przytułku, do którego pani Arturowa Rotschildowa dodała świéżo 12 łóżek. Od daty swego założenia po rok 1887, szpital przyjął 31,956 chorych. Udzielają się w nim także bezpłatne porady lekarskie i wydają się bezpłatnie lekarstwa z miejscowéj apteki. Szpital, aczkolwiek dla izraelitów założony, przyjmuje i chorych, należących do innych wyznań, w razie nagłéj potrzeby. Liczba tych ostatnich wynosi przeciętnie 4% na rok. Z porady zaś bezpłatnéj korzystają przeważnie nie-żydzi, tak, iż stosunek okazuje się tu odwrotnym: na 100 chorych trafia się tylko 3 Żydów przeciętnie. Chorzy nie-żydzi, przyjęci do szpitala, otrzymują na żądanie posługę religijną, w przypadku zaś śmierci szpital ponosi koszta pogrzebu według obrządku zmarłego. Chorzy, przepędzający w szpitalu mniéj niż dwa tygodnie, dostają przy wyjściu od 5 do 10 fr. jednorazowego wsparcia (fundacya pani Betty Rotschildowéj); po dwóch zaś tygodniach od 25 do 100 fr. Koszta utrzymania ogólnego pokrywają się z funduszu zostawionego przez założyciela i z subwencyi, którą płaci gmina izraelska w kwocie 80,000 fr. rocznie. Przez ogród nader obszerny łączy się ten szpital z domem przytułku dla chorych nieuleczalnych, założonym przez panią James Rotschildową i mieszczącym 70 łóżek, na utrzymanie których zostawiła fundatorka po 800 fr. renty na każde łóżko. Nakoniec, w równie bliskiém sąsiedztwie

znajduje się dom przytułku dla starców, który jest także fundacyą rotszyldowską, utrzymywaną dziś tym samym trybem co i głośny szpital (przy współudziale gminy), a z którym pod względem doskonałości urządzenia żadna, niestety, municypalna czy prywatna instytucya tego rodzaju nie wytrzymuje porównania. Jest to prawdziwe Eldorado, dające schronienie 92 starcom i staruszkom. Żadnego tu rozdziału między płciami. Podwórze, ogród, sale jadalne są wspólne. Wspólny także salon, w którym gra w warcaby i w domino, roznamiętnia sędziwych mieszkańców, ale w którym kwitnie także często ożywiona rozmowa. Karty nie są dozwolone. Od 8-éj rano do 8-éj wieczorem, drzwi stoją otworem. Wychodzi kto i dokąd chce. Stół obfity z zastawą prawie wykwintną błyszczącą od szkła i porcelany. Przed każdém nakryciem karafka z ½ litra wina. Każdy starzec i każda staruszka mają osobny pokoik, z łóżkiem wygodném, szafą, stołem, fotelem, parą krzeseł, dzwonkiem elektrycznym, lampą gazową i otworem od kaloryferu. Czterdzieści pokoików dla mężczyzn i tyleż dla kobiét, z sześcioma dodatkowemi pokojami o dwóch łóżkach dla małżeństw. Umywalni nie zawierają pokoje. Doświadczenie kazało zastosować wyjątkowo w tym względzie zasadę wspólności. Czystość zyskuje podobno na tém rozporządzeniu. Wszystko zaś to jest całkowicie, absolutnie bezpłatne. Nawet odzienie i bielizna, dla potrzebujących. Koszta pokrywają pojedyńcze fundacye, które z 10,000 fr. podniesione zostały obecnie do 15,000 na każde łóżko, ale nie okazują się jeszcze wystarczającemi i zmuszają gminę do wyrównywania deficytu. Liczba 92 łóżek nie odpowiada także potrzebom. Każdego roku zgłasza się przeszło 100 osób, z których jedną trzecią część stanowią ośmdziesięcioletni staruszkowie.

B. Fundacye komitetu dobroczynności.

Komitet izraelski podejmuje wielką liczbę działań dobroczynnych, a mianowicie: rozdaje stałe wsparcia ubogim, zapisanym do ksiąg gminnych i tymczasowe zapomogi ubogim przejezdnym; udziela w potrzebie, tym ostatnim potrzebnych środków na powrót do domu, dostarcza w zimie drzewa opałowego i węgla rodzinom biedniejszym; utrzymuje tanie kuchnie (300,000 porcyi na rok); niesie pomoc kobietom będącym przy połogu; rozdaje ubranie ciepłe dzieciom chodzącym do szkół początkowych i ubiéra przyzwoicie dzieci wstępujące do synagogi (*initiation religieuse*); kupuje maszyny do szycia; zarządza kasą pożyczkową; zajmuje się sierotami i dziećmi opuszczonemi, które umieszcza w domach prywatnych, płacąc od 20 do 40 fr. miesięcznego wynagrodzenia za ich utrzymanie; kieruje wreszcie poniekąd organi-

zacyą około 40 stowarzyszeń wzajemnéj pomocy. W zakres jego inicyatywy wchodzi nadto pewna liczba odrębnych fundacyi. Do nich należy „Instytucya bezpłatnych mieszkań“. Mieszkania te najmują się dla ubogich Żydów w domach prywatnych (izraelici bowiem brzydzą się hotelami) za cenę wynoszącą przeciętnie 240 fr. rocznie. Pieniądze za najem idą wprost do rąk właściciela dla uniknięcia nadużyć. Przeszło 60 rodzin korzysta z tego dobrodziejstwa. Obok, na zaznaczenie zasługuje „Instytucya wiecznego odpoczynku“, czyli „Ziemi obiecanéj“, zapewniająca opuszczającym ten świat izraelitom modlitwy przepisane rytuałem, trumnę przyzwoitą i osobne pomieszczenie na cmentarzu, co ze względu na większy u izraelitów, niż u katolików czy protestantów wstręt do wspólnego „dołu“, stanowi dobrodziejstwo wielkie. Osobliwą zaś doniosłość przedstawia „Dom przytułku dla dzieci“, zostający pod nadzorem osobnego komitetu dam, któremu przewodniczy pani Coralia Cahen i dostarczający wyjątkowego przykładu organizacyi rozumnie i szczęśliwie przeprowadzonéj. Dom ten był pierwotnie przeznaczony do przyjmowania dziewcząt, skazanych na odsiadywanie pokuty w więzieniu St.-Lazare (*Correction paternelle*) i miał pomieszczenie dość ciasne. Z czasem znaleziono wspaniałomyślnego dobroczyńcę, który zakupił obszerny grunt na przedmieściu w Neuilly, zebrano przeszło 250,000 fr. i obok domu przytułku czy poprawy, założono ochronkę dla siérot. Ochronka połączona ze szkołą, jest wzorowa i lepiéj urządzona niźli wszystkie inne, a nieporównanie wytworniéj. Łazienka (dar pani Salomonowéj Rotschildowéj), mogłaby znaleść miejsce w najwykwintniejszym domu. Każda dziewczynka uczęszcza do niéj raz na tydzień. Jest ich w ochronie 90. Przyjmują tu dziewczynki mające pięć lat skończonych i zatrzymują tylko do lat 21. Ale czynią się wyjątki. Co do domu przytułku czy poprawy, ten mieści się w sąsiedniém skrzydle i odznacza także doskonałością urządzenia, ale stoi pustką. Brakuje kandydatek, których od daty założenia ochronki, przestało dostarczać więzienie St. Lazare, wypróżnione z odpowiedniego kontyngensu młodych przestępczyń. Ochronka zabiła dom poprawy. Wypadnie zapewne zamknąć ten ostatni wydział zakładu. Zakładu odpowiedniego dla chłopców nie posiada dotąd gmina izraelska. Ale posiada drugą ochronkę dla siérot obojéj płci, założoną w r. 1874 przez panią James Rotschildową i dającą pomieszczenie 50 dziewczynom i 57 chłopcom. Dziewczęta pozostają tu aż do chwili, w któréj znajdują odpowiednie zajęcie; chłopcy zaś po ukończeniu 13 roku idą do klas wyższych w szkołach publicznych, albo do szkoły terminatorskiéj. Towarzystwo opieki nad terminatorami wyznania mojżeszowego posiada tego rodzaju szkołę, która od r. 1878 jest policzo-

na w poczet zakładków użyteczności publicznéj. Dzieci w niéj pomieszczone pracują po za obrębem szkoły w rozmaitych warsztatach, wracając na obiad o 12-éj. Ci, którzy udają się do zbyt odległego warsztatu, zabierają obiad z sobą w metalowém naczyniu polewaném. O 7-éj wieczorem wszyscy muszą być z powrotem na kolacyą, po któréj następuje nauka w klasie aż do 10-éj. Ta sama organizacya odnajduje się w takiéjże szkole dla dziewczyn, założonéj w r. 1872 przez Ludwika i Amelię Bischoffsheimów i przyjmującéj 50 uczenic. Kursa dla dziewczyn, liczących od 12 do 15 lat wieku, trwają 3 lata, i obejmują: gimnastykę, taniec, śpiéw, szycie, muzykę, naukę języka angielskiego dla wszystkich wydziałów, oraz trzy wydziały: nauczycielek, kupiectwa i robotnic. W tym ostatnim wydziale mieszczą się warsztaty, któremi kierują nauczycielki sprowadzane z miasta, przynoszące modele i t. d. Dzie godziny nauki szkolnéj dziennie i 4½ godzin pracy w warsztatach.

C. Lecznica dla ubogich dzieci imienia pani Furtado-Heine.

Zakład to znowu nie mający równego sobie ani w Paryżu, ani gdzieindziéj pod względem wytworności urządzenia. Nie żałowano tu niczego. Nie żałowano najprzód miejsca. Obszerny gmach składa się jedynie z parteru na suterenach. Powietrza i światła wszędzie podostatkiem. W suterenach mieszczą się urządzenia kaloryferowe i wentylacyjne, pralnia, suszalnia, kuchnia, kredens, refektarz i sala dezynfekcyjna. Na parterze widzimy: salę do kąpieli zwyczajnych, salę do kąpieli siarczanych, salę do kąpieli elektrycznych, salę do gimnastyki, salę do masażu, salę do elektryzacyi, kilka sal do przyjmowania chorych, gabinety lekarzy i aptekę. Wszystko ogromnych rozmiarów i najwykwintniéj urządzone i zaopatrzone. „*Vous ferez pour le mieux*“ powiedziała p. Heine swoim architektom. We wszystkich salach zastąpiono ostre krawędzie i kanciaste zetknięcie ścian łagodnemi zaokrągleniami dla odebrania wygodnego pomieszczenia mikrobom. Choroby zaraźliwe wykluczonemi są zresztą z zakładu. Wszystko jest całkowicie bezpłatne, dzięki 100 tysiącom fr. renty przeznaczonym przez panią Heine na utrzymanie zakładu. Pięciu lekarzy ordynuje w nim stale. Każde przybywające dziecko otrzymuje tabliczkę z numerem, podług którego zapisane zostaje w dzienniku, z dołączeniem uwag, dotyczących wieku, choroby, lekarstw i t. d. Lekarstwa wydają się bezpłatnie w miejscowéj aptece lub innych wskazanych przez zarząd, jak również zalecone przyrządy ortopedyczne. Bezpłatnym jest tak-

że wstęp do refektarza na dole. W r. 1886 wydano 22,409 kąpieli siarczanych, słonych i elektrycznych, natrysków i t. d., oraz 30,324 obiadów, złożonych z zupy, mięsa, ryżu i wina. Przeciętnie 150 dzieci dziennie zasiada do stołu. Ma się rozumiéć nie są to wyłącznie ani nawet głównie dzieci izraelskie. Zakład otwarty jest dla wszystkich. Dwa razy do roku urządzane są nadto zabawy dla tychże dzieci, które ściągają i rodziców, ponieważ każda z dzieckiém przybywająca matka otrzymuje dwa funty mięsa i 2 fr. Dzieci otrzymują rozmaite upominki i zabawki. I te dwie fety w żydowskim, przez żydówkę założonym domu, odbywają się na Boże Narodzenie i na Wielkanoc! Zakład istnieje od r. 1883. W sąsiedztwie znajduje się szkoła rzemiosłowa dla ociemniałych, wybudowana i urządzona także przez p. Heine, która podarowała ją towarzystwu, zajmującemu się specyalnie losem ślepych robotników (*Société des ateliers d'aveugles*). Gmina izraelska w Paryżu posiada między swemi członkami największych bogaczów, jacy są we Francyi, a nawet na całym kontynencie; ale téż ci bogacze płacą dobroczynności procent sowity. Niedawno, wspomniana już kilkakrotnie przez nas p. James Rotschildowa zostawiła testamentem 600,000 fr. dobroczynności publicznéj, a pani Koenigswarter zapisała milion na rzecz młodych, na pokutę w domu poprawy skazanych chłopców. Tego rodzaju przykłady są nader częste. Powinni o tém pamiętać Drummont'owie tutejsi i nietutejsi.

Kończąc ten dość pracowity, a jednak tak pobieżny przegląd, zaznaczymy razem z p. du Camp, i z równą przykrością, że mimo tych wszystkich wysileń ofiarności publicznéj i prywatnéj, Paryż pozostaje jednėm z miast, w których nędza najwięcéj rzuca się w oczy, a żebractwo najszerzéj rozpościéra się po ulicach. Składają się na to rozmaite przyczyny, między któremi wielką rolę odgrywają: siła atrakcyjna wywierana przez stolicę, po części właśnie za sprawą téjże saméj, tak spotęgowanéj ofiarności mieszkańców, a następnie malwersacye liczne, którym podlega szafunek tego hojnie wydawanego grosza jałmużniczego. Żebracy z profesyi, mogący ale nie chcący pracować, liczą się na dziesiątki tysięcy. W bogatszych bowiem dzielnicach, jeden dzień żebraniny przynosi od 10 do 30 fr. „Bony“ do tanich i bezpłatnych kuchni sprzedają się handlarzom win, którzy płacą regularnie 16 susów za 30 „bonów“, posyłają po zakupioną w ten sposób strawę trudniących się tém rzemiosłem łotrów i odprzedają ją z zyskiem swojéj klienteli, złożonéj z dorożkarzy lub robotników. Szesnaście susów przynosi tym sposobem do 9 fr. Przed niedawnym czasem funkcyonowała ochronka imaginacyjna, założona na papierze przez trzech oszu-

stów, którzy kwestując za pośrednictwem 20 wspólników, zbierali do 75,000 fr. rocznie. Jako środek zaradczy, obmyślona została świeżo „Instytucya pomocy przez pracę“ albo „Miłosierdzia skutecznego“. Założono pracownię (szwalnię) dla kobiét, z odbytem zapewnionym w wielkich magazynach. Co się tyczy mężczyzn, porozumiano się z 15 przemysłowcami, którzy podjęli się dawać zajęcie trzydniowe każdemu przedstawionemu sobie mężczyźnie, płacąc 4 fr. dziennie. W pierwszym roku zgłosiło się 727 kandydatów, ale z téj liczby tylko 174 stanęło do roboty; następnie zaś 37 po odbytéj połowie dnia, zażądało połowy zarobku, na obiad, i nie pokazało się wcale; 68 wytrwało do wieczora, wzięło 4 fr. i nie wróciło nazajutrz; 50 pracowało dwa dni; 18 tylko dotrzymało placu do końca i pozostało w zakładach, które ich przygarnęły. Zaniechano przeto dalszych usiłowań w tym kierunku. Instytucya, o któréj mowa, utrzymuje natomiast biuro informacyjne, które oddaje wielkie usługi, odbierając w zimie do 250 listów dziennie, i odpowiadając na nie z wielką skrupulatnością, prowadząc rejestra bardzo starannie i dokonywając sprawdzań bardzo sumiennie.

X.





OJCOWIZNA.

OBRAZ Z ŻYCIA KRAINY PODKARPACKIÉJ

z niedalekiéj przeszłości.

I.

Na gruncie kmiecym, jeden z numerów obszerniejszéj wsi dziedzicznéj stanowiącym, siedziała Woronycha-wdowa. A choć miała dwóch chłopców, lecz że to były dopiéro niedolatki, chodziła sama „na pańskie,“ częściéj zaś posyłała parobka swego, „najmita“, którego, mimo iż nie miała zasobów, trzymać była zmuszona, gdyż kobiéta sama nie dałaby rady wszystkim obowiązkom.

Z sąsiadami mało się wdawała, -- a gdy ją który pozdrowił słowem „Pomahaj!“, wówczas na pozdrowienie odpowiadała krótko, nie zwracając nawet oblicza, i daléj szła swoją drogą. Chłopi ruszali głowami, dając do poznania, że jéj się coś „czepiło,“ bo do „chrześcianina“ nawet po ludzku nie przemówi, tylko patrzy ponuro, a czasem, jak-ci stanie na jednem miejscu, to jeno stoi, zapatrzona gdzieś przed siebie, jakby coś widziała, gdzie dla drugiego nic nie ma. Oj! nie musi to być z nią dobrze!... Ha! kara to Boża na Woronów, powiadano ze wszech stron. Niewiasty zaś o niéj dawały do poznania, że już jest „taki“, który do niéj „ma swoje „prawo“...

Kobiéta mimo to robiła, co do niéj należało; nie rozprawiała, nie zrzędziła, jeno brała jedną robotę po drugiéj, milcząco, obojętnie, — i jakoś szło tutaj wszystko... choć wdowie nie było to łatwém; bo gdy przyszło z pługiem wyprawiać w pole, wtedy już nie szły w jarzmie, jako dawniéj, dwie pary wołów, gdyż tylko jedna się została, lecz musiano już konia doprzęgać przodem. Na „poganiacza“ szedł wówczas

starszy jéj syn, Fedorko, młodszy zaś nie byłby jeszcze w stanie ściągnąć zaprzęgu. Matka ostro ich trzymała, a wcześnie przyzwyczajając do pracy, nie wiele do nich odzywała się; chłopcy téż bali się jéj, jak ognia.

O ojcu nigdy nie wspomniano. Kiedy zaś młodszy, Hnatko, widząc, że inne dzieci mają ojców, chciał się czasami o swojego zapytać, wówczas stara, gniewnie mruknąwszy, kazała mu daléj robić swoje... lub téż pójść sobie na podwórze, gdzie już mógł się dowoli napatrzéć, jak kury grzebią w śmieciu, albo jak pies na widok chłopca usiłuje zabawić go skokami swemi.

Hnatka to wszystko bawiło; miałby jednak zawsze ochotę o ojcu swoim czegoś się dowiedziéć. Dziwił się zatém, czemu to o rodzicu mówić mu nie wolno, czemu „maty" wtedy zła, gdy on się o niego pyta.

Chłopiec mało mógł ojca zapamiętać. Dla niego było to, jakby coś bardzo dawnego... niby z jakichś mętnych czasów. Pamiętał on tylko tyle, iż razu jednego, bardzo wiele widział ludu... Gdzie to się działo i kiedy... tego nie wiedział; jednak to się dziać miało, jakby na błoniu jakiemś rozległém... Wszyscy tam się zebrali, jak gdyby dla ojca jego, ale oni obaj nie byli wtedy z ojcem: byli z matką. Pamięta jednak, że matka zbliżyła się z nimi do ojca... Co zaś daléj było, tego już nie pomni... To jedno w pamięci mu zostało, iż ojca gdzieś potém zdaleka tylko widziano... i ludzie się pchali i ścisk był wielki... Przypomina sobie nawet, że stali wówczas rzędem jacyś straszni ludzie z dużymi „gwerami", tak, jak dziś mają żołnierze... On się bardzo bał... Matka wzięła go na ręce, ale gdy chciał się patrzéć, mruknęła: „Nie patrz się tam!"... jak gdyby nie chciała, żeby on tam poglądał. Potém już tylko słyszał głuchy odgłos bębnów... Wtedy bardzo się nastraszył, a ludzie się rozchodzili. Maty także śpiesznie z nim wracała do domu.

Więcéj o ojcu nie pamięta. Brat zaś, Fedorko, od niego czasem zagadnięty, również zbywał niczém zapytania. Lecz zdziwiło go, iż gdy dnia pewnego był z chłopcami na ślizgawce, wówczas, pchnąwszy z nich jednego, usłyszał słowa: „Bodaj ciebie nie minęło, jak twojego bat'ka!"... To chłopca zastanowiło, i nad tém rozmyśliwał, coby to być mogło, co się ojcu jego stało... Czy go wilk jaki pożarł w lesie... albo może przechodząc gdzie przez wodę rodzic nie utonął?... Ale gdy się pytał o to Fedorka, ten mu nic nie powiadał, jak gdyby obawiał się matki.

Innym znów razem usłyszał od drugiego w kłótni: „Ty będziesz takim, jak twój ojciec!"... I widział potém, jak brat jego starszy za to tamtemu dobrze karku nagiął. Chłopiec zastanawiał się zaraz nad

tém, jakim-to mógł być jego ojciec... On domyślał się teraz, że to coś musiało być niekorzystnego dla rodzica, — ale coby to było, co tamten chciał przez to powiedzieć, tego nie mógł dociec... Ciągle jednak nad tém myślał. Raz nawet, gdy prawiono coś o ojcu jego, a on uszy nadstawił, sąsiadka ich pogłaskała go wtedy, mówiąc: „Nie bój się, zazulu... Ty nie będziesz, jako batko!...“ To go jeszcze mocniéj uderzyło.

I gdy tak nieraz nad tém dumał, dnia pewnego dowiedział się od innych chłopców, że „tato jego... porznął żydów... i za to poszedł na śmierć!“

Wielkie na to zrobił oczy... Nie mógł teraz pojąć, za co to rodzic jego rznął żydów... Co mu też oni zrobili?... I dlaczego to „pany“ za to jemu „śmierć zadali“?... W wyobraźni jego „pany“ byli tak groźni, iż się bał na samo ich wspomnienie. Nad tém, czego się teraz dowiedział, myślał długo — i w mózgu jego powstawał chaos. Mąciło mu się w głowie... a chodził, jakby po omacku: obracał się teraz nader niezgrabnie, straciwszy wesołość chłopięcą... ale bał się matki pytać... Mimo to zdało mu się, że na nim i na jego matce jakaś biéda teraz cięży... i dlatego on dziś gorszy, niżeli inne dzieci. Stawał się odtąd bardziéj nieśmiałym a podejrzliwym... ale i złym na drugie dzieci, zazdroszcząc im, że one mają ojców, których to nie spotkało.

Po niejakim zaś czasie zły już był na tego ojca swego. Przyszedł zaś do przekonania, iż sam temu przecież nie winien: bo co on winien, że ojciec jego rznął żydów?... Ponieważ zaś Hnatko był młodym, wrócił w krótkim czasie do dawnych swoich zabaw, dawnych zatrudnień; z chłopcami jednak drugimi był dziś nieco innym... patrzył na nich nie tém samém już okiem: on miał do nich więcéj złości. Wobec matki musiał zaciąć nieraz zęby, bo z matką „kłótni nie było... Maty rzekła słowo... a uchowaj Boże! jéj nie posłuchać!“...

Lecz bez wojny z chłopcami nie mogło się obejść. Bo gdy mu raz któryś powiedział: „Ty tak zawiśniesz, jak twój ojciec!...“ toć go Hnatko poczęstował, iż chłopcu dwóch zębów brakło. Hnatko czasami był gwałtowny; poskramiana przy matce gwałtowność tém bardziéj w obec innych wybuchała. A tu skrzywdził on i pokrwawił chłopca „bohacza.“ Za to też ojciec ujął się za synem swoim,—i zbił Hnatka, jak nieboże stworzenie, — a gdy się matka jego o tém dowiedziała, to zamiast syna pożałować, jeszcze mu doprawiła, dogadując: „Nie wdawaj się! nie chodź! gdzie ci nie każę“... Chłopiec musiał połknąć w sobie żal wszelki i złość swą wszystką. Wspomniał w tym razie ojca, iż gdyby ten żył, nie dałby go tak sponiewierać... Ale tu oraz czuł żal do tego ojca, że go opuścił, nie pamiętając o nim wcale.

Pomimo że wdowa trzymała wszystko w karbach, jak mogła, bez gazdy jednak ciężko szło gospodarstwo; jeszczeby to szło jako tako,— ale wychodzić „na pańskie“ nie było komu. Jeśli „najmit“ wysłany był na łan dworski, pole własne w takim razie nie było uprawione. W czas wtedy nie zasiano i w czas nie zebrano. Coraz téż bardziéj wszystko upadało. A jeśli nie stało chleba, to „najmit“ się odprawiał,—o drugiego zaś było trudniéj, bo gazdyni przykra, i za wiele wymagała. Nie było więc kogo wysłać na łan dworski... W takim razie musiał dwór kogo innego osadzać na gruncie, któryby był w stanie wszystkim zadość uczynić powinnościom. Nie chciano bowiem dopuścić, by grunt chłopski zostawał „pustką.“ Już i tak kilka numerów było we wsi opuszczonych, gdyż siedzący na roli, pozostawiwszy wszystko na bożą wolę, gdzieś się wynieśli; dwór nie mógł zatém dopuścić, żeby i grunt po Hawryszku Woronie, niegdyś zasobny, taki sam los spotkał.

Oddano więc innemu, który miał obsiewać, i za niego „ciągłe“ i „piesze“ odrabiać. W owych czasach nie tyle jeszcze ceniono własności, ile możność utrzymania się na gruncie przy różnorakich ciężarach, gdyż oprócz dni „pieszych“ i „ciągłych“ robocizny, należały do tego jeszcze różnorakie osépy i szarwarki. Jeśli chłop nie mógł dać rady temu, rzucał grunt, z całą obojętnością, a nie zawsze śpieszył się drugi zająć miejsce opuszczone.

II.

Woronów grunt oddano dziś zatém innemu gaździe... takiemu, który będzie w stanie ponosić przywiązane do roli ciężary; wdowie pozostawiono chałupę tylko z kawałkiem ogrodu, — na całém zaś gospodarzył drugi.

Kobiéta przyjęła dolę swoją milcząco, z pewnym niejako fatalizmem; była tylko odtąd bardziéj ponura i bardziéj na wszystko zobojętniała. Rzadziéj téż wychodziła z chaty swojéj, i rzadziéj na wsi ją widywano.

Nie tak zaś jéj dzieci. Młodszy z nich osobliwie nie mógł pojąć, co to się teraz stało... i dlaczego tak się stało... Od początku życia swego, przyzwyczajony wszystko do koła swéj chaty uważać jako swoje, nie mógł dziś pojąć, żeby tu kto inny miéć mógł jakie prawo. Zawsze przecież widział, że ogród cały do nich tylko należy, zagumienek—ich, że glebę na niwkach ich to krajały woły... a teraz dano mu do poznania, że im tu nie wolno, ani jemu, ani nawet matce; dziwił się zatém, dlaczego to maty, któréj on się tak bał zawsze, tutaj nic na to

nie mówi, gdy drugi w jéj wchodzi prawa... A kiedy czasem podjąć chciał patyk jaki z walącego się płota, by zanieść do pieca, chwycono go zaraz za rękę, ażeby zostawił, co nie „jego"... Chłopak sile większéj musiał ustąpić, — odszedłszy atoli parę kroków, pokazał, że ma zęby, któremi kąsać może. Mimo to od wszystkiego odganiano chłopca, w którym żółć się tylko burzyła. Chwilami widząc dzieci nowego gospodarza wyłażące na jabłonie, które należały do Woronowego gruntu, dostawał czemprędzéj ochoty pościągać je stamtąd, jako złodziei, co się do cudzéj skradają własności.

I były o to wszystko często swarnie i ubijatyki. Lecz to wcale Hnatka nie przekonywało o prawowitości nowych posiadaczy.

Matka jego coraz mniéj się z chaty wychylała, coraz bardziéj już nie domagając,—dlatego téż on sobie więcéj pozwalał na dworze. Czasem prętem pociągnął które z dzieci nowego gazdy, dawszy do poznania, że niejednego im tu nie wolno: bo chociaż ojciec ich od niego mocniejszy, mimo to on sam nie da tutaj sobie wszystkiego odbierać. Sad przecież — to matki i jego, jabłonie w nim i grusze — do nich należą. A niwki owe wszystkie, maty przecież zawżdy obsiewała?...

Stał nieraz chłopak godzinami, zabundziuczony, z włosem opadłym na lice, utkwiwszy wzrok w to, co „ich" dawniéj było, i łzy mu się kręciły w oku. Myślał nad tém, dlaczego im to wszystko odebrano... Dziś złorzeczył on ojcu, który ich tak pozostawił, że się teraz obcy na ich ojcowiźnie rozsiedli. Patrząc nieraz, jak ten nowy, jemu wrogi gospodarz ziarno rzucał na rolę zoraną, miał już na uściech słowa złowrogie: „Bodaj tobie ta rola teraz jeno kamienie...!" Lecz tu się wzdrygnął, nie dokończywszy życzenia, jakby grzech popełnił; słyszał bowiem zawsze od ludzi, że „święta ziemia" rodzi chléb, a nie kamienie. Mimo to, gdy dłuższa nastawała posucha, lub téż kilkudniowa w czasie kwitnienia zboża słota, wówczas myślał tylko z pewném upodobaniem o wrogu, który na ich siedzi roli.

W takich więc uczuciach—w takiém pragnieniu — rósł Hnatko. A gdy starszy, oddany na służbę innemu gaździe, nie był przymuszony patrzéć codziennie na swoją ojcowiznę, w obcém będącą ręku, Hnatko przeciwnie, pasąc tylko ostatnią, pozostałą matce krowinę, po rowach i pod płotami, miał tu dość czasu i dość sposobności napatrzenia się na obce gospodarstwo, rozsiadłe na jego ojcowiźnie.

Gniew się w nim budził, zazdrość go jadła: on cierpiał. Do koła siebie widział innych, co z pługiem, z broną, na własne swoje ciągnęli pola, na własne z kosą wychodzili łąki: on zaś dziś nie ma roli, nie ma „chudoby", została im tylko chata, ze starém poszyciem, omszoném,

przez które jeno ciekło do środka, gdy u innych dachy świéżą jaśniały słomą.

Godzinami tak dumał, i paliło go pragnienie. Ach! coby on dał za to, gdyby to się wrócić mogło! onby dziś pościł, w każdą niedzielę dawał na „służbę bożą“, jak nikt we wsi! onby pracował od świtu do nocy. Hnatko chwilami nawet rozkoszował w myśli, jakby to on był szczęśliwym, gdyby to się wszystko nazad wróciło!

Zasypiał nieraz z tą myślą, leżąc w dzień skwarny u płota, kiedy się krowina jego w pobliżu pasła... Wtedy się zdarzało, iż mu się przyśnił nawet ojciec jego... taki, jakiego on sobie nigdy nie wystawiał... Jednak mu tam mówiono, że to ma być rodzic jego... On w téj chwili usiłował zbliżyć się do niego i zapytać, czemu stary w takim stanie ich pozostawił?... I gdy szedł za nim, chcąc mu poskarżyć, że dziś obcy na jego siedzą roli, o czém on nie wié, człowiek ów ciągle go jakoś unikał, raz w raz na bok gdzieś odchodząc. Nareszcie znaleść go już nie mógł... a szukając z trwogą coraz większą, obudził się i—zoczył się tylko ponad brzegiem rowu, krowina zaś jego zaszła tymczasem w zboże wroga... Ha! nic nie pomoże! musiał jeno powstać, i stamtąd ją kosturem wyganiać.

Matka dziś coraz już rzadziéj opuszczała izbę swoją... Nareszcie gdy się dnia pewnego położyła, już więcéj nie wstała. Do syna nawet nie odzywała się, nie miała żadnéj dziś chęci, żadnych pragnień, tylko pokazywała mu znakiem, żeby jéj podawał wody, którą piła z chciwością. A jeśli na chwilę zasnęła, mówiła przez sen, a często i bez snu na jawie, ale chłopak tego rozumiéć nie mógł.

Pewnego dnia nareszcie, gdy się obudził, czekając czas niejaki, póki się maty nie ruszy i czego nie zażąda, zbliżył się potém powoli i—zadrżał: maty już nie żyła.

Pognał z przestrachem po brata swego. Obaj nie wiedzieli, co teraz czynić... Na szczęście znalazły się litościwsze sąsiadki, które przybyły tu na pomoc młodym. „Chrześcianina“ przecież tak nie zostawią ....

Wzięły téż ciało i umyły, potém przebrały w świéże „płótno.“ Zapaliły gromnice—i jedna z nich czuwała przy zmarłéj.

Odbył się pogrzeb ubogi. A choć zmarła z nikim nie żyła, mimo to ludzi pobożnych kilkoro odprowadzało zwłoki na cmentarz.

III.

Dzieci zostały same. Teraz i Hnatko musiał pójść na służbę. Miał tyle siły, że mógł być pomocnym drugiemu parobkowi przy ukła-

daniu na wóz snopów, w zimie, zaś przy młocce starszemu pomagał najmitowi.

Więcéj też teraz był zajęty, mniéj miał zatém czasu myśléć o sobie i o własnych stratach. To mu na dobre wychodziło, gdyż wyrabiały się w nim muskuły i uczył się pracować. A gdyby się był zawsze samym jeno oddawał myślom, mogłoby to chłopca na prawdę do złego doprowadzić.

Po pracy codziennéj, kiedy miał nieco wolnego czasu, schadzał się z bratem, który służył u innego gazdy. Tu zawsze Hnatko do jednego powracał i tego samego przedmiotu, że grunt ich ojca obcy dziś posiada, — a wspominając o tém płakał, — ale starszy, Fedorko, nie miał ochoty ciągle narzekać. „Wszystko w bożych rękach — mawiał tylko, i napominał młodszego, by się szanował u swego gazdy, bo jeśli go tenże wygoni, zejdzie w takim razie na dziady... „Będziesz chyba dziadowodem“—zawżdy dodawał. Hnatko i tak nie mógł tu długo narzekać, bo robota czekała wieczorna; trzeba przecież było na noc koniom podścielić i za drabinę zakładać.

Chłopak nie odciągał się od pracy, do wszystkiego brał się chętnie, raźno uwijając. Nieraz nawet ponad siłę swoją usiłował dowieść, iż wszystkiemu da radę. Gdy więc starsze parobki na wóz podnosiły wory ze zbożem, chłopak wtedy, z własnéj ochoty, dźwignął jaki, za ciężki na siły chłopięce, i cały czerwony, zadyszany, na wóz go wygramolił. Starsze chłopy dziwili się sile, a takiéj ochocie chłopaka. Jeśli go zaś który parobek odepchnął, mrucząc, że to „nie dla żerebaka takiego robota,“ to się Hnat uwziął, iż potrafił sprostać starszym od siebie i silniejszym, choć wtedy na bok się zwróciwszy miał już świéczki w oczach, jednak nie dał się zawstydzić.

Tylko gdy przechodził koło którego z zagonów niegdyś matczynych, gdzie dziś cudze orały woły, wówczas nie mógł przenieść na sobie, ażeby choć nie westchnął. Nie klął dziś wprawdzie, ani złorzeczył, ale dnia tego był już „markotny.“ Im daléj w lata postępował, tém się stawał spokojniejszym, tém również więcéj przychodził do przekonania, że on tam nie ma już prawa, gdy inny na téj roli pracuje. Mimo to nigdy nie mógł obojętnie na dawną pozierać ojcowiznę.

Fedor zaś był innego zdania. Ten, gdy widział brata, poglądającego na dawną ich zagrodę, machnął jeno ręką, dodawszy: „Ta, co się patrzysz?... Ta, ot! Alboż to gruntu nie ma na świecie?“

Chłopak się wypatrzył.

— Ta-bo tak—dołożył starszy.— Aby jeno zdrowia człowiekowi... to jak-ci Bóg da... Czasem można „przystać i do innego“...

Fedor był już parobkiem i inaczéj sądził o wszystkiém, do tego

miał spokojniejsze usposobienie. Hnatko jeszcze tak nie myślał,—on tego nie mógł pojąć, żeby grunt obcy mógł być takim, jako ich ojcowizna. Dla niego tylko miejsce, gdzie się urodził i wychował, było zagrodą i rolą, było rzeczą pożądaną.

Starszy zaś widywał, jak to nieraz syny gazdów, zawcześnie pomarłych, zostawszy sierotami, opuścić musieli grunt ojcowski, potém zaś „przystawali“ do innéj chaty, innego gospodarstwa — i dobrze im się działo „na gruncie teścia.“ Był on bowiem w tych już właśnie latach... dlatego starał się przypodobać gaździe, gdzie służył, i który miał dziewkę. A gdy „na muzykę“ do karczmy wraz z innymi chadzał parobkami, toż zadziewał wtedy nową na „soroczkę“ opończę, przez rok zapracowaną, łeb zaś swój, ówczesnym obyczajem, wysoko podgalał, że tylko na środku kosmyk zostawał brunatnego jego „wołosia.“ Jemu bowiem tak wypadało, jako parobkowi; gdy przeciwnie, Hnatko o tém wszystkiém ani myślał jeszcze: toż tylko chłopcu podstrzygiwano białawe jego kędziory, pozostawiając szerszą a bujniejszą na środku czuprynę. Hnatko był urodziwszym od starszego, lecz sam o tém nie wiedział, a wszelka krasa była mu dziś jeszcze obojętna. Głębokie jego, niebieskie oczy, patrzyły tylko przed siebie, jak gdyby on tam czegoś szukał. Chłopiec więcéj dumał, niżeli patrzył. To już miał od czasów swego pasterstwa, przymuszony wtedy raz w raz pozierać na grunt swój, na którym obcy gospodarował... a może to się datowało od wcześniejszych jeszcze czasów.

Hnatko nie miał dziś nikogo prócz starszego brata, który mu pozostał z jego rodziny.

IV.

Nastąpił wkrótce czas branki. Gazdowie chodzili raz w raz do dworu swojego, i do pana „mandatara“ aż na trzecią wieś, by módz syny swoje, dorosłe parobki, uwolnić. Kto chodził koło swojego i miał o czém chodzić, temu się jakoś udawało; Fedor zaś nie miał nikogo, ktoby za nim się ujął.

Następnie pognano parobczaków wraz z młodzieżą siół okolicznych do miasta, gdzie się odbywał asenterunek.

Hnatko również wyczekiwał z niepokojem a trwogą, czy téż brat jego do domu powróci...

Wracali inni, najczęściéj pijani, radzi, że ich nie wzięto w rekruty. . Fedora jeszcze nie było... Hnatko się zatrwożył i bardzo posmutniał...

Na drugi dzień zaś spostrzegł wracającego brata... i oczy mu się zaraz zaśmiały...

— Ty wracasz?—zawołał z radością.

— Ta, wracam—odrzekł tamten, dodawszy czemprędzéj:—Patrz! i tu zdjął „kapeluch.“

Hnatko w dłonie uderzył. Ujrzawszy głowę jego z „wołosia“ obnażoną, prawie tuż gołą, poznał, jaki los spotkał Fedora. Tém okropniéj chłop wyglądał, bo gdy niedawno, nie wiedząc jeszcze o brance, łeb sobie dał świéżo podgolić, teraz mu jako rekrutowi musiano uciąć cały „osełedec“... Hnat patrzył na brata, jakby się z tymże w jednéj chwili coś stało okropnego...

Chłopak się przeraził — i tém większego nabrał strachu przed tymi „pany, co mogą człowieka tak-ci „oprawić.“ Hnatko nie robił różnicy, — dla niego bowiem, kto nie był chłopem, był tylko „panem“,—a tu władza „panów“ musiała być wielka, skoro mogą wszystko zrobić z człowiekiem. Hnatko też prawie mityczne miał o nich wyobrażenie.

Fedor odszedł do wojska na długo, może bardzo długo... Hnatko pozostał sam już z rodziny — i bardzo sposępniał. Praca jednak, coraz większa, nie dawała mu się ciągle smutkowi oddawać. Mimo to był nieswój, dzisiaj nie miał nawet komu o swojéj biédzie rozpowiadać.

W chacie, gdzie on służył, prócz dwóch małych chłopców była również i starsza od nich dziewczyna; lecz chłopak nasz nie był już w wieku, w którym chłopcy bawią się zarówno z dziewczętami, ale on również nie był jeszcze w takim, w którym płci obie wzajemnie się szukają.

Hnatko poglądał obojętnie na Mełankę; ale ponieważ mu tu „markotno“ było, iż nie ma z kim gwarzyć i o swoich biédach rozpowiadać, Mełanka zaś, tak się łagodnie nań patrzyła, — zbliżył się zatém do niéj, i zaczął jéj to samo opowiadać, co dawniéj opowiadał bratu; a miał jéj jeszcze więcéj do opowiadania, gdyż ona nie wiedziała tego wszystkiego, co Fedor, żyjący wraz z nimi, kiedy jeszcze żyła „maty.“ Dziewczyna z ciekawością słuchała, on zaś był rad, iż miał tu przed kim się rozszerzać. Atoli nie sądźmy, żeby się pomiędzy niemi zawiązywał zaraz jaki gorętszy stosunek... Bynajmniéj, — chłopiec tak z nią gwarzył, jakby gwarzył z drugim sobie rówieśnikiem.

Lecz zawsze pozostać tak nie mogło. Bo choć chłopak myślał tylko o tém, co mu leżało na sercu, choć on nie mógł tylko zapomnieć,

że drudzy mają ojców, co im rolę zostawią, a on nie ma nikogo, dziewczyna może myślała już inaczéj...

Późniéj zaś uważał Hnatko, jak ona się nieraz w niego wpatrywała, gdy on nie patrzył. Chłopak tego nie rozumiał.

Razu zaś pewnego, gdy czuł na sobie oczy jéj zwrócone, obrócił się ku niéj bezmyślnie, dziewczyna w téj chwili spłonęła... wówczas i w nim się coś poruszyło... On czuł, iż mu krew podchodzi do twarzy. Wnet się odwrócił, i czegoś się dziś zawstydził.

W dniach już następujących nie zbliżali się do siebie... On jak gdyby się wstydził, unikał dziewczyny... Już mu dziś nie szło z nią tak swobodnie, jako dawniéj. Teraz gdy się zeszli przypadkiem, nic do siebie nie mówili, — jeno każde z nich usiłowało zabiérać się czémprędzéj do swojéj roboty, nie patrząc na siebie.

V.

Gazda Hnatków zajęty był przy robocie, to z kosą w ręku, to znów zwózką zboża; nie wiedział zatém, co się w chacie gotowało, za to baba jego więcéj miarkowała po swojéj „dońce.“

Gdy więc oboje byli sami w chacie, a stary zakurzył sobie lulkę, zwróciła się baba do niego.

— Ty gospodarz, a nie wiész, co się w chacie twojéj dzieje...

— Ta co?—mruknął gazda.

— Mełanka nasza... Mnie się ono niekoniecznie podoba...

Tu urwała, kiwając głową, — a chłop oczekiwał, co ona daléj powié.

— A, no, ty na to nic nie powiész?...

Lecz gazda za wiele miał w sobie temperamentu rasy słowiańskiéj, by myślał odgadywać, co kobiéta przez to chciała powiedziéć,— rzekł tylko:

— Ta, już na co?...

— Na co?... Mełanka mnie-bo za wiele pogląda na naszego „najmita.“

Stary poglądał na żonę, to na ściany... Miał minę zaturbowaną... Nareszcie zwolna się odezwał:—A on... co... na to?...

— Alboż ja wiem-ci?... Ta, zapewnie, że-ci on będzie za nią. — I dodała: Alboż on czém? To „dońka“ przecież gospodarska,—a „ten“ co ma?...

Tu się „gospodar“ zaczął skrobać w głowę... siląc się wniosek jaki z tego wyprowadzić, a że nie łatwo go znalazł, nastało jakiś czas milczenie...

Po niejakiéj chwili znów się odezwała kobiéta:

— I ty na to nic?

Stary poglądając tu, to tam, ciągle zaturbowany, dodał tylko:

— Ta, jak?... Ta, czy mnie wygnać jego?... On mnie dobry do pługa, taj do brony... a i do cepa „żwawy.“ — Potém dodał jeszcze: Ono i do kosy już się bierze...

— Ale ja przecież dońki nie mam dla najmita? — rzekła z większym ferworem gazdyni.

— Ta, ono-bo prawda—potwierdził gazda zafrasowany.

I nie mogli przyjść dzisiaj do innego wyniku.

Kobiéta jeszcze sobie postanowiła bliżéj podpatrzéć młodych, bo tu może najmit tyle nic winien... a dońkę już to ona sama sprowadzi „na swoje.“

Chłop zaś wcale nie myślał młodych podglądać, ani się przypatrywać, jak się tam u nich stosunek wzajemy do siebie rozwija. U niego to nie miało żadnego znaczenia. On wiedział, że to do starych należy. Dziewki nikt się o to nie pyta, kogoby chciała: będzie ona tego, komu ją oddadzą starzy.

Nazajutrz gazda, idąc przez sioło, zaszedł przypadkiem koło dawnéj zagrody Woronów. Niebawem przystanął nieco, i zaczął się rozglądać... Widział tu podwórze obszerniejsze, nie mało bragów siana... ze stajen bydło wychodziło właśnie do wody... Chłop patrzył, że bydełko okrągłe... a szerć na niém aż lśni... Widać, że tu grunt dość paszy wydawać musi.

Zdybał następnie znajomego sobie sąsiada zmarłéj wdowy, a wszedłszy z nim w rozmowę, nieznacznie potrącił o gospodarstwo na dawnym Woronów gruncie. Kum mu opowiadał, jakie to dawniéj było tu gazdowstwo, zanim „czarny“ zaciągnął Hawryszka do karczmy, i potém już daléj zawiódł. Wychwalał kum tutaj pola, o których mówił, iż wydawały kłosy pszenicy „jakby piérogi.“ Tać i teraz — zaraz dodał — jest tu niczego gospodarstwo... Ale to-ci nie to, co dawniéj...

Tak gwarząc o tém i o owém, doszli do wniosku ostatniego, że „taki“ ten, co teraz tu siedzi, nie ma do tego prawa... to bo „taki“ Woronów.

Gdy się potém rozeszli, rozmyśliwał nad tém chłop, czyby to wszystko nie mogło jeszcze powrócić do dawnego właściciela.

Wracając tak do domu swego, kroczył gazda nasz środkiem sioła. Zobaczył niebawem posuwający się zwolna wóz ze zbożem. Chłop poznał tu gospodarza dzisiejszego na gruncie, o którym niedawno mówili.

Chłopak, naganiający woły u wozu, raz wraz wykrzykiwał, dogadując im, żeby raźniéj ciągnęły. Gazda nasz, pojrzawszy na snopy, potrafił wnet ocenić wartość kłosów. Idąc zaś koło postępującego z tyłu za wozem gospodarza samego na Woronów gruncie, pozdrowił go słowem „Pomahaj“...

— Pomahaj i wam — odpowiedział tamten — za „słowo dobre“, żeby i wam dał Bóg, abyście wszystko pozbierali.

Gazda nasz nieco się zafrasował temi słowami. Zdało mu się jakby oni życzeń tych wcale dziś sobie wypowiadać nie powinni. „Słowo“ zawsze ma moc swoją. A Boga nie powinno się wyzywać nadaremnie. Obłudnym on nie był, ale że pierwszy tamtego pozdrowił, to cóż miał robić? Dlatego usprawiedliwiał się sam przed sobą. Żali nie miał „słowa dobrego“ powiedzieć, gdy tamten jechał „ze chlibom bożym“?...

Wracał teraz do domu i myślał o tém, toć o owém. Grunt dawny Woronów zajechał mu do głowy.

Gdy zaś wrócił do chaty, był między obojgiem staremi rozgowor. Maty potém już tak bardzo nie odkazywała na „dońkę“ swoją. W dniach następujących udawała nawet, że tego nie widzi.

Stary zaś w kilka dni, zdybawszy tego, to owego z kumów, zaczepiał jeszcze nieraz, również i o to, czyby już było niepodobném, żeby syn, który pozostał przy życiu, wrócił na swoją ojcowiznę?... Wszakci tak nieraz bywało: grunt leżał pustką, albo kto inny na nim siedział... gdy zaś prawy właściciel wrócił po latach z wojska, to nieraz temu się udawało napowrót zasiąść na swojém. Prawdać i to, że czasem mu się nie udawało i nowy się utrzymywał posiadacz... Wszystko to zależy od okoliczności. „Boża wola we wszystkiém“ — kończyli zawsze rozmawiający.

Chłop nasz chodził i do dworu, był i na trzeciéj wsi w „mandataryi“. Usłyszał nareszcie tylko tyle, iż to bardzo ciężko, bo tamten się zagospodarował... Toby dużo kosztowało, i nie wiedzieć nawet, czyliby było dziś możliwém.

Gazda nasz zwykłą przenikliwością chłopską poznał, że tu „pan mandatar“, choć nie przyrzekł, ale i nie odmówił.

Wracał zatém do domu nieco żywszym krokiem.

Rozglądał się tu i owdzie, chodził nawet na pola należące do gruntu Woronów, zachodził i na łąki. Podobało mu się, że tam nawet „pod kosę“ będzie i otawa... Mówił z jednym ninie, to z drugim, rozglądał się między swoją „chudobą“... Nareszcie tyle z tego wszystkiego wynikło, że Hnatka lepiéj odtąd chodowano. Dogadzała mu maty, dogadzała mu i dońka: choć obie nie z tego samego powodu.

VI.

Pewnéj niedzieli, gdy jako w dzień świąteczny nie było żadnéj roboty, zostawał Hnatków gazda w domu, kurząc sobie lulkę na krótkim cybuszku. Chwilami o czémś dumał, to się skrobał w głowę... widocznie zdawał się nie wiedziéć, jak tu sobie począć z tém, co mu teraz przyjść musiało do głowy. Nareszcie zabrał się z chaty, a oglądnąwszy się po podwórzu, pociągnął wolnym krokiem do stajni. Tu zdybał Hnatka, również ubranego, jako w niedzielę, w świéżo wypraną „świtę“ i białą „soroczkę“, nowym przepasaną pasem. Parobczak jeszcze zakładał siano koniom za drabinę.

Stary patrzał się czas niejaki na „najmita“ swego, i widocznie miał ochotę o czémś zacząć... jednak tylko poglądał zaturbowany. Nakoniec się odezwał:

— Tam „muzyka“... teraz... poszła do karczmy?

— Będą grali—odrzekł chłopak spokojnie, nie przerywając swojéj roboty.

Stary czekał, nie odwracając lica od „najmita“ swego.

— Ty także pójdziesz?--ciągnął daléj, patrząc mu się w oczy.

— Ja, „djetku“?

— Alboż ty nie wdział nowéj „świty“... taj „pojas“? -- dodał gazda.

— Ta, jak bo? Ta to dziś „święta niedziela“? Ano jak... człowiek dzisia będzie jako w dzień powszedny?...

Gazda po chwili zaczął na nowo, odezwawszy się:

— Aleć uporawszy się, pójdziesz na muzykę?...

— Alboż ja taki parobek?... Ano ja, syn gospodarski?... Tacy, co mają grunta swoje i mają ojców, to niechaj idą... a ja co jestem?

Stary poznał, że Hnatko sam mu jakoś teraz ułatwił rozmowę. Nie zwlekając więc dodał czemprędzéj:

— Ta ty... także... syn gospodarski? Alboż twój ojciec nie miał gruntu?

Chłopak popatrzyl się na gazdę, mruknąwszy z goryczą:

— Taże miał... A teraz tam inszy siedzi...

— Ależ to zawżdy grunt Woronów?...

Chłopak spojrzał w oczy staremu.

— Słuchaj Hnat... Ty u mnie służysz... Ja na ciebie patrzę i myślę sobie: możeby z ciebie był gospodarz?

Chłopcu zaświeciły oczy.

— Ja chodził do sędzi... Możeby to jakoś...

— Aj, djetku! — krzyknął chłopak i lice mu drgało...

— Poczekaj, chłopie... Ale tu trzeba grosza... mnogo grosza... Ta jaby to jakoś?... — Tu zaczął się skrobać w głowę. — Ja mam ta „chudobę“... ta „statek“... ta, ci mam i dońkę...

Chłopak stał cały czerwony, z roziskrzoném okiem.

On ani śmiał marzyć o tém, żeby mógł kiedy przyjść do ojcowskiego gruntu... Takby pragnął dostać choć część jego, a tak na tém pracowałby... Teraz uśmiécha mu się nadzieja...

— Możeby... taj z ciebie... był dla mnie i gospodarz? — powtórzył zwolna gazda.

A młody, jak stał, powalił się staremu do stóp, i całował go w jednę, to w drugą nogę, włos zaś jego opadły dotykał się stopy starego—podniósłszy się znów chłopak, całował gazdę ze łzami w oczach w jedną, to w drugą rękę.

— No, no, poczekaj!... to jeszcze daleko do tego... Trzeba piérwéj próbować... i to nie raz... do sędzi.... Ta będziem widzieli...

Ale Hnatko był już dobréj myśli: miał przecież nadzieję. Ktoś się dziś ujmie za nim... On przecież był pewnym, że sam ku temu nie ma żadnych środków... aniby wiedział, jak się tu zabrać... Cały téż oddaje się ze wszystkiém swojemu dobrodziejowi. Onby dziś za niego w wodę, w ogień skoczył.

Chłopak nie wiedział nawet, jak za to dziękować staremu. Zdało mu się dziś, że złota dola ze wszech stron nań się zléwa. Radość biła mu z lica. On będzie miał dziś grunt swój, o którym zawsze marzył, ale i rozpaczał, iż go nigdy miéć nie będzie. Do tego dostanie i Mełankę.

A choć chłopak nie był jeszcze na tym stopniu, na jakim była dziewczyna, jednak on jéj nie był przeciwnym. Wiedział, że od dawna oboje sobie sprzyjali, toż był rad i wystawiał już sobie naprzód Mełankę, jako gospodynię w jego chacie. Hnatko teraz marzył.

Atoli stary wcale nie marzył; stary wiedział, że jeszcze wiele tu zrobić wypadnie, zanimby do tego przyszło... i kto wié, czyli to nawet przyjdzie?...

— Ha! gdy się nie uda—myślał sobie — Boża w tém wola! I ty będziesz „najmitem“ jak byłeś pierwéj.

Hnatko wiedział przytém, że stary również mu i córki swojéj nie da, jeśli gruntu Woronowego nie odbiorą: tamto bowiem uważał za konieczne tego następstwo, bo co on ci jest dzisiaj? sługa i siérota; a to przecież „dońka gospodarska“.

Hnatko był nieco młodszym od Mełanki. Ale tu stary brał w rachubę jeno grunt i gospodarstwo. To rzecz główna, rozstrzyga-

jąca, reszta u niego nie miała znaczenia. Nie pytał też się bardzo o stosunek obojga, o miłość ich wzajemną. A nawet i wiek nieco za młody parobczaka nie mógł tu być mu zawadą. Stary przecież wiedział, że jeśli gospodarstwo wymaga i nie ma nikogo do osadzenia na gruncie, w takim razie, chłopca, choćby ten jeszcze nie był w latach parobka, żeni się ze starszą nawet o wiele dziéwką. Przecież zdarza się czasami, że i wdowa dobrze już w latach będąca, w podobnym razie, młodego sobie bierze chłopaka, któremu się nawet puch jeszcze na ustach nie zasiéwa: gospodarstwo bowiem czekać nie może.

Gazda zabrał się zatém do roboty około odebrania gruntu.

Chodził teraz ponownie do dworu, a częściéj na trzecią wieś, do mandataryi. Posiadacz zaś dzisiejszy, gdy się dowiedział, jakich ma przeciwników, również udawał się do dworu. On nie myślał z rąk wypuścić, co już trzymał.

Hnatko tymczasem i Mełanka uważali się teraz, jakby już do siebie należeli. Oni mówili tylko o swojéj przyszłości, i urządzili już naprzód gospodarstwo swoje, nie dbając o to, iż gazda, siedzący na gruncie Woronowym, wykrzykiwał, że jako ucha swego, tak gruntu tego nie zobaczy „Woronowe szczenię“. A nawet w złości dodawał, iż raczéj im nogi połamie, niżby miał puścić na swoją zagrodę.

Téj zaś groźby najmniéj bać się potrzebował Hnatko, który wiedział, że gdyby mu dziś pozwolono, i to miało rozstrzygnąć, w takim razie nie stary jemu, ale onby tamtemu połamał kości. Dlategoż nie pogróżek bał się gazdy, ale tylko tego, co dziś powiedzą „pany“. W jego oczach wola „panów“ była tu wszystkiém, była niejako wszechmocną. On takiego nabył wyobrażenia od lat najwcześniejszych.

Ale nie wiedział, w jaki sposób możnaby sobie ich zniewolić. Zanadto oni wysoko stoją, ażeby on, taki Hnatko tylko, mógł znać jaki sposób, by sobie ich zniewolić.

Gazda zaś Hnatków, jako starszy i doświadczeńszy, tyle już poznał, że pan jako pan, „sam dziedzic“, nic nie ma przeciw temu... ale właśnie, jako „pan“, stoi za wysoko, by wchodził w takie sprawy, który to z chłopstwa zostawać ma na gruncie, a który nie... Który zaś z nich może pozostać, a który nie: to rozpozna „pan mandatar“. Ten znów musi się i na prawo oglądać.

Obaj więc przeciwnicy zabierali się do „pana mandatara“.

I jeden i drugi tam zachodził.

Gdy się zaś kiedy przed gankiem zdybali mandatarskim, popatrzyli na siebie koso, jako dwa psy, gotowe w każdéj chwili rzucić się

na siebie, lecz się czuli pod wzrokiem tego, który ma kostur w ręku, muszą trzymać zęby, razem jeno na siebie pozierając.

Gazda na gruncie Woronowym, uważając się za więcéj bezpiecznego, jako będący w prawie posiadania, rzadziéj téż zachodził do mandataryi. Wiedział przecież, że dwór nie wygoni... jego, który się zagospodarował i pańszczyznę, jak Pan Bóg przykazał, panu odrabia, dla jakiegoś tam „syna pohanoho“, którego rodzic nie umierał, jak na chrześcianina przystoi“... I co ma „chłopczyszcze“ takie na swoje gospodarstwo?... Chyba palce, któremi nie ma za co chwycić, i gębę, co chciałaby źréć... Co on-ci ma swego?... Ta, czém on tu będzie uprawiał pole?—mruczał do siebie.—Czy ma on pług, ta, cztery byki? a ma on brony? Tu się uśmiechnął dwuznacznie, dodając: — Chyba będzie dłubał palcami swojemi?... A kto mu da na posiew ziarna?... Chłop, będąc zaś sam skąpym, nie chciał wierzyć, żeby wszystkiego dać mu miał gazda jego... Bo czy ów nie znajdzie lepszego dla swojéj dońki?... Przecie swego gospodarstwa nie będzie zaprzepaszczał, by Woronyszyna uczynić gospodarzem? Także okrom dońki dorastają mu... dwa chłopcy zdrowe?...

Dla tegoż był on bezpieczniejszym, rzadziéj téż widywano go przed gankiem „pana mandatara“...

Hnatków przeciwnie gazda częściéj tamże zachodził, i do tego nie z gołemi rękoma, gdyż choć „dwór nie potrzebuje niczego... bo co pan to zawżdy pan!... ale mandatar?... To ci on za darmo nie będzie się tém turbował?“ Chłopu, podług jego rozumu, to się całkiem wydawało naturalném. Nie żałował przeto niczego, by jego sprawa raźniejszym posuwała się krokiem.

Chodził teraz z młodym. „Pan sędzia“ musiał mieć bowiem przed oczyma właściwego spadkobiercę Woronów, jako tego, którego to właśnie jest sprawą. A stary był tak przezorny, iż uważał, by „pan sędzia“ miał zawsze przed sobą silnego a zdrowego, dającego mu rękojmię chłopa, iż podoła wszystkim do gruntu przywiązanym ciężarom. Stary choć sam czynił zabiegi, nie żałując tu trudu, ni środków, jednak zawsze musiał przychodzić z Woronyszynem, i długie nie raz godziny wyczekiwał przed gankiem mandataryi. Tam sędzia miał przecież nie jego tylko Hnata na głowie swojéj, by już zaraz z izby wychodził. Oprócz tego nie robił on nigdy sprawy żadnéj nagle, lecz zwolna, z namysłem... Chłop zaś nie mógł mu przypominać, kiedy ma się do czego zabiérać.

Nieraz téż stali, gazda ze swoim „najmitem“, całemi godzinami, w czas roboczy, przed gankiem, by wieczorem z niczém odejść, nie uj-

rzawszy nawet oblicza „pana sędziego“. Lecz chłop, zwłaszcza dawniejszy, był cierpliwym. Choć z niczém odchodził, mimo to na drugi dzień znowu przychodził... a wtedy czasami przecież jakie słowo usłyszał.

Hnatko teraz więcéj Mełance swojéj opowiadał o dawnych zasobach matki i dawném téjże gospodarstwie. Tu zawsze nie omieszkał dodać, jak znów oni tam będą sobie postępowali; wówczas stosunek stawał się między niemi ściślejszym. Nie powiemy, ażeby Hnatko nie miał się ku dziewczynie, i tylko o grunt parobkowi chodziło... ależ on przecie wiedział, że gazda dziéwki bez gruntu onego nie da. Jedno było z drugiém połączone: chłopak nie mógł tu rozdzielać.

VII.

Przeciwnik zaś ich, widząc te częste zabiegi, przeciw sobie wymierzone, nieraz się zafrasował i miał już zamiar poprzéć czém swoje prawo, lecz mu przychodziło na myśl, że dwór ma dosyć „pustek“ po odbiegłych gospodarzach, jeśliby już zechciano koniecznie z „najmita“ robić gospodarza. „Pustek“ przecież nie zabraknie, a dwór będzie wolał dać pustkę do odrobienia, niżeli grunt już zagospodarowany?

Gazda był zatém spokojny. Podobnego téż zdania byli po większéj części i jego kumowie.

Aż tu pierwszego dnia, gdy go zawołano do „mandataryi“, dowiedział się, iż on nie ma prawa siedziéć na gruncie obcym, i że ten grunt musi do tego wrócić, czyim jest właściwie, gdyż żyje jeszcze spadkobierca.

Stary mocno się zaturbował i zaczął teraz na prawdę różnych próbować środków, atoli musiał poznać, że „pan sędzia“ przeciw prawu nic nie pomoże. Chłop się zdziwił, bo gdyby był dawniéj wiedział o respekcie „pana sędzi“ przed prawem, w takim razie jużby był on tak spokojnie końca sprawy nie wyczekiwał. Lecz już było zapóźno.

Zamiast Hnata dostawał on dziś właśnie „pustkę“ jakąś, wprawdzie obszerniejszą, jednakże nie zagospodarowaną. Za to obiecano mu tutaj dać drzewa na chatę i zabudowania gospodarskie, w pierwszych zaś latach porobiono mu ulgi niejakie w odrabianiu pańszczyzny. Prócz tego miał mu dodać przyszły teść Hnatków parę wołów „odczepnego“. Chłop się ociągał — ale nie mógł się sprzeciwiać.

I ułożono sprawę w „mandataryi“.

Dalszy ciąg jéj odbywał się już w karczmie. Trzeba było bowiem niejedno omówić, co ma pozostać na gruncie, a co ze sobą zabierze dzisiejszy gospodarz.

Gdy się tenże patrzał na zdrowego i silnego parobka, myślał sobie, czemu to on nie ma takiéj „dońki“, którą daćby mógł Hnatowi, wtedyby i chłopa miał do pomocy, grunt przy nimby się został. Zrazu jakoś obaj gazdowie nie mogli dojść z sobą do ładu; dopiéro gdy Majorko postawił pełne półkwaterki, wówczas jakoś lepsze myśli obydwom do głowy napływać zaczęły... Bez posiłku „głowa, by jaka ci mądra, niczegoby nie „wydumała“. Dla tegoż Majorko musiał tu raz po raz doléwać.

Gdy już się nieco obaj pokrzepili gazdowie, narada wówczas szła żywiéj i ze skutkiem pożądanym: jeden już drugiemu czynił nie małe ustępstwa. Kiedy zaś się lepiéj uraczyli, wtedy nastała nawet i serdeczność między niedawnymi jeszcze wrogami... Zaczęli się już nawet z pewnym uporem obcałowywać.

Hnatko również, o którego tu głównie chodziło nie mógł na uboczu pozostawać... Bo gdy sami gazdowie „tacy łaskawi“, że zechcieli go uważać jako „gospodarza“ na gruncie, musiał téż im dziś dotrzymywać...

Wychodząc z gospody, coraz się serdeczniéj obejmowali, głośniéj się zapewniając o wzajemnych dobrych chęciach, mimo to nie mogli równym stąpać krokiem, i jeden na drugiego często się potykał.

Hnatko także wracał cały czerwony, aż po same uszy, a oczy mu się raz wraz śmiały. Chciał nawet już na grunt swój nowy odchodzić ale tyle mieli wszyscy tu świadomości, że przeczuwali, iż tam nic jeszcze jego nie ma: chata bowiem dla niego jeszcze nie postawiona. Wtedy chłopak stanął i zaczął płakać... Lecz po chwili zaraz zapomniał, o co mu szło właściwie, i szukał daléj swojéj drogi do domu...

Tu gdy go teraz ujrzała Mełanka, wytrzeszczył na nią oczy i zaczął się do niéj śmiać: miał dzisiaj minę bardzo dobroduszną... Lecz dziewczyna, bystrzéj się w niego wpatrzywszy, poznała, co się z nim dzieje... Wówczas i on się czegoś domyślił, bo się zawstydził, oczy spuszczając, a włos mu spadł na lice i odwrócił się na bok, czegoś niby szukając... Ale mu potém inna „dumka“ przyszła do głowy, obejrzał się za nią, chwilę patrzał, a zbliżywszy, przyciągnął ją do siebie, lecz dziewczyna wyrwawszy się, czémprędzéj odbiegła. Chłopak zdziwił się mocno, zadumał, mrucząc półgłosem:

— Ta, czemu ona uciekła? Albo tu co?... Czy ja jéj chciał zrobić co złego?—I sam nie wiedział, co się z nim stało.

Nazajutrz, gdy się obudził i zaczął sobie dzień wczorajszy przypominać, zdało mu się prawie, jakby to wszystko snem tylko było... Poszukał téż zaraz gazdy swego, żeby się zapewnić, iż to wszystko, co on wczoraj doświadczył, nie śniło mu się, lecz oczywistą było prawdą.

Zagrało w nim we wnętrzu... oczy mu zajaśniały. Więc to wszystko jest prawdą?... On w samej rzeczy wróci na grunt swój, na „swoją ojcowiznę“?

I zaraz pognał, by zobaczyć, choćby zdala, co dzisiaj zostaje jego.

Zbliżywszy się, stanął w pobliżu zagrody, na któréj obce jeszcze było gospodarstwo. Innêm dziś już zupełnie patrzył na to okiem. Wszystko mu tu się wydało tak pięknêm, tak rozkosznêm, żeby nie mieniał tego za żadne na ziemi bogactwa. Niewidziany od innych, obchodził teraz „swoje“ łany, „swoje“ niwki. Z ciekawością, z rozkoszą oglądał każdy zagonek, każdy rów, dawniéj do nich należący, kiedy był jeszcze dzieckiem.

I zdało mu się, że to jest niepodobieństwem, iżby on od razu stał się takim bogatym. Przyzwyczajony przez długie lata wszystko jako nieswoje uważać, nie mógł tego pojąć od razu, jak to się stało, że to dziś jego.

Hnatko był szczęśliwym.

VIII.

Nie poszło to jednak tak gładko. Bo gdy przychodziło do rozdzielania, co ma dotychczasowy gazda na Woronowym gruncie zostawić, a co zabrać ze sobą, powstawały jeszcze stąd swarnie i bitki.

Znowu mieć musiał „pan sędzia“ niejedno do zasądzenia, i znów w celu kończenia sprawy prowadzono się do karczmy, gdzie dopiéro resztę ubijano nieprzyjaźni.

Wszystko to musiało wyczerpywać zasoby teścia Hnatkowego, który się już na dobre obdłużył. Mimo to gotowano się do wyprawienia wesela.

Maty dla swojéj „doni“ niejedno już przygotowała: miała bowiem dla niéj „malowanki“ krasne i kożuch nowy, biały, a wzorzyście wyszywany. W skrzyni przygotowane czekało dla niéj pięć sznurów korali, chowanych przed „czołowikiem,“ ażeby ten, przyciśnięty dziś długami, nie zażądał ich od „żinki.“ Ależ-bo i chłop nie pójdzie w staréj opończy do cerkwi, gdy mu na głowę kłaść mają w świętém miejscu „korunę“ ślubną... jemu i „mołodej“?... Zresztą wypadałoby również i jako „najmitowi“ za tegoż zasługi sprawić niejedno... a cóż dopiéro dziś dla zięcia!

Hnatko będzie miał grunt wprawdzie... ależ do gruntu potrzeba wołów, koni, potrzeba pługa i wozu, potrzeba również i jałownika... A czemże obsieją? Do kogóż więc to wszystko będzie należało, jeśli nie do tego, który dziewkę wydaje.

Stajnie i szopy zostaną tam na gruncie, gazda dzisiejszy z sobą ich nie zabierze, tylko że bydła na nich nie będzie, ani „kłosa zboża“ w stodole... Chaty jednak tam żadnéj nie ma, bo stara się zawaliła, a nową, co postawił sobie obcy gazda z dobrego materyału „w zawiasy,“ zaraz rozbierze, i ze sobą weźmie na nowe swoje gospodarstwo.

W głowę zachodzono, jakby tu przyjść do nowéj chaty.

Udawali się z tém do „pana sędziego,“ czyliby im nie dał rady jakiéj. Pan sędzia odesłał ich do łaski dziedzica.

Wrócili też nazad do siebie, a wybrawszy się za kilka dni do dworu, pokłonili się dziedzicowi do kolan.

Ten wysłuchał rzecz całą, potém nic nie rzekłszy, przywołać kazał leśniczego, któremu dał zlecenie, by chłopu wydano z lasu materyału, ile będzie potrzeba na chatę. Poddani rzucili się panu swemu do nóg...

— Tylko mi się pilnuj chłopie — rzekł dziedzic —bo jeśli ci daję na chałupę, toć na to, żebyś był gospodarzem, a pilnował roli, i wychodził w czas, gdy cię zawołają, nie siedział w karczmie... Rozumiesz?... A teraz idźcie, i niech wam Bóg szczęści!...

Hnatko rzucił się jeszcze raz do nóg panu i wyszedł szczęśliwy.

On tak pragnął zawsze miéć chatę swoją.

Był już zatém materyał, ale należało go jeszcze w lesie wyrąbać i zwieźć... następnie, wziąć się do stawiania chaty, gdy drzewo obeschnie. Było pole, ale trzeba je obrobić. Były ogrody, ale czekały na ręce.

Wszędzie czekała robota.

Ręce były wprawdzie, ale tylko Hnatko miał tutaj prawo, Mełanka jeszcze go nie miała. Dziewce przecież nie wypadało na obcym dotychczas jeszcze gruncie, bo na gruncie „mołodca“ tylko, rozkładać się ze swojém gospodarstwem... Ażeby to się przeto działo, „jak Hospod Boh przykazał,“ między małżeństwem, do tego gdy dziś starzy nie mogli wiedziéć, kiedy ich Bóg do siebie powoła: nie zwlekając zatém musiano zabiérać się do weseliska.

Ojciec dobrze się już wyczerpał, niemało dziś zadłużony, — wesela przecież „doni“ swojéj nie mógł odbyć byle jak... Dlategoż, po zwyczaju, obchodzono je od niedzieli do niedzieli. Wódka się lała, kołacze i piérogi leżały kupami na stole, a i krowa poszła na mięso, by gości weselnych, jak przynależy, poczęstować.

Po weselu zaraz się pokazało, iż gdy przyszło dać teraz parę wołów na nowe gospodarstwo, co zawsze miał stary w myśli, dzisiaj nie było już tych wołów w stajni. Był-ci wprawdzie koń jeden, ale wół już jeden tylko, krowa zaś, którą do niedawna jeszcze doprzęgano

w pługu z wołem, poszła na wesele. Gdy więc przyszło do rozdzielania, nie było czego dzielić na dwa gospodarstwa, zwłaszcza, że tu gospodarstwo teściowe z gruntem spadnie na jednego z jego synów; chłopiec gazdy zaś drugi, gdy prócz „dońki“ miał on dwóch synów, może gdzie jeszcze „przystanie“ do jakiéj dziewki, na którą grunt podobnież spadnie.

Hnatko zatém będzie musiał wyprosić sobie u sąsiadów pługa na dzień, na dwa, według potrzeby, i brony, za co im odrobi „pieszą“ robocizną. Ziarna również na posiew nie było.

Teściowi było „markotno“, iż „donię“ z niczém wyprawi. Gdy tak siedział zafrasowany, poradzili mu sąsiedzi, ażeby jeszcze raz udał się do pana, do samego dziedzica, i pokłonił się za łaskę otrzymaną, a opowiedział nową swą biédę. Może sam dziedzic da tu jaką radę. Nieraz-bo tak już bywało.

Chłop poszedł téż z wielką nieśmiałością do dworu, i stanął sobie pokornie z czapką w ręku na dziedzińcu, czekając, zanim pan tamtędy iść nie będzie.

Kręcili się koło niego parobcy dworscy i inne sługi, lecz żaden nie pytał, czego chce i na co chłop tu czeka, bo byli przyzwyczajeni do tego, że niejeden czekał i niejeden odchodził.

Nareszcie szedł pan z mieszkania, zmierzając do stajni. Chłop schylił się do kolan.

— No i cóż tam powiész?—odezwał się dziedzic.

— Przyszedł ja ano jeszcze raz wielmożnemu panu podziękować za jego łaskę... Niechaj panu Hospod Boh...

— Ale jużeście zwieźli?...

— Ta, nie, proszę łaski pana... nie ma „chudoby“... Człowiek biédny ściągnął się do ostatka na wesele dla dońki, a ninie zięciowi na jego grunt ta-ci nie ma co dać, ni byków, ni „koniny“... A tu trzeba *wam* jeszcze wyjść taj „na pańskie“...

— A ty jakbyś chciał?... Żeby się twój zięć wylegiwał na gruncie... a może, by drudzy za niego odrabiali?...

— A niechaj Bóg broni, żeby ja tak myślał-ci... Tylko, że tu jest *wam* grunt, a nie ma czego zaprządz... A on się aż prze do roboty!... On bardzo skory do roboty... Jego nie trzeba dwa razy wołać „na pańskie“...

Dziedzic popatrzył się, pomyślal chwilę, i nic nie odpowiedział, tylko kazał chłopu przyjść za dni kilka.

Chłop pokłonił się do ziemi, i trzymając czapkę w ręku aż do saméj bramy, poszedł do domu.

Na trzeci dzień był mandataryusz u dziedzica ze zwykłą swoją

relacyą. Tu się przy téj sposobności dziedzic pytał i o Woronoszyna a jego teścia.

Wynikiem tego było, że kazano „tywunowi“ zawołać Woronowego teścia do dworu.

Tu się dowiedział chłop, iż dwór dać mu postanowił na nowe gospodarstwo dla Hnatka na parę wołów. Chłop padł panu do nóg. Kwotę tę zapisano wprawdzie do tabeli w rubrykę długów chłopskich, lecz podobne sumy najczęściéj długi czas jeno figurowały w tabeli dworskiéj; chłopi bowiem nie bardzo się śpieszyli z oddawaniem, dwór znów nie bardzo egzekwokał, wybieraniem za to robocizny, któréj i tak dość miano, a grosza u chłopstwa mało było. Tak samo rzecz się miała najczęściéj ze zbożem na posiew dawaném.

Hnatko gdy się dowiedział od teścia, iż będzie miał woły, nie mógł przyjść zaraz do siebie z wielkiéj radości. Czuł wdzięczność ku panu swemu, który był w jego oczach rozdawcą łask wszelkich, i takim, co „wszystko a wszystko“ może. Wyobrażenie o wszechmocności pańskiéj wryło mu się głęboko od samego już dzieciństwa: teraz miał nowe tegoż dowody. Wszak z woli pana oddać mu musiano grunt, pan mu dał na chatę, a teraz i na woły, które jego cały dziś stanowić będą inwentarz żywy.

Dotąd Hnatko, gdy sobie wyprosił gdzie pługa lub wozu, musiał za tę „ciągłą“ robociznę odrobić własnemi rękoma, dzisiaj będzie już mógł przyprzęgać się z takim, który również, mając tylko parę wołów lub koni, w téj saméj, co on, zostaje potrzebie.

Kiedy wróciwszy z jarmarku przyprowadzili parę byczków, nie wielkich wprawdzie, ale zdrowych, nie wiedział Hnatko, gdzie miał znaleść dla nich miejsce. On sam spałby na gołéj ziemi, by swoim nowym pracownikom módz miękką dać przyściółkę. Oboje z Mełanką chodzili koło tych wołków, jakby koło dzieci swoich. Hnatko raz w raz się im przypatrywał, Mełanka je prawie pieściła.

(*D. n.*) *Juliusz Turczyński.*





OSKAR KOLBERG

I OSTATNIA JEGO PRACA.

I.

„Przędzę myśli i kwiaty uczuć“ ludu naszego, zaczęto badać i zbiérać dopiéro w początkach bieżącego stulecia. Doniosłość badania zwyczajów, wierzeń i utworów ludu, pierwsi u nas zrozumieli i wypowiedzieli tacy mężowie, jak Hugo Kołłątaj i Jan Paweł Woronicz. Pierwszy z nich w liście z d. 15 lipca 1802 r., do księgarza krakowskiego Jana Maja pisanym, podał wcale dokładny nawet na dziś plan dzieła: „O obyczajach, zwyczajach i obrządkach narodu polskiego“ [1]). Drugi zaś w Towarzystwie warszawskiém przyjaciół nauk, przemawiał w r. 1803 i 1805 o znaczeniu naukowém pieśni ludowych. Pierwszym, najbardziéj znanym zbieraczem [2]) rzeczy ludowych, był Adam Czarnocki, głośniejszy pod nazwą Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, który i sam z całém poświęceniem zabrał się do gromadzenia materyału ludoznawczego wprost z ust ludu i dobrym przykładem zachęcił innych do pracy na tém polu, które tak długo odłogiem leżało. Będąc młodzieńcem zaledwie szesnastoletnim, począł zajmować się ludoznawstwem i odbywać w tym celu wędrówki po kraju Kazimierz Władysław Wójcicki; owocem długoletniéj jego pracy na tém polu, były zbiory przysłów, pieśni i baśni ludowych. Równo-

---

[1]) Ks. Hugona Kołłątaja „Korespondencya listowna“, t. I, str. 21—23. (Kraków, 1844).

[2]) Ściśle biorąc, pierwszy opis obrzędów weselnych u ludu ruskiego, wraz z pieśniami, podał nieznany nam z nazwiska autor w „Pamiętniku Warsz.“ Dmochowskiego w r. 1805, potém Ignacy Czerwiński opisał obyczaje ludu z nad Dniestru, w książce drukowanéj 1813 r. (Przyp. Red).

cześnie wydaje Łukasz Gołębiowski w r. 1830 pierwsze dzieło etnograficzne „Lud polski“, a wkrótce potém Wacław z Oleska (Zaleski) „Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego“ (Lwów, 1833). Znacznie wyższemi od wymienionych dzieł były wydane przez Żegotę Paulego w tymże prawie czasie „Pieśni ludu polskiego i ruskiego w Galicyi“. Działalność na polu badań etnograficznych przez tych mężów podjęta, rozbudziła cały zastęp zbiéraczy, pomiędzy którémi najwybitniejsze zajął stanowisko niedawno zgasły Oskar Kolberg, który, śmiało rzec można, rozpoczął u nas nowy okres wszechstronnéj uprawy ludoznawstwa, jako umiejętności samoistnéj i wyzwolonéj od służenia zadaniom i celom historycznym i literackim, co w dziełach jego poprzedników wielką jeszcze grało rolę. Jakie zasługi dla nauki położył Kolberg przez badanie ludu, jakim sposobem do tego doszedł, że dziś bez dzieł jego obejść się nie może nikt, kto pragnie z życiem ludu naszego się zapoznać, postaramy się tutaj w krótkości czytelnikowi przedstawić.

Rodzina Kolbergów [1], aczkowiek obcego pochodzenia, zapisała się niezatartemi głoskami w dziejach umysłowości naszéj: ojciec Oskara i dwaj jego bracia, należą każdy w swéj specyalności do wybitniejszych ludzi bieżącego stulecia. Juliusz Kolberg, ojciec Oskara, urodzony w mieście Woldegk w w. księstwie Meklemburg-Strelickiém, a wykształcony w Berlinie, przybył za czasów pruskich do kraju naszego, jako inżynier. Gdy utworzone zostało Ks. Warszawskie, Kolberg już tak się przywiązał do nas, że Warszawy nie opuścił, lecz przeszedł do służby Ks. warszawskiego i otrzymał miejsce inspektora pomiarów. Następnie zamianowany został geometrą przysięgłym w Przysusze w powiecie Opoczyńskim, gdzie był zarazem głównym nadzorcą okolicznych fabryk żelaza, dzierżawionych przez bankiera warszawskiego Fraenkla. Żoną Juliusza była Francuska, córka szlachcica francuskiego, emigranta z czasów wielkiéj rewolucyi. W Przysusze d. 22 lutego 1814 r., przyszedł na świat Oskar. Najdawniejsze wspomnienia 76-letniego starca sięgały téj chwili dzieciństwa, gdy przysłuchiwał się piosenkom ludowym, śpiewanym przez piastunkę jego Zuzkę, wieśniaczkę sandomierską. W r. 1819 ojciec Oskara powraca do Warszawy na stanowisko profesora geodezyi, miernictwa i topografii w uniwersytecie, dokąd powołał go Staszyc. Taki zaszczyt spotkał go za prace nad geometrycznemi pomiarami kraju, kształcenie pomocników i ogłaszanie cennych źródłowych dzieł, podręczników i map w języku polskim. Jako profesor, Kolberg zamie-

[1]) Ma to być rodzina lechickich Kołobrzegów z dawnego Pomorza, następnie zniemczona.

szkał w jednym z pawilonów pałacu Kazimierowskiego, dzisiejszego uniwersytetu, pod jednym dachem z Kazimierzem Brodzińskim i Mikołajem Szopenem, ojcem Fryderyka. Już od najmłodszych lat Oskara okoliczności tak się składały, że pacholę wrażliwe na dźwięki śpiewu i muzyki, miało możność rozwijania swych zdolności muzycznych. Ulubiona Zuzka przybyła z Kolbergami do Warszawy i przez lat jeszcze parę piastując dziecię usypiała je dźwiękami melodyi rodzimych; mistrzowska gra młodego Fryderyka, zaprzyjaźnionego z rodziną Oskara, wabiła go często na drugie piętro do miłych sąsiadów; wpływ duchowy musiał też wywierać na rodzinę kolegi Kazimierz Brodziński, który nadzwyczajnie polubił Juliusza, jak o tém sam świadczy w swoich wspomnieniach, wyrażając się o ojcu Oskara z uwielbieniem dla zalet jego charakteru i podniosłości ducha. Wiemy też, że pomimo zajęć praktycznych, mozolnego rysowania map i obliczeń matematycznych, wcale poezyi nie sprzyjających, Juliusz był zamiłowanym w muzyce i poezyi, sam układał hymny pod muzykę Elsnera, tłómaczył na język niemiecki i ogłaszał wiersze Karpińskiego i Brodzińskiego, a między niemi „Wiesława“. Rzecz godna uwagi, że rodzina Kolbergów tak całkowicie i tak prędko spolszczała, iż nietylko młodszy ich syn Oskar, ale nawet najstarszy Wilhelm w r. 1807 urodzony, słyszał w domu tylko mowę polską [1]). Nie dziw, że pod światłym kierunkiem takiego ojca, w otoczeniu ludzi niepospolitych, zaprzyjaźnionych z jego rodziną, dusza Oskara rozwijała się tylko w kierunku dodatnim, oddychała, jak jéj otoczenie, wonią sztuki. Od r. 1824—1830 widzimy Kolberga na ławie szkolnéj w liceum warszawskiém, ponieważ zaś rodzice wcześnie zauważyli w nim zdolności do muzyki, przeto równocześnie dali mu za nauczyciela niejakiego Vettera. Po wyjściu Oskara z liceum, ojciec umieścił go w kantorze bankowym Fraenkla; idąc zaś za radą Elsnera, kształcił go daléj w muzyce. Mistrzami Oskara byli: naprzód sam Elsner, a późniéj Feliks Dobrzyński, sławny kapelmistrz opery warszawskiéj. Pod przewodnictwem

---

[1]) Starszy brat etnografa. Wilhelm Kolberg, przeszedł korpus inżynierów, szkołę artyleryi i uniwersytet warszawski. Należał późniéj z Janem Pawłem Lelewelem do budowy kanału augustowskiego, był jednym z członków zarządu budowy pierwszéj u nas kolei warszawsko-wiedeńskiéj. Ogłosił on kilka prac specyalnych, dotąd przez znawców cenionych, a między innemi plan Warszawy w r. 1848. Najmłodszym z braci był Antoni, który zasłynął jako malarz obrazów religijnych, historycznych i rodzajowych, a zwłaszcza jako portrecista. Dotychczas w sali głównéj Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Warszawie można oglądać wykonane przez niego i przez Marconiego wyraziste figury alegoryczne miesięcy.

tego ostatniego, młodzieniec doszedł do tego, że zaczął marzyć o kompozytorstwie. Dla studyów nad teoryą wyższéj muzyki, dzięki zasiłkowi rodziny, udał się w r. 1834 na dwa lata do Berlina, gdzie pracował pod kierunkiem Girschnera i Rungenhagena, który wkrótce potém kształcił i Moniuszkę. Wtenczas to roił sobie przyszły etnograf plany uprawiania wyłącznego niwy kompozytorskiéj w duchu pieśni ludowych, które czarowały go oryginalnością, bogactwem melodyi i różnorodnością rytmiki. Powróciwszy do Warszawy, zajmował się dawaniem lekcyi muzyki; w r. 1838—1839 przebywał jako nauczyciel domowy na Białorusi. Nużące i z wielu względów niewdzięczne zajęcie nauczyciela muzyki sprzykrzyło się Kolbergowi po latach dziesięciu. Przyjął tedy w r. 1845 posadę buchaltera w zarządzie nowo-budującéj się wówczas drogi żelaznéj warszawsko-wiedeńskiéj, i zostawał na niéj do r. 1857, poczém przeniósł się do komisyi skarbu, w któréj urzędował do r. 1861; wtedy ostatecznie służbę rządową porzucił, aby oddać się wyłącznie ulubionym pracom naukowym i literackim. Od czasu powrotu z Berlina, który właśnie przypadł w okresie wielkiego rozwoju poezyi romantycznéj i rozbudzenia zapału do zbierania pieśni, podań i baśni ludowych, Kolberg pomimo zajęć nauczycielskich i biurowych, oddawał się twórczéj pracy, któréj owocem był spory szereg utworów muzycznych. Zachęcony zaś przez Wójcickiego i Dobrzyńskiego, jął się spisywania melodyi ludowych, co uskuteczniał w częstych wycieczkach w bliższe i dalsze okolice Warszawy. Ponieważ większą zdobycz, składającą się z pieśni i melodyi ludowych, zdarzyło mu się posiąść w r. 1839 w Wilanowie, przeto rok zeszły 1889, był pięćdziesiątą rocznicą działalności Oskara na tém polu.

Liczne dzieła muzyczne zmarłego jubilata, według zdania znawców, świadczą o nieposlednim talencie i gruntowném ukształceniu muzyczném. Należą do nich: opera w jednym akcie p. t. „Król pasterzy“, w któréj wszystkie melodye, oparte są wyłącznie na charakterystycznéj nucie pieśni ludowéj; operę tę grano z powodzeniem w r. 1857 na scenie warszawskiéj 7 razy, a wydano w druku w 1860; za motyw do niéj posłużył obrzęd rolniczy na Kujawach, gdzie w Zielone Świątki odbywa się zabawa, podczas któréj pasterze króla sobie obierają; napisał też Kolberg muzykę do popularnéj niegdyś operetki „Janek z pod Ojcowa“ do słów J. K. Gregorowicza, rozpoczął operę „Wiesław“, do słów Seweryny Pruszakowéj (Duchyńskiéj), wedle sielanki Brodzińskiego. Z licznych bardzo, drobniejszych utworów, tchnących życiem właściwém i przechowujących wiernie ducha ludowego, wymienimy sześć zeszytów kujawiaków, kilka etiud, ofiarowanych

Szopenowi, wiele mazurów, krakowiaków i pieśni, z których kilka nie małą w swoim czasie cieszyło się popularnością.

Pierwszém dziełem Kolberga, stanowiącém owoc jego pracy nad gromadzeniem pieśni ludowych i ich melodyi, były nuty ze słowami litografowanemi u Żupańskiego w Poznaniu w r. 1842 p. n. „Pieśni ludu polskiego. Oddział I, poświęcony Wacławowi Zaleskiemu, K. Wł. Wójcickiemu, Żegocie Pauli, Józefowi Konopce, niezmordowanym współpracownikom w odgrzebywaniu skarbów umysłowych ludu". We wstępie do tego dzieła wypowiada swój pogląd na muzykę ludową: „Melodya jest duszą pieśni gminnéj, w niéj poznasz myśl i serce, jak w zwierciadle; ona znamionuje ducha każdego pokolenia. Muzyka polska wśród całéj Słowiańszczyzny najsamoistniéj się rozwinęła; widać to szczególnie na mazurach, najoryginalniéj malujących krzepki charakter ludu tego, oraz w krakowiakach odznaczonych już to niezakłóconą pogodą, już szumną wesołością, to znów lekką tęsknotą". Od roku wydania „Pieśni" przedsiębierze Kolberg dalsze i dłuższe wycieczki w celu gromadzenia melodyi ludowych, zbiérając na podróż środki z oszczędzonéj z największą zabiegliwością płacy nauczycielskiéj i urzędniczéj: w r. 1842 zwiedził okolice Krakowa, a mianowicie Modlnicę i Mogilany, gdzie bliżéj się zaprzyjaźnił ze znanym już od roku, zamiłowanym jak Oskar badaczem ludu, Józefem Konopką; w r. 1843 widzimy go znowu w Krakowskiém, na podgórzu beskidowém Podhalu i Szląsku: w latach 1844, 1845 i 1847 poznał siedziby Kurpiów; w r. 1846 i 1847 był w Radomskiém, w r. 1848 i 1849 zwiedza Lubelskie, w 1853 okolice Częstochowy i Ojcowa, w r. 1854, Sandomierskie i Radomskie, w 1855 i 1856 Radomskie, Kieleckie, Krakowskie w granicach Królestwa i Płockie; w r. 1857 znajduje się po raz trzeci w Krakowskiém i zwiedza Wiedeń, Chorwacyą, Tryest i Wenecyę; w r. 1858 bawi w Augustowskiém, w 1859 powtórnie w Lubelskiém i Radomskiém, w r. 1860 na Kujawach, w Łęczyckiém (i zdaje się Kaliskiém); w r. 1861 zwiedza po raz czwarty okolice Krakowa, Galicyę wschodnią i Węgry, w roku znowu 1862 widzimy go na Wołyniu.

W wycieczkach tych nagromadzony olbrzymi materyał etnograficzny, wyzyskał Kolberg w dziele pierwszorzędnéj wartości, dziele, które według zdania najpoważniejszych etnografów naszych, otwiéra nową epokę w dziejach ludoznawstwa polskiego; ma ono formę książki i tytuł: „Pieśni ludu polskiego" serya I (Warsz. 1857). W porównaniu z wydaniem z r. 1842, praca ta jest już rozszerzeniem widnokręgu naukowego: nie same już w niéj podane piosnki pojedyńcze, ale zestawienie porównawcze licznych odmianek i melodyi téj saméj pieśni. Oto słowo autora o celu książki i metodzie podawania pieśni, wypowie-

dziane w przedmowie. Mówiąc o tém, że w zbiorach jego poprzedników, mało zwracano uwagi na muzykę, melodyę pieśni, dodaje: „A tak, prawie bez muzyki, rzec można, że zbiory ich objawiły się tylko w półżyciu, w połowie swojéj istoty: bo treść i melodya uzupełniają się, podnoszą wzajemnie, jedną wspólną stanowiąc całość; a często melodya, ta część mniéj określona, mniéj materyalna, stanowi całą piękność pieśni. Muzyka jest głównym przedmiotem niniejszego zbioru. Do każdéj pieśni dołączano właściwą jéj nutę. Uderzony wcześnie oryginalnością i krzepkością pieśni ludowych, od lat kilkunastu robiłem wycieczki po kraju, w celu skrzętnego i wiernego ich spisywania; to téż pochlebiam sobie, że w nieprzebraném u nas źródle melodyi, zaczerpnąłem najciekawszy jéj zapas; taki przynajmniéj, jaki już potrafi dokładnie odznaczyć muzykalność ludu naszego, oddaje nutę w nieskażonéj prostocie (t. j. o ile skażenie nie pochodzi z winy śpiewających) tak, jak wybiegła z ust ludu, bez żadnego przystroju harmonijnego, bo mam przekonanie, że najdzielniejszą jest w samorodnéj, niczém niezmąconéj czystości, jak ją natura natchnęła. Brzmi pieśń nieprzerwanie po naszych niwach i gajach, płynie z wodą i z wiatrem, odbija się o ściany naszych karczem, dworów i chat, a tam, gdzie powstała, najsilniéj za serce chwyta. Stając się wiernym jéj tłómaczem, wszędzie wskazałem miejsce, gdzie wysłuchaną została". Składa się dzieło Kolberga z dwóch części: w pierwszéj podał 41 pieśni najbardziéj rozpowszechnionych z niezliczonemi waryantami ich tekstu i melodyi, sama np. pieśń „Jasio konie poił, Kasia wodę brała" posiada tu 52 odmianki. Druga część zawiéra 466 tańców, ułożonych na nuty, wraz z należącemi do nich przyśpiewkami. Ozdabiają dzieło piękne ryciny kolorowane, w liczbie 10-ciu, przedstawiające jaknajwierniéj lud wiejski z okolic Warszawy i z Krakowskiego.

Autor w przedmowie zapowiedział ciąg dalszych tomów; nie wydał ich jednak, gdyż zmienił metodę ogłaszania zbiorów swoich i odtąd nie tematycznie lecz geograficznie począł podawać pieśni, dołączając do nich wszystkie inne utwory ludu, oraz opis jego życia, zwyczajów, obrzędów, wierzeń, przesądów i t. p., słowem przekształcił monografię muzykalną pieśni ludowéj na wszechstronną etnografią polską. Pozwólmy samemu Kolbergowi wyjaśnić genezę i przekształcenie pierwotnego planu dzieła; oto co o tém mówi w przedmowie do I-go tomu „Mazowsza" (Kraków, 1885 r.): „Około roku 1840, czy też rokiem wcześniéj, poczęliśmy zbiérać pieśni i muzykę ludową w okolicach Warszawy. Wkrótce dostrzegliśmy ścisłą tych utworów z obrzędami, zwyczajami i całym bytem ludu łączność". Wzgląd ten nakazywał nam przy spisywaniu pieśni i ich me-

lodyi notować także i ich akcesorya (wedle ówczesnych naszych pojęć), t. j. uwydatnić całą sytuacyę, która je zrodziła, lub do działania powoływała. Powoli, w miarę rozrostu zbiorów i różnorodności nabywanych materyałów, siłą rzeczy parci, nadaliśmy wydawnictwom naszym kierunek i zakrój, jaki nam dyktowało doświadczenie i który im dotychczas przewodniczy.“ Rozszerzywszy tak znacznie ramy swego dzieła, nadał mu Kolberg nowy tytuł, pod którym od r. 1865 w nieprzerwanym ciągu już trzeci dziesiątek tomów się ukazuje: „Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce.“ W pierwszéj seryi tego wydawnictwa (a właściwie drugiéj, bo „Pieśni“ wyd. w r. 1887 uważa późniéj za I-szą seryą całego dzieła) dał nam monografię „Sandomierskiego.“ Dotyka tu autor wszystkiego, co może dać nam dokładny obraz charakterystyki ludu w danéj okolicy i być rzeczywistym materyałem do etnografii krajowéj. Wkrótce potém, bo w r. 1867 wydał K. w Warszawie III-cią i IV-tą seryę „Ludu,“ dodawszy ogólniejszy jeszcze tytuł: „Materyały do etnografii słowiańskiéj.“ Dwa te duże tomy obejmują opis Kujaw; z postępem czasu ulepszał ciągle Kolberg plan swego dzieła. Opisał w tych dwóch tomach lud od Włocławka, Bydgoszczy i Inowrocławia: jego ubiór, pokarmy, napoje, budowle, sprzęty, naczynia gospodarskie, przesądy i zabobony; przytoczył pieśni, klechdy, przysłowia, zdania, zagadki, przedstawił zwyczaje przy rozmaitych uroczystościach, gry, obrzędy polne i domowe, podał spory słowniczek prowincyonalizmów. Obfity dodatek rycin i drzeworytów, według rysunku Wojciecha Gersona znacznie wartość dzieła podnosi.

Ale wróćmy do przerwanego wątku żywota. Po wyjściu w roku 1861 ze służby oddaje się Kolberg, nie krępowany już obowiązkową pracą, działalności kompozytorskiéj, opracowywaniu i wydawaniu nagromadzonych przedtém i ciągle zbiéranych materyałów, współpracownictwu we wszystkich niemal poważnych pismach i „Encyklopedyi Powszechnéj“ Orgelbranda, która zawdzięcza mu artykuły tyczące się mitologii, muzyki, i życiorysy sławnych muzyków, wreszcie coraz dłuższym wędrówkom po kraju. W latach 1863—1865 zwiedza powtórnie Kujawy, Łęczyckie i Płockie, poraz piąty okolice Krakowa, Beskidy, Tatry, Sanockie, w 1866—1868 Poznańskie, w 1869 i 1870-ym Chełmskie, Lubelskie i Augustowskie. Niech sobie jednak czytelnik nie wyobraża, że Kolberg podobnie, jak to czynili Chodakowski i inni jego poprzednicy, w wycieczkach swych wędruje od wsi do wsi z kosturem pielgrzymim w ręku i torbą na plecach. Kolberg inny sobie

obrał sposób: osiedlał się on na pewien czas u osób znajomych, a dobrze lud okoliczny znających i mogących mu wszelką pomoc okazać, zapoznawał się z miejscowemi grajkami i śpiewaczkami, wyszukiwał starych bajarzy, swatki weselne, lekarki i t. p., i zdobywszy sobie ich usłużność, wyzyskiwał, co się dało zebrać na jednem miejscu. Gdy w danéj miejscowości materyał się wyczerpał, przenosił się na inne miejsce, gdzie zawczasu już upatrzył sobie kogo znajomego, w miejscu zaś poprzedniego pobytu starał się pozyskać stałego na przyszłość korespondenta, któryby według danych wskazówek materyału mu dostarczał. Niech nie sądzi czytelnik, że ten sposób badań etnograficznych bardzo jest łatwy: największą trudność stanowi wypytywanie chłopów o to, czém niechętnie z obcym się dzielą, a co jednak zbieracz umiejętnie wybadać musi. Gdy brakło Kolbergowi funduszów na wydawanie dalszych seryi, bo nakład wyłożony na wydanie książek poprzednich bardzo powolnie się wracał, opuszcza w r. 1871 Warszawę, otrzymawszy przyrzeczenie zapomogi na wydanie 4-ch tomów Krakowskiego od Towarzystwa naukowego krakowskiego (teraźniejszéj Akademii umiejętności). Osiadł Kolberg naprzód pod Krakowem w Modlnicy u przyjaciół swych dawnych Konopków, w roku zaś 1884 w samym Krakowie. Tutaj w nieprzerwanym ciągu przez lat blisko 20 zajmował się opracowywaniem i wydawaniem swych monografii, przedsiębiorąc dla rozszerzenia i pogłębienia swoich poprzednich spostrzeżeń i zbiorów podróże naukowe: w r. 1875 był w Poznańskiém, Prusach zachodnich i wschodnich, w r. 1876, 77, 80 na Pokuciu i Podolu galicyjskiém, wreszcie w latach 1883—1885 zwiedzał trzykrotnie Sanockie. Tym więc sposobem Kolberg zwiedził w ciągu lat 50-ciu i zbadał pod względem etnograficznym rozległy bardzo obszar kraju.

W dalszym ciągu „Ludu“ wyszły w Krakowie od r. 1871-go: 4 tomy Krakowskiego, 7 tomów Poznańskiego (1875 — 82), 2 t. Lubelskiego (1883—4), 2 t. Kieleckiego (1885—6), 2 t. Radomskiego (1887—8), Łęczyckie (jako serya XXII w roku 1889); oprócz tego pod osobnym tytułem 4 tomy Pokucia (1883—89) i 4 tomy Mazowsza (1885—88); a zatém dotąd wydano 30 tomów. Czyż nie budzi podziwu taka biblioteka, stworzona przez jednego pracownika! Ile musiał on wyłożyć pracy i pieniędzy, aby zebrać i obrobić tak obfity materyał! Ile cierpliwości kosztowało go wydobycie tylu utworów z ust ludu nie rozumiejącego celu i zadania takich badań! Samych melodyi ludowych przytoczono przeszło ośm tysięcy! To, co w innych krajach robi się siłami zbiorowemi, na zebranie i opracowanie czego składają się całe towarzystwa naukowe, tego u nas doko-

nał skromny jeden pracownik! Spytajmy specyalistów, jaka jest wartość tych olbrzymich zbiorów, a odpowiedzą nam: „Jest to nieoceniony materyał do ludoznawstwa polskiego, nieoceniony dlatego, że wszystko, co Kolberg zapisywał, jest czystém złotem etnograficzném: nic pozwalał on sobie żadnych dodatków, żadnych retuszów, żadnych ogładzań ani poprawek; pisał pieśń, podanie, przysłowie, melodyę i t. d., jak słyszał, i to nie z jednych ust, ale z kilku i kilkunastu, ażeby każdą rzecz sprawdzić i przekonać się, czy śpiewający lub mówiący sam siebie lub słuchacza nie łudził.“ (Słowa d-ra Jana Karłowicza w „Wiśle“ z r. 1889, str. 472). „Dotychczasowe prace Oskara Kolberga — mówi dr. Izydor Kopernicki — stanowią niezmiernie bogatą skarbnicę materyałów etnograficznych i s ą t a k ś w i e t n y m n a b y t k i e m d l a e t n o l o g i i o j c z y s t é j, s ł o w i a ń s k i é j i p o w s z e c h n é j, j a k i m j e s z c z e w ż a d n y m k r a j u i w ż a d n y m n a r o d z i e n i e o b d a r z y ł a n a u k i p r a c a j e d n e g o c z ł o w i e k a“ [1]).

A jednak, gdy nawet dołączymy do tego obszerne monografie etnograficzne, ogłaszane bądź w czasopismach np. „Bibliotece Warszawskiéj“, bądź w „Zbiorze wiadomości do antropologii krajowéj,“ będzie to dopiéro połowa tego, co Kolberg w rękopisach zgromadził. Pozwalamy tu sobie przytoczyć łaskawie nam udzieloną przez p. Zygmunta Wolskiego, pomocnika bibliotekarza ordynacyi hr. Krasińskich, a pochodzącą od prof. Izydora Kopernickiego, osobistego przyjaciela Kolberga, znającego wybornie jego pracownię, notatkę o zawartości dotąd niewydanych tek, które oby jak najprędzéj doczekały się światła dziennego! 1) Materyały zebrane z Mazowsza, oprócz 4 wydanych dotąd tomów, wystarczą jeszcze zapewne na 2 tomy; 2) Mazury pruskie (Ełk, Lec, Ostróda, ku Królewcowi); 3) Prusy zachodnie (Toruń, Malborg, Elbląg); 4) Kaliskie (Kalisz, Konin, Sieradz, Piotrków, Wieluń, Częstochowa), teka ta zawiera materyał w połowie przygotowany do monografii, a składający się z *a*) pieśni, tańców, zwyczajów, przesądów, bajek i t. p.; *b*) wyciągów i wypisów z rozmaitych dzieł i artykułów, tych stron się tyczących; 5) Szląsk pruski i austryacki; 6) Górale tatrzańscy i nowotarscy; 7) Spiż; 8) Podgórze krakowskie; 9) Kraków i okolice—materyały, które nie weszły do wydanych już 4 tomów „Krakowskiego“ i nowo-zebrane; 10) Tarnów, Rzeszów, część Jasielskiego i Nowo-Sądeckiego; 11) Ruś Czerwona I: Jasło, Sanok, Sambor, Przemyśl, Łemki; 12) Ruś Czerwona II: Lwów, Żółkiew, Zło-

---

[1]) Patrz artykuł Kopernickiego w „Encykl. wychowawczéj,“ t. III. „Etnografia i etnologia“, str. 640 i 641 i broszurkę jego: „Oskar Kolberg“ (Kraków, 1889), str. 25.

czów; 13) Ruś Czerwona III: Podole galicyjskie, Tarnopolskie, Brzeżany, Stryjskie, Bojki; 14) Huculy, 15) Podole rosyjskie, 16) Ukraina, 17) Wołyń, 18) Ziemia Chełmska (w druku), 19) Polesie wołyńskie i Pińszczyzna, 20) Biała Ruś, 21) Litwa. Oprócz tego jest nadto 12 tek z rozmaitemi materyałami, mającemi związek z pracami etnograficznemi Kolberga.

Czyż nie należy chylić czoła przed zasługą takiéj pracowitości olbrzymiéj! Uczyć się należy od niestrudzonego Kolberga, jak trzeba zdolności i czas swój spożytkować! Nie dość na tém, że najskrupulatniéj zapisywał on z ust ludu wszystko, cokolwiek rzuca na jego zwyczaje, pojęcia i utwory jakiekolwiek światło, ale nadto mozolnie szperał, szukając rzeczy ludowych, po niezliczonéj ilości książek, pism zbiorowych, a nawet po gazetach i kalendarzach, aby podać jak najdokładniéj bibliografię opisywanéj okolicy.

Działalność Kolberga wywrzéć musiała wpływ znaczny na rozbudzenie w młodszém pokoleniu popędu do badań etnograficznych, a co więcéj, wskutek znakomitych jego prac i przy osobistym udziale utworzona została w Akademii umiejętności w Krakowie komisya antropologiczna, która stała się ogniskiem naukowém dla pracowników na polu etnografii. Trzynaście wydanych dotąd tomów „Zbioru wiadomości do antropologii krajowéj“ (1875—1889), zawiera cenne i umiejętnie opracowane materyały ludoznawcze, a bez wahania rzec można, że znaczna większość z pomiędzy osób, pracujących dziś u nas nad ludoznawstwem, wzięła pohop do swych studyów z dzieł Kolberga i jemu zawdzięcza metodę badań. Jako uczony, cenionym był Kolberg bardzo w świecie naukowym zagranicznym: w literaturze etnograficznéj wszystkich Słowian, a nawet niemieckiéj i francuskiéj, w każdém prawie dziele poważniejszém, którego autor występuje z faktami porównawczemi, bywają prace jego niejednokrotnie przytaczane. Znamiennym jest fakt, że znakomity etnograf portugalski, prof. Pedroso, nauczył się po polsku jedynie dla korzystania z dzieł naszego badacza. W uznaniu zasług powołano Kolberga na członka-korespondenta Akad. umiejęt., honorowego członka Towarzystwa Tatrzańskiego, członka Towarzystw naukowych w Paryżu, Petersburgu, Lizbonie, Towarzystw muzycznych we Lwowie i Warszawie; wreszcie w r. z. zaproszony został na członka honorowego Towarzystwa zwolenników przyrodoznawstwa, antropologii i etnografii w Moskwie.

Osobistość Kolberga pod każdym względem szacunek i uwielbienie wzbudzała dla niepospolitego jego charakteru. Pomimo nieocenionych zasług, okazanych społeczeństwu i nauce, cechowała zacnego starca rzadka skromność. A ileż to rysów szlachetnych tkwi w tém

jego zaparciu się dla nauki! Niezmordowana wytrwałość, ciche poświęcenie bezgranic i bezdenna miłość, jaką przejęty był dla swego przedmiotu, w kim nie rozbudzi czci ku niemu! Kolbergowi nie chodziło nigdy o osobiste potrzeby i wygody, bo nie żył on dla siebie: nie usłał on nawet gniazda rodzinnego, bo miał w życiu jeden tylko cel, obok którego wszystkie inne wydawały mu się egoistycznemi. Mamy w nim rzadki obraz człowieka, który zaparł się siebie dla nauki; podaje on pokoleniu obecnemu wzór szlachetnego i bezinteresownego poświęcenia się wyższéj idei. Posiadając środki bardzo ograniczone, otrzymując bardzo nieznaczne zapomogi na wydawanie części tylko swego olbrzymiego dzieła, potrafił zbogacić piśmiennictwo nasze aż trzydziestoma pokaźnemi tomami, wydanemi z wielkiém staraniem, ozdobione są bowiem rysunkami, chromolitografiami i nutami, co, jak wiadomo, koszta wydawnictwa w dwójnasób podnosi. W jaki więc sposób był w stanie Kolberg takie kosztowne wydawnictwo prowadzić? Oto w ten, że obok zasiłku czy to Akademii umiejętności, czy kasy im. Mianowskiego, poświęcał na nie cały przychód ze sprzedaży dzieł, które, niestety, jak to u nas z większą częścią poważnych wydawnictw się dzieje, mało są rozkupywane, dla siebie zaś poprostu skąpił we wszystkiém. Gdy zwrócimy uwagę na to, że Kolberg, będąc już 76-letnim starcem, ciężko pracował nad porządkowaniem swych materyałów, ostatecznėm przygotowaniem ich do druku, to zaiste smutno się robi, że taką nagrodę zgotowało mu społeczeństwo nasze. Mając jeszcze taką moc dzieł do wydania, skazany był zacny starzec na niepewność, azali za życia uda mu się dzieła swego dokończyć. Ale Kolberg takim odznaczał się hartem i pogodą duszy, że znosił to ze spokojem stoickim: pracował lat 50 dla kraju, a przez myśl mu nie przeszło żądanie od ogółu jakiéjś nagrody, a nawet wdzięczności, dość mu było, że w czyn wprowadził to, o spełnieniu czego od lat najmłodszych marzył.

W opisie powierzchowności znakomitego etnografa wyręczymy się słowami prof. Kopernickiego, który w cytowanéj książeczce tak o nim mówi: „Jedną z postaci, które od lat kilkunastu spotykać się zwykło w Krakowie, dawniéj parę razy na tydzień, a od lat kilku codziennie, jest mężczyzna odziany zawsze nader skromnie, a nawet ubogo, przygarbiony wiekiem i nałogową pracą przy biurku. Pomimo téj powierzchowności, zacierającéj jego osobistość wśród snujących się ludzi, zastanawia on każdego niepospolitym wyrazem swéj myślącéj fizyognomii i właściwym jéj wzrokiem, rzucanym przez okulary ze strudzonych oczu, do którego dołączywszy również właściwą postać głowy, wyciągniętéj naprzód i niby w coś wsłuchującéj, mamy przed

sobą typową, niezmiernie wyrazistą postać badacza i szperacza naukowego. Przed tym szanownym staruszkiem, znanym niewątpliwie połowie krakowskiéj inteligencyi, każdy znający go przechodzi z cichém uszanowaniem, żaden zaś znajomy nie pominie go przy spotkaniu bez serdecznego powitania i pokłonu, należnego cichéj a wielkiéj jego zasłudze."

II.

Ponieważ plan całości dzieła Kolberga uwydatnił się zupełnie w ostatnich seryach olbrzymiego zbioru, przeto podług nich go skreślimy: charakteryzuje tedy autor najprzód kraj, jaki w danéj seryi opisuje, przechodzi potém do charakterystyki ludności przez nią zamieszkiwanéj: mówi o jéj ubiorze, pożywieniu, mieszkaniach, zajęciach, stanie rolnictwa i przemysłu; opisuje przytém narzędzia rolnicze i rzemieślnicze, sprzęty domowe. Następny dział stanowi opis zwyczajów dorocznych, przywiązanych do uroczystości i czynności rolniczych; potém przedstawia obrzędy, zachowywane przy urodzinach, weselach i pogrzebach. Opis wesel, w których lud nasz tyle jeszcze zabytków, zwyczajów starych i pieśni zachował, ze szczególną starannością Kolberg wykonywał: w niektórych seryach liczba opisanych wesel 20 dochodzi. Dział pieśni ludowych, usystematyzowanych znowu według ich treści i formy, najobszerniéj jest w „Ludzie" przedstawiany, co bardzo jest zrozumiałém, gdy zwrócimy uwagę na genezę pracy naszego badacza. O podziałach szczegółowych pieśni będziemy mówili niżéj w rozbiorze XXII seryi „Ludu", to jest „Łęczyckiego." Po pieśniach i razem z niemi opisuje autor tańce z bogatym dodatkiem nut. W dziale zatytułowanym „Świat nadzmysłowy" przedstawione są wierzenia ludu, pojęcia o istotach nadprzyrodzonych, których takie mnóstwo widzi wszędzie nasz chłopek, przesądy, gusła, czary, wróżby, sposoby leczenia, własności przypisywane pewnym roślinom i zwierzętom; słowem, dział ten otwiéra nam pogląd na kulturę i rozwój wieśniaka. Tu następują przysłowia i przepowiednie, ludowe zagadki, po nich powieści, podania, legendy, baśnie, gadki, wreszcie właściwości mowy, słowniczek prowincyonalizmów; niekiedy dodaje Kolberg spisy nazw rodowych chłopskich. W końcu bardzo obszerne przypisy podają literaturę przedmiotu, dopełnienia, porównawcze dane, tyczące się podań i wierzeń ludu, wreszcie to wszystko, co z jakichkolwiek powodów do samego tekstu nie weszło. Plan „Ludu" Kolberga przytoczyliśmy z dwóch powodów: najprzód, aby dać wyobrażenie o ogromie podjętych przez niego badań, o dokładności obrazu naszego ludu; po-

które, aby przy streszczeniu „Łęczyckiego“ czytelnikowi wskazać, czego Kolberg w ostatniéj seryi nie zamieścił; o ile wiemy, spożytkował on w téj monografii wszystko, co o Łęczyckiém w swéj tece posiadał; od osób więc w Łęczyckiém zamieszkałych, a rozumiejących doniosłość badań etnograficznych, zależéć będzie zebrać i podać do wiadomości publicznéj materyał, pracę czcigodnego ludoznawcy uzupełniający. W tym też celu, nie zaś w chęci zmniejszenia wartości dzieła przez wykazanie braków książki, bo, jak wiadomo, wydawnictwa tego rodzaju z natury rzeczy o tyle mogą być zupełnemi, o ile większa ilość osób materyał doń zbiéra, będziemy zwracali uwagę na pytania nie uwzględnione, na takie strony życia ludu w Łęczyckiém, jakich Kolberg bądź nie mógł sam dostrzedz, bądź w pracach obcych nie znalazł. A jak widzimy z przypisów i cytat, rzeczy ludowe z Łęczyckiego nigdzie prawie ogłaszane nie były: znamy tylko spożytkowany przez Kolberga niewielki ale cenny zbiorek utworów ludowych, ogłoszony przez W. A. Maciejowskiego w „Bibliotece Warszawskiéj“ z r. 1860, t. II, str. 434—447 p. n. „Legendy i pieśni ludu polskiego nowo-odkryte.“ Podane tu „pieśni czyli legendy“ w liczbie 6 i 9 modlitw, dostarczone zostały Maciejowskiemu przez Mateusza Gralewskiego ze wsi Mazowa (w p-cie łęczyckim). Do pieśni tych sam Oskar Kolberg zebrał na miejscu nuty, gdy był tam w r. 1864.

Przedmowa do XXII-éj seryi „Ludu“ zawiera charakterystykę Łęczyckiego, jako ziemi pokrytéj niegdyś gęstemi borami i błotami, w których przemieszkiwał Boruta, jako ziemi, w któréj, pomimo wczesnego zaszczepienia chrześciaństwa, zachowały się żywiéj i dłużéj „wspomnienia wielu z pogańskich czasów dotrwałych istot nadprzyrodzonych,“ gadek, zwyczajów i pieśni, noszących cechę starożytności. Czyni wreszcie autor w przedmowie wzmiankę o tańcach miejscowych, opisując jeden z nich, dziś już zarzucony, zwany dyną. W rozdziale zatytułowanym „Kraj“, daje Kolberg opisy lub krótkie wzmianki 29 miejscowości dawnego województwa Łęczyckiego. Ostatni bowiem tom „Ludu“ stanowi opis etnograficzny nie dzisiejszego powiatu Łęczyckiego, lecz województwa téjże nazwy, które składało się z powiatów łęczyckiego, brzezińskiego, orłowskiego i inowłodzkiego. Zawierało ono części gub. Kaliskiéj, Warszawskiéj i Piotrkowskiéj, a mianowicie powiatów. łęczyckiego, kolskiego, łódzkiego, brzezińskiego, łowickiego, kutnowskiego i gostyńskiego. Część woj. Łęczyckiego należy do tak zwanego Mazowsza polnego, t. j. leżącego po lewéj stronie Wisły i została już przez Kolberga opisana w tomie I „Mazowsza“; tu więc przy wielu miejscowościach odsyła czytelnika do powyższego dzieła. Oto spis miejscowości, o których autor wspomina: Łęczyca (wy-

prowadza jéj nazwę od „łęgów bagnistych“, daje krótką notatkę historyczną i przytacza drukowane opisy tego starożytnego grodu), Tum, Łódź, Zgierz, Stryków, Aleksandrów, Konstantynów, Kazimierz, Poddębice, Domaniew, Parzęczew, Ozorków, Bielawy, Orłów (wieś w powiecie kutnowskim, dawniéj miasto powiatowe), Piątek, Sobota, Sobótka, Mazew (do r. 1521 była ta wieś miasteczkiem), Grabów, Dąbie, Grzegorzew, Borysławice, Kłodawa, Krośniewice, Dąbrowice, Gostynin, Gombin, Włoszczonów.

W rodziale p. n. „Lud“ czytamy: „Lud w Łęczyckiém, a po części Gostyńskiém okazuje te same niemal zalety i wady, jakie spotykamy u ludu kujawskiego i wielkopolskiego“ (str. 9). Określa tu autor stosunek włościan do szlachty i podaje króciutką charakterystykę kmieci łęczyckich. Dodano téż ogromną litanię, bo aż 92 liczącą przekleństw przez lud tamtejszy używanych, od czytania których aż włosy na głowie powstają; są one jednak rzeczą charakterystyczną i dlatego Kolberg uważał za rzecz pożyteczną ich przytoczenie. Mowę ludu do gwary mazurskiéj zalicza, chociaż trafiają się nawet mówiący wcale czysto, jak Kujawiacy [1]. Przytacza wreszcie 13 prowincyonalizmów. W rozdziale tym nie uwzględniono różnych poddziałów ludności wiejskiéj, jakie sama ona obserwuje, nadając mieszkańcom pewnych wiosek lub całych okolic nazwy charakterystyczne od sposobu mówienia, odzieży, właściwości miejscowych i t. d. Należałoby na tym obszarze zwrócić uwagę na takie nazwy, jeżeli są, a zdaje nam się, że ich nie brak, stanowią one bowiem wraz z przyczynami, które je spowodowały, ważny dla etnografów materyał. „U b i ó r włościan w Łęczyckiém i Gostyńskiém mało ma cech wybitnie go wyróżniających od ubioru sąsiednich mazurów rawskich i łowickich.“ W sąsiedztwie zaś Kujaw, ubiór ludu w okolicach Kłodawy do kujawskiego się zbliża. Opis ubioru podaje Kolberg z przed lat 20 przeszło. Mówiąc o „Pracach rolnych i przemyśle“ zwraca uwagę na rozwinięte rolnictwo i tkactwo. Opis zwyczajów dorocznych rozpoczyna adwent, po nim następuje Boże Narodzenie, podczas którego śpiewają kolędy, których 8 autor przytoczył. Żadnych zwyczajów, przesądów i wierzeń, tyczących się tego czasu nie podano, a jest ich moc niezliczona; należy więc i na tę okoliczność zwrócić uwagę, gdyby kto chciał omawiane dzieło Kolberga uzupełnić. Podczas ostatków odbywa się tu zabawa, zwana podkoziołkiem, znana i na Kujawach. Względem po-

---

[1]) O co nam tu chodzi, może się bliżéj dowiedzieć czytelnik z pracy Jana Karłowicza: „Imiona niektórych plemion i ziem dawnéj Polski.“ (Odbitka z „Pamiętnika fizyograficznego“ t. II, r. 1882 i poszukiwania w „Wiśle“ z r. 1888 i 1889 p. n. „Nasz obszar etnograficzny.“

stu wielkiego zwyczajów żadnych nie podaje autor, przytacza natomiast 4 pieśni wielkopostne. W Wielki Czwartek chłopcy wiejscy obwożą na wózku kogutka sztucznego; zwyczaj ten w całém zdaje się Kaliskiem jest zachowywany. U Kolberga brak pieśni zwyczajowi temu towarzyszących. Chodzą téż chłopcy w okolicach Łęczycy w Wielki Czwartek z obrazikiem i śpiewają pieśni. Co do Wielkiéj Nocy brak téż w dziele o Łęczyckiém wierzeń i przesądów; opisano zaś gaik t. j. gałąż sośniny ubraną w różnokolorowe wstęgi i obrazki świętych; chodzą z nim dziewczęta w drugi dzień Wielkiéj Nocy lub Zielonych Świątek; śpiewają przytém pieśni i proszą o datki. Sobótek w wigilią św. Jana Chrzciciela w Łęczyckiém oddawna już nie palą, ale w Mazewie natrafił Kolberg na ich pozostałość. Obfity zbiorek pieśni z kilku wsi podczas dożynek, które tu okrężnem lub wieńcem nazywają, kończy dział zwyczajów dorocznych. Co się tyczy całego działu tego, to zauważyć musimy, że jest on słabiéj opracowany, niż w seryach poprzednich; widocznie brakowało naszemu zbieraczowi materyału; i pieśni, ściągające się do dni uroczystych, są przeważnie nabożne, kościelne. W dziale o b r z ę d ó w krótko wspomniawszy o chrzcie, że zwyczaje przy nim zachowywane od kujawskich i mazurskich się nie różnią, przytacza dwie pieśni pogrzebowe. Opis dwóch tylko wesel 42 str. druku zajmuje. W opisach wesel, przytoczono oracye, wygłaszane przez swata, zapraszającego gości na wesele; są one bardzo podobne do słyszanych przez nas na Kujawach i zapisanych przez Kolberga w seryi III. Pomiędzy 23 pieśniami weselnemi z okolic Piątku i Kutna, są bardzo piękne. Jeszcze obszerniéj przedstawił autor opis wesela w Mazewie i Rzętkowie, samych pieśni czytamy tu 62. Nie potrzebujemy dodawać, że opatrzono je nutami. Teraz z kolei zastanowić się musimy dłużéj nad zbiorem pieśni. Wszystkich tego rodzaju utworów ludowych, włączając pieśni zwyczajowe i obrzędowe, mieści się w téj seryi 571! A do większéj ich części dodano téż nuty. Ile na to pracy poświęcono, aby tak pokaźny zbiór ułożyć! Gdyby nic więcéj nad ten zbiór pieśni Kolberg nie pozostawił, jużby swe imię na kartach etnografii ojczystéj zapisał; a przecież jest to tylko maleńka cząstka wszystkich jego zbiorów. Pomiędzy pieśniami znajdujemy: poważne i lżejszéj treści, i dowcipne i rubaszne. A ileż w nich pięknych obrazów, ile prawdziwéj poezyi z czystéj krynicy fantazyi ludu zaczerpniętéj. Pieśni w takie działy ujął Kolberg: zalotne, chęć ożenku, miłosne, życzliwość, wymówka, strata wianka, żale.

Następne działy stanowią: igraszka, swawola, smutek, niedola, małżeństwo. Pomiędzy piosenkami tu należącemi, jedna dowcipnie

opiéwa cały tydzień małżeńskiego pożycia, podczas którego biédny mąż co dzień był przez swą połowicę bity, aż w końcu głosi:

Przypatrzcie się panny,
Przypatrzcie mężatki,
Jak mnie żona wyćwicyła,
Jakim teraz gładki (Nr. 218).

W pieśni znowu pod Nr. 221, lud dokładnie odmalował nieprzyjazny stosunek świekry do synowéj; stosunek, który i w klasie ludzi inteligentnych nie należy do najprzyjemniejszych. Pomiędzy kilkoma dumami, czyli balladami, znajdujemy zaczynającą się od słów: „Stała nam się nowina, pani pana zabiła“, „Jasio konie poił, Kasia wodę brała“ i inne. Oto tytuły reszty działów: zabawa, karczma, wojsko, łowy, pasterstwo, rody, stany (zasługuje tu na wyróżnienie żartobliwa pieśń pod Nr. 271, zaczynającą się od słów „Ojcu było Brach, | A synowi Stach, | Przedtém byli bogacze, | Teraz biéda po nich skacze“), różne, pieśni dziadowskie, nabożne i legendy. Jedna z tych pieśni wyraża pojęcia ludu o duszy i życiu pozagrobowém (Nr. 287), inna znowu ma myśl bardzo poetyczną o tém, jak dusze grzeszne, które się nie spowiadały, z płaczem proszą cmentarz, aby je przyjął: „Smętarz, smętarz przyjmij ty nas, | Bo Pan Jezus nie wié o nas“, ale cmentarz się nie zgadza, mówiąc: „A wyśta się nie słuchały, | W wszelkim grzechu-śta ostały“. Z takąż prośbą zwracają się do kościoła, ziemi, lasu, ognia, wody, obłoku, ale wszędzie odmowną odpowiedź otrzymują. Wtedy:

Wstały dusze, zapłakały
I na piekło zawołały:
„Piekło, piekło, przyjmij ty nas,
Bo Pan Jezus nie wié o nas“.
A tam w piekle radzi byli
I na szerz drzwi otworzyli.
Ten najstarszy paszczę rozdarł,
Wszystkie duszyczki pożréć chciał.
A one się tak przelękły
Na kolana, aż uklękły:
„Najświętsza Panno, ratuj nas,
Bo Pan Jezus nie wié o nas.“
Najświętsza Panna usłyszała
I czém prędzéj przybieżała,
Płaszczykiem je swym odziała:
„Pietrze, Pawle, pójdź po klucze,
Roztwórz wrota, puść te dusze“.
(Nr. 289).

Pieśń ta należy do zbiorku ogłoszonego przez Maciejowskiego w „Bibl. Warsz.“. Jedna z pieśni (Nr. 292), zawiéra wspomnienie o wojnach szweckich i Czarnieckim. W innéj znowu (Nr. 293) dano naukę macochom, jak nie należy postępować z sierotami. Skarży się tu siérota zmarłéj matce na niecnotę swéj macochy, którą za to czarci do piekła porwali. Powtórzył to Kolberg, równie jak pieśni i modlitwy przez Maciejowskiego w „Bibl. Warsz.“ ogłoszone; niektóre z nich oprócz właściwéj modlitwy zawiérają nadto legendy ludowe o świętych; widzimy w tych modlitwach połączenie żywéj wiary z pogańskiemi prawie przesądami.

Ostatni rozdział obejmuje tańce z odpowiedniemi do wielu z nich śpiewkami. Znajdujemy tu szoty, polki, skoczki, obertasy, mazury, kujawiaki, chodzonego, owczarka, polskiego. Ot jak to w okolicach Kłodawy (w Rdułtowie) o Kujawach śpiéwają: (Nr. 367).

Na Kujawy patrz, koniu mój,
Na Kujawy patrz, da i patrz!
Wypatrzysz se kujawiánkę,
Jak różowy kwiát, da i kwiát.
A wiedzie mnie chęć do Kujaw,
A wiedzie mnie chęć, da i chęć;
Lepszá jedna kujawiánka,
Niż kłodawskich pięć, da i pięć.
Na Kujawach powiadają,
Że tam dobry posāg dają:
Stof maślánki, kwárta mąki,
Oto posāg kujawiánki
Torba sieczki, wiązka siana.
A to posag kujawiána.

Sporą część książki, bo 44 stronice, zajmują dopełnienia do dwóch tomów, opisujących Kujawy. Zamieszczenie tego dodatku tu właśnie autor usprawiedliwia tém, że zauważyć łatwo „wielką łączność tańców kujawskich z łęczyckiemi, już z samego sąsiedniego obu tych prowincyi położenia, ułatwiającego wzajemne ich na siebie wpływy, wynikającą“. Dodatek ten zawiéra 146 melodyi tańców, z których do wielu dołączono i piosenki.

Przypisy do „Łęczyckiego“ mniéj obszerne, niż w innych seryach stanowią dopełnienia do tekstu książki: zebrał tu Kolberg najprzód podania o Borucie, z materyałów drukiem ogłoszonych: znajdujemy tu więc powtórzenie podań wydanych przez Wójcickiego i innych w „Tyg. Illustr.“ Z własnych zbiorów nic Kolberg tu nie dołączył [1]). Inne przypisy zawierają przeważnie wyjęte z druków obszerniejsze opisy kilku miejscowości dawnego województwa łęczyckiego. Oto treść pokaźnego tomu o 279 str. druku.

Jak widzimy z przedstawionéj tutaj treści „Łęczyckiego“ i porównania jéj z planem całego dzieła Kolbergowego, dał on nam tutaj tylko połowę tego, co umieścił w opisach innych prowincyi: nie dotknął, mianowicie, wierzeń, przesądów ludu, nie podał, oprócz pieśni innych rodzajów twórczości ludowéj. Jak wspomnieliśmy, do Łęczyckiego więcéj materyału Kolberg, o ile z notatki podanéj przez prof. Kopernickiego wnosić można, nie posiadał, co i tytuł zdaje się wskazywać, bo nie powiedziano tu, że jest to część I. monografii. Tém wię-

---

[1]) Ponieważ zaś w poszukiwaniu naszém, ogłoszoném w Nr. 89 „Kaliszanina“ z r. z. p. n. „Dyabeł Boruta“, zacytowaliśmy źródła przez czcigodnego badacza przytoczone (zawdzięczamy przypisom o Borucie 3 tylko wzmianki, których pisząc wówczas artykuł wspomniony, nie znaliśmy), przeto przypominamy i ponawiamy i na tém miejscu prośbę naszą o zbieranie i nadsyłanie do redakcyi „Kaliszanina“ tego wszystkiego, co Boruty dotyczé, „Łęczyckie“ bowiem spodziewanych przez nas nowych materyałów nie dostarczyło.

céj życzyć wypada, aby osoby, mające po temu możność, mieszkając na wsi, zajęły się z całą gorliwością zbieraniem materyału ludoznawczego w Kaliskiém i Łęczyckiém, ku czemu ogromna praca Kolberga będzie najdokładniejszém wytknięciem drogi. Niech laury, które zdobył sędziwy badacz, nie będą dla nas powodem do zasypiania sprawy badania życia ludowego, niech przeciwnie, dodadzą bodźca do opisania pod względem etnograficznym takich zakątków, gdzie Kolberg sam być nie mógł, niech zwrócą naszą uwagę na te pytania w ludoznawstwie naszém, na te strony życia ludowego, których Kolberg albo dotknął tylko zlekka, albo bliżéj zbadać nie miał możności. Sądzimy, że w ten sposób, jak również rozczytywaniem się w dziełach świeżo zmarłego etnografa i uczeniem się z nich tego, do czego własną obserwacyą dojść nie możemy, spłacimy najlepiéj dług wdzięczności, jakiśmy zaciągnęli względem niego, jako jednego z najzasłużeńszych uczonych naszych.

Rafał Lubicz.





MONIZM WSPÓŁCZESNY
I ECHA JEGO U NAS.



I.

Monizmem nazywamy wszelką doktrynę metafizyczną, która przyjmuje istnienie we wszechświecie jedynéj jakiéjkolwiek substancyi o własnościach określonych i ogół zjawisk tego wszechświata wyprowadza, a raczéj wyprowadzić obiecuje tylko z istoty téj substancyi, którą nazwijmy sobie: monon albo bytem jedynym. W tém znaczeniu dotychczas w dziejach spekulacyi dadzą się zaznaczyć dwa tylko typy prawdziwego monizmu metafizycznego: materyalizm i spirytualizm. Każdy z nich występował w dziejach metafizyki w szeregu odmiennych postaci, ale odrębnych tylko pod względem formy, w istocie typowo zgodnych. Materyalizm uznaje za substancyą wszystkich zjawisk materyą, czyli istotę rozciągłą, wedle potrzeby zaopatrywaną przez zwolenników téj doktryny w różne własności mechaniczne, i zapowiada objaśnienie, według takich lub innych metod, wszystkich zjawisk we wszechświecie zachodzących z zasadniczych własności téj jedynéj substancyi. Spirytualizm przyjmuje za taką substancyą ducha i zapowiada objaśnienie, także według różnych u różnych przedstawicieli téj doktryny metod, ogółu zjawisk we wszechświecie zachodzących z zasadniczych własności téj substancyi, a więc z podmiotowości, nierozciągłości, świadomości, myśli, uczucia, woli, wziętych osobno lub w grupach, stosownie do tego czy wymienione władze duchowe uznają się za pierwotne, czy téż za pochodne. Obie te doktryny metafizyczne dla wielu powodów zapowiedzi swoich nie dotrzymały i dotrzymać nie mogły, wskutek czego, pomimo iż tu i owdzie mają i bodaj zawsze mieć będą swoich wyznawców, bo w specyalnych warunkach podmiotowych zadawalniać mogą pewne umysły, przez naukę zostały odrzucone.

Odpowiadają one dwom naczelnym kategoryom, do których umysł sprowadza wszystkie postrzegane zjawiska: kategoryi zjawisk podmiotowych i pozapodmiotowych. Dualizm metafizyczny z tą dwoistością zjawisk poczyna sobie tak, że przyznaje jednoczesne istnienie dwóch substancyi, tym dwom kategoryom zjawisk odpowiadających; ale, będąc w zgodzie ze zjawiskami, nie może on dać sobie rady z dwiema substancyami, które sam przyjął, i które jakoś zrozumiale ustosunkować do siebie pragnie, tak iżby ten ich stosunek tłómaczył nam poznawany w świecie stosunek zjawisk. Obok tego od samych już początków spekulacyi metafizycznéj w umysłach zawsze kiełkowała doktryna, usiłująca dwa powyższe, w jednostronności swojéj skrajne typy monizmu pogodzić w ten sposób, że pierwotne, zasadnicze własności tak materyi, jak ducha, wiązała w jedną jakąś substancyą, uważaną za byt jedyny. Przybierała ona najrozmaitsze postacie systematów, mniéj lub więcéj konsekwentnie rozwijanych i noszących miana bądź panteizmu, bądź filozofii tożsamości (*Identitätsphilosophie*), bądź idealnego realizmu. Istota rzeczy zawsze polegała na tém, że pierwotne i zasadnicze fakty, do których doprowadziło badanie zjawisk materyalnych i duchowych, brano za orzeczenia i, pod nazwą własności, emanacyi, atrybutów, wiązano je z podmiotem, wyrazowo oznaczanym przez takie symbole, jak: Jedność, Byt jedyny, Przyroda, Bóg i t p. Wiązadłem, bywał, jak zawsze, łącznik (*copula*) „jest", który wogóle w dziejach metafizyki został uprzedmiotowiony i dostąpił zaszczytnéj roli „Bytu w sobie."

Dla przykładu można wziąć pogląd Spinozy, powszechnie uchodzący za najczystszy, najbardziéj konsekwentny i typowy objaw tego rodzaju monizmu syntezującego. Oparłszy się na nauce Descartes'a, Spinoza przyjął następujące dwie tezy fałszywe i trzecią sprawdzić się nie dającą: 1) ogół zjawisk świata materyalnego daje się sprowadzić do faktu zasadniczego, którym jest rozciągłość; 2) ogół zjawisk świata duchowego daje się zredukować do faktu zasadniczego, którym jest myśl; 3) grupy i szeregi faktów materyalnych z jednéj strony i duchowych z drugiéj strony zawsze i w każdém stadyum są odpowiednio równoległe sobie, co wielki myśliciel wyraził w zdaniu: „porządek i powiązanie wyobrażeń jest taki sam, jak porządek i powiązanie rzeczy." Należało więc objaśnić od czego zależy ten stały paralelizm obu kategoryi zjawisk, które ani wzajem do siebie sprowadzić się nie dają, ani tém samém warunkują się wzajem przyczynowo, gdyż nic wspólnego ze sobą nie mają. Spinoza odpowiedział: rozciągłość i myśl są to atrybuty jedynéj substancyi, która się nazywa *Deus sive Natura*. Poznając świat, poznajemy tylko z dwóch różnych stron objawy téj

jedynéj substancyi: pod kategoryą myśli, czyli ze strony podmiotowéj, i pod kategoryą rozciągłości, czyli ze strony pozapodmiotowéj; nic przeto dziwnego, że obie te z naszego stanowiska różne strony objawów jedynéj istoty zawsze są równoległe sobie.

Pozorne to objaśnienie, oczywiście, opiera się na złudzeniu czysto wyrazowém; chodzi o to, czy pojęcie „*substancya*“ zawiéra w treści swojéj coś więcéj nad możność powstawania zjawisk materyalnych i duchowych, które, chociaż nie dają się wzajem sprowadzić do siebie, wszelakoż występują w niezrozumiałym, ale stałym związku ze sobą. Skoroby bowiem w pojęciu tém nie było nic więcéj nad to, co jest w samym fakcie, który mamy objaśnić, to nie ulega wątpliwości, iż nic przez nie objaśnioném być nie może; albo, innemi słowy, wymaga ono objaśnienia tak samo, jak i fakt, który innym tylko wyrazem oznacza. I w rzeczy saméj, gdy powiadamy, że jedyna substancya jest rozciągła i myśląca zarazem, to przez to dokonywamy, stosownie do stanowiska swego, jednéj z dwóch możliwych operacyi: albo wyraz substancya, którego nie rozumiemy, objaśniamy tym sposobem, że bierzemy go za podmiot nominalny i łączymy go w zdaniu za pomocą łącznika „jest“ z dwoma orzeczeniami—myśl i rozciągłość; w takim razie mamy objaśnienie czysto nominalne, jak w słowniku; albo, zgodnie z prawem tworzenia się sądów z pojęć, w orzeczeniach *wyraźnie* wymieniamy treść, która już *domyślnie* jest zawarta w samém pojęciu substancyi, a mianowicie: pojęcie substancyi zawiera już w sobie treść realną dwóch faktów—myśli i rozciągłości, połączonych ze sobą nierozerwalnym stosunkiem paralelizmu, tak samo jak w rzeczywistości zjawiskowéj, którą mamy objaśniać; gdy więc mówimy: jedyna substancya jest rozciągła, to w orzeczeniu wymieniamy część treści domyślnie zawartéj w pojęciu podmiotu; to samo stosuje się do sądu: jedyna substancya jest myśląca. Gdy zaś powiadamy: jedyna substancya jest rozciągła i myśląca, natenczas w orzeczeniu wyraźnie rozwijamy całą treść, domyślnie reprezentowaną przez symbol substancya. Tak więc Spinoza w pojęciu jedynéj substancyi nie podał nic takiego, coby nie było zawarte w trzech powyższych tezach Descartes'a, i stosunku stałego paralelizmu pomiędzy dwoma faktami pierwotnemi, myślą i rozciągłością, nie objaśnił wcale; nadał mu on tylko nazwę nową: *Deus sive Natura.*

Przeciwko tym wywodom, ściśle ze stanowiska Spinozy, mogą być uczynione dwa zarzuty: nieprawda, jakoby Spinoza w pojęciu swojém jedynéj substancyi nie zawarł nic więcéj nad owe trzy fakty znane z doświadczenia: myśl, rozciągłość i stosunek ich stałego paralelizmu; bo, nasamprzód, podał on następującą definicyą substancyi: „Przez substancyą rozumiem to, co istnieje w sobie i samo przez się pojąć się

daje, czyli to, czego wyobrażenie nie potrzebuje wyobrażenia innéj rzeczy, z którego musiałoby być wytwarzane“ [1]); bo, powtóre, sam Spinoza twierdzi, że jedyna substancya, jako doskonała, posiada nieskończoną ilość atrybutów, z których my dwa tylko wymienione poznajemy. Jest widoczném, że to coś istniejące w sobie, ten byt bytujący w sobie, jest właśnie tém, czego treść trzeba wyłuszczyć, albo przyznać się otwarcie, że nic o niém nie wiemy, że tém samém nic przez nie objaśniać nie możemy. Wyraz „być“ we wszelkich dowolnych odmianach gramatycznych, jak: byt, jest, istnieje i t. p., oznacza tylko, iż coś zostaje w jakimś stosunku do czegoś, czyli jest on łącznikiem (*copula*), wiążącym orzeczenie z podmiotem. Skoro mówię: świat jest, świat istnieje— wyrażam tylko przez to skrócone i orzeczenia pozbawione zdanie to, czego się łatwo domyślić, że w orzeczeniu może być wymienione wszystko, co się w podmiocie „świat“ zawiera, że z grupy cech, którą nazywam „świat“, można wydzielić każdą dowolną cechę i przekonać się doświadczalnie, że cecha ta zostaje w pewnym stosunku do całéj grupy. Byt istniejący w sobie jestto abstrakcya stosunku, bez wskazania rzeczy, faktów, które mają być ustosunkowane; gdy jednak byt sam w sobie metafizyka uważa za samą już rzecz, to wznawia kwestyą owéj „chimery brzęczącéj w próżni,“ o któréj, jak powiada autor *Pantagruela*, na pewném koncylium spierano się przez kilka miesięcy, „czy mogłaby ona pożréć wtóre intencye,“ z tą różnicą, że u nas rolę tych wtórych intencyi, które mają być pochłonięte przez byt sam w sobie, grają atrybuta i zjawiska. Druga za to część definicyi Spinozy jest istotną: substancyą jest to, co samo się przez się pojmuje, czego wyobrażenie nie wytwarza się z wyobrażenia innéj jakiéjś rzeczy. Otóż, taką ostateczną instancyą w łańcuchu wyobrażeń naszych muszą być zawsze jakieś fakty pierwotne, nierozkładalne; takich zaś faktów u Spinozy jest trzy: rozciągłość, myśl i stały ich do siebie stosunek. Daléj posuwać się nie można, bo to są ostateczne, najprostsze produkty ówczesnéj analizy świata badanego, i Spinoza rzeczywiście daléj się nie posunął. A więc i z téj strony jedyną treść substancyi jego stanowią owe trzy fakty.

Co się tyczy nieskończonéj ilości atrybutów, posiadanych przez

---

[1]) Jestto słynna definicya 3, części I „Etyki.“ Przekładu „Etyki“ Spinozy na język polski dokonał p. Ant. Paskal, pod redakcyą p. Henr. Struvego; Warszawa, 1888. Przekładowi temu zupełnie zaufać nie można, gdyż zawiera on dość liczne błędy; tak w omówionéj tu definicyi tłómacz popełnił błąd, odnosząc zaimek *quo* do *res*, nie zaś *conceptus*. Przedmowy, któremi zaopatrzono przekład, stanowczo mijają się z tém, do czego dziś liczne i znakomite badania nad filozofią Spinozy doprowadziły.

doskonałą substancyą, jestto danina spłacona przez Spinozę nałogom ontologii scholastycznéj: dlaczego mielibyśmy koniecznie przyjmować, że substancya jest doskonałą? dlaczego mamy wierzyć, że cechą doskonałości ma być nieskończoność, skoro przeciwnie, raczéj pojęcie doskonałości wiąże się w pojmowaniu naszém z pojęciem skończoności? Jakie to zresztą są atrybuty, o których sam Spinoza tak dalece nic nie wié, że nawet trzeciego z pośród nich wymienić nie potrafił? Wszystko to są osobiste tajemnice myśliciela, których ani objaśnił, ani udowodnił, tak iż zaufanie do nich jest kwestyą wiary, nie zaś wiedzy.

Z jakiéjkolwiek tedy strony będziemy rzecz rozważali, tak zwany monizm Spinozy okazuje się tylko zamaskowaniem przez wyraz „jedyna substancya", albo *Deus sive Natura*, trzech faktów pierwotnych i zupełnie odrębnych, które monizm prawdziwy dopiéro powinienby zrozumiale i dowodnie sprowadzić do jakiegoś faktu jeszcze bardziéj prostego i zasadniczego; chociaż to byłoby tylko wtedy możliwe, gdyby się okazało, że tamte trzy fakty pierwotnemi nie są. Filozofowie współcześni chętnie nam prawią o konieczności syntezy filozoficznéj, która ma prowadzić do jedności, do monizmu, zarazem powołują się na wzory wspaniałéj syntezy, osiągniętéj przez fizykę i biologią w drugiéj połowie naszego stulecia. Nie zawsze jednak łatwo pojąć, co właściwie rozumieją oni przez syntezę, z prób zaś filozofii syntetycznéj widać, że rozumieją coś takiego, czego fizyka i biologia nie znają, jakieś amalgamowanie, stapianie w jedno rzeczy w założeniu różnych. Synteza w fizyce i biologii polega na sprowadzaniu wszystkich złożonych i pochodnych faktów danéj kategoryi do jakichś faktów najprostszych, czyli nierozkładalnych i niepochodnych. Fizyka w analizie swojéj doszła nie do jednego, lecz do kilku takich faktów pierwotnych, na których opiéra syntezę wszystkich zjawisk fizycznych: materya rozciągła, nieprzenikliwa i bezwładna o budowie atomowéj; kształt układów materyalnych; ruch rzeczywisty; coś, z czego określona ilość ruchu rzeczywistego powstać może, albo w co określona ilość ruchu rzeczywistego przemienić się może; a więc, powiedzmy: energia potencyalna; udzielanie się ruchu według pewnych prawideł. Oto są fakty, w części hipotetyczne, w części rzeczywiste, na których fizyka buduje swój gmach syntetyczny, usiłując wykazać, że wszystkie zjawiska fizyczne są ściśle pochodne od tamtych faktów pierwotnych, kombinujących się w różnych stosunkach ilościowych. A biologia? Oprócz całego aparatu mechaniki, fizyki i chemii, z któremi się wciąż rachować musi, doszła ona także do kilku faktów specyficznych, których do żadnych prostszych sprowadzić nie może, chociaż wszystkie one dadzą się

ująć pod nazwą: budowa i czynności protoplazmy żywéj. Takie fakty, jak: budowa organiczna, asymilacya organiczna, odradzanie się w ciągłości genetycznéj, wrażliwość na podrażnienia, zmienność budowy i czynności pod wpływem otoczenia, wreszcie świadomość, która się stała przedmiotem badań specyalnéj nauki,—wszystko to są fakty dziś pierwotne, na których się biolog opiéra, jako na danych, w swojéj niepewnéj syntezie zjawisk świata organiczego. W tym względzie biologia współczesna jest mniéj monistyczna od biologii tych szczęśliwych czasów, gdy popłacały w nauce rekursy do „siły życia"; za to jest ona bardziéj gruntowna i mniéj się ugania za syntezą wyrazową.

Monizm zatém Spinozy, jak również wszelki inny na nim wzorowany, a więc metafizyczny, nie mają nic wspólnego z syntezą w zakresie fizyki lub biologii, chociaż barwami tych nauk usiłują pokryć dzisiejsi moniści próżnię swoich symbolów wyrazowych. Stosunek wzajemny rozciągłości i myśli tak pozostał niezrozumiały, gdy go oznaczyliśmy jedną etykietą wyrazową substancya, jak był niezrozumiały w dziedzinie zjawisk i doświadczenia, bo zresztą wogóle fakty pierwotne zrozumiane być nie mogą; one mogą być tylko poznawane. Wogóle błąd monizmu metafizycznego polega na tém, że pragnie on fakty, które sam uznaje za pierwotne, uczynić zrozumiałemi, gdy tymczasem z konieczności stanowią one *terminus a quo* wiedzy naszéj. O tém jednak niżéj będzie mowa.

Monizm nowoczesny pochodzi w prostéj linii od monizmu Spinozy i, w istocie rzeczy, jest tylko odmianą jego; nikt nie zaprzecza tego zaszczytnego rodowodu historycznego. Zachodzi ta jedynie różnica, że monizm Spinozy był panteistyczny i w ostatniéj instancyi powoływał się na naturę boską jedynéj substancyi, gdy tymczasem monizm nowoczesny jest mechanistyczny. Tam substancya nie była ani duchem, ani materyą, lecz istotą boską, objawiającą się nam, zgodnie z naturą swoją, pod atrybutami ducha i materyi; tu substancyą jest materya z całym mechanizmem atomów, ale nadto obdarzona pierwiastkiem duchowym, czyli cechą podmiotowości. Tam substancya jedyna objawiała się w świecie zjawiskowym pod dwoma atrybutami i tu tak samo, tylko że dwa te atrybuty nazwano tu dwoma obliczami jedynego bytu: subiektywném i objektywném. Jestto doktryna dwóch obliczy jedynéj substancyi, *two-aspects-theory*, jak się wyrażają Anglicy. Czy tę jedyną substancyę nazwiemy *Deus sive Natura*, jak ją nazwał Spinoza; czy za przykładem Noirégo nazwiemy ją *Monon;* czy, jak życzy sobie prof. Clifford, *Mind-Stuff*, a więc duch--materya, czy wreszcie ze Spencerem *Unknowable*, t. j. bytem niepoznawalnym,—zawsze będziemy mieli do czynienia z wyrazem, który oznacza trzy rzeczy

różne: materyą, ducha i ich wzajemny stosunek, trzy rzeczy, które nic ani na treści, ani na zrozumiałości nie zyskały przez to, że je pod jedną nazwą odnieśliśmy w niedostępną dziedzinę bytu samego w sobie. I tak samo daléj: czy powiemy wraz z Noirém, że każdy atom posiada stronę zewnętrzną czyli materyalną i wewnętrzną czyli czuciową, chociaż „w świecie jest tylko jeden duch, tak samo jak w nim jest tylko jedna materya"; czy powiemy z Haeckelem, że każda plastidula organiczna, będąc związkiem chemicznym węgla, wodoru, tlenu i azotu, posiada duszę, zawsze otrzymamy materyą, czyli szereg faktów pierwotnych, w pewien sposób do siebie ustosunkowanych, i ducha czyli takiż szereg faktów pierwotnych i do siebie ustosunkowanych; stosusunek zaś ducha i materyi jest nowym takim faktem. Descartes i Spinoza utrzymywali, że zupełnie zrozumiałą jest rzeczą, jak jedno zjawisko materyalne pochodzi od innego zjawiska materyalnego, i jeden stan duchowy od innego stanu duchowego; tylko stosunek zjawisk duchowych do materyalnych był dla nich czémś, co zasadniczo wymaga objaśnienia. Moniści nowocześni także utrzymują, że rozumieją jak ruch wynika z ruchu, a myśl z myśli i usiłują zasypać tylko przepaść zasadniczą pomiędzy ruchem i duchem. Jedni więc i drudzy stanowczo pod tym względem zabiegli daléj od nauki, która zarówno w świecie materyalnym, jak i duchowym, zna szereg faktów pierwotnych, nierozkładalnych, których nawet wzajem do siebie sprowadzić nie może w obrębie téj saméj kategoryi, które tylko poznaje, ale ich nie rozumié.

Że monizm nowczesny jest uczeńszy od starego, że większą obfitość wiedzy wciąga w obieg spekulacyi swojéj, że wyzyskuje i teoryą zachowania energii i teoryą ewolucyi, składając na odpowiedzialność obu teoryi to, czego one nie twierdzą,—wszystko to zależy od bardziéj żyznéj gleby naukowéj, na któréj się krzewi monizm dni naszych, ale istoty rzeczy to nie zmienia: każdy pogląd metafizyczny żyje sokami wiedzy sobie współczesnéj, a na starych dębach porastają bujniejsze jemioły. Jemioła dla marzycieli jest pożądaną dla wykończenia obrazu ozdobą, ale dla dębu — pasorzytem.

II.

Od tego najogólniejszego rzutu oka na istotę i charakter doktryny monistycznéj, przechodzimy do szczegółowszego rozważenia niektórych zasadniczych rysów monizmu mechanistycznego i przy téj sposobności zamierzamy rozwinąć, według własnego rozumienia rzeczy, pewne pojęcia i poglądy, które, o ile nam wiadomo, albo wcale dotąd

wypowiedziane nie były, albo niedostatecznie wyjaśnione zostały, jakkolwiek są podstawowe nietylko dla monizmu, lecz i dla wszelkiéj wogóle filozofii. Będą to wskazówki i przestrogi pożyteczne, być może, dla osób pracujących jeszcze u nas nad wyrobieniem samodzielnych poglądów filozoficznych, ale bynajmniéj nie dla tych, którzy filozofią już posiedli.

Ostatniemi czasy dość często można było spotkać w prasie peryodycznéj artykuły, a zwłaszcza ustępy artykułów, zabarwione monistycznie. Podobnie jak przed dwudziestu już przeszło laty pozytywizm pozyskał u nas liczne dla siebie umysły, stał się modném niejako wyznaniem i wywołał walkę artykułową, w któréj sam bohatér figurował tylko *in effigie*, tak dziś modnym stał się monizm, zwłaszcza u tych, którzy dawniéj z sympatyi i usposobienia byliby wyznawcami pozytywizmu. Przyszedł on cicho i bez burz wszelkich osiadł ciepłą mgłą na umysły; nie było krytyki, nie było alarmów ostrzegających, jak przed pozytywizmem, od którego starano się odstraszyć widmem klęsk moralnych i społecznych, ukrytych jakoby w jego wystygłém łonie. Monizm jest doktryną pokojową, godzącą przeciwieństwa, kojącą niepokoje umysłowe i za pomocą przejść nieznacznych łagodzącą ostre jednostronności innych kierunków. Pozytywizm był hasłem do rozbratu z mrzonkami metafizycznemi i wyłomem, przez który wtargnęły prądy nowéj nauki: upowszechniły się u nas najbardziéj dostępne idee ewolucyonizmu, przedostały się w popularnéj formie pojęcia fizyki nowoczesnéj, zasmakowaliśmy w najogólniejszych zdobyczach psychologii doświadczalnéj i socyologii. Zasób wiedzy faktycznéj urósł znacznie, widnokręgi nasze umysłowe rozszerzyły się i stały się przystępniejszemi dla światła nowych faktów i myśli. Im bardziéj jednak obfitą i różnostronną jest wiedza zdobyta, tém natarczywiéj umysł ludzki poszukuje formy odpowiedniéj, w któréjby tę wiedzę najdogodniéj mógł udźwignąć. Pozytywizm formy téj dostarczyć nie był w stanie; on przedewszystkiém był walką, obwarował się w ciasnym obozie swoim przeciwko zapędom metafizyki, rozstawił czujne czaty na kresach widnokręgu swego i w przesadnéj, ale nieuniknionéj w wojennym czasie podejrzliwości swojéj, odtrącił nawet Danaów dary niosących, jak psychologią, któréj nie ufał z powodu jéj bliskich z metafizyką sojuszów. Dlatego to pozytywizm nie stworzył wcale teoryi poznania, chociaż po dyktatorsku zakreślił granice tego, co poznawalne, i w tych granicach przepisał surowy regulamin postępowania, taktykę walki zaczepnéj i odpornéj ze spekulacyą, metodę odróżniania tego, co pozytywne, od tego co mitologiczne lub metafizyczne.

Nauki specyalne szczerze sprzyjały i dotąd sprzyjają prądowi

myśli pozytywistycznéj, gdyż pozytywizm nietylko oczyszczał grunt zdziczały i wyjałowiony przez bujny rozrost chwastów metafizycznych i otwiérał umysły dotąd ślepe na rzeczywistość, lecz nadto uogólniał on encyklopedycznie to, nad czém nauki od trzech już wieków usilnie pracowały. Po za plecami wszakże pozytywizmu nauki, w osobie wybitniejszych przedstawicieli swoich, głównie badaczy przyrody na szerszą skalę, podawały rękę monizmowi syntezującemu. Monizm ten nie zapiera się ducha dla materyi, jak materyalizm, i nie rozcieńcza materyi w duchu, jak spirytualizm. On stapia oboje na równych prawach w jednym tyglu z wyrazów ukutym i, przybrawszy sobie biologią, fizykę i psychologią porównawczą do pomocy, zachodzi tak daleko, jak żadna z tych nauk nie zaszła, twierdzi rzeczy, których ani udowodnić, ani sprawdzić niepodobna; ale ma kredyt, bo, wyszedłszy z nauki, otwiéra wolne pole dla polotu fantazyi aż po za metodą skrępowane włości nauki. I do nas ziarna tego na świat poglądu przyniósł ten sam wiatr z zachodu, który przywiał nasiona wiedzy nowoczesnéj.

Oprócz licho na język polski przełożonéj książki Reichenaua p. t. „Filozofia monistyczna od Spinozy aż do naszych czasów“ (Warsz., 1883), będącéj szeregiem powierzchownych referatów bez krytyki o nowszych próbach monizmu, nie spotkaliśmy się u nas z żadną pracą, którаby uzasadniała doktrynę monistyczną lub poddawała krytyce ten kierunek metafizyczny. Zaczęto wprost wierzyć w ten monizm godzący i niewojowniczy. Wobec tego nazwy: dualizm, dualista, stały się równoznaczące z nieuctwem i zacofaniem, chociaż w chwilach mniéj uroczystych, przy codziennym warsztacie pracy, gdzie ze wszystkiego sprawę sobie zdać trzeba, każdy pozostaje dualistą, nawet najzagorzalsi moniści. Monizm jest szatą odświętną, którą się odrzuca jako niedogodną w dni pracy odpowiedzialnéj. W książce d-ra W. T. Szokalskiego „Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie“ (Warsz., 1885), widzimy właściwie nie monizm, lecz niekrytyczny hylozoizm, albo raczéj zoomorfizm filozofów XVI-go stulecia. Dopiéro p. J. Wł. Dawid w książce swojéj „Szkice psychologiczne“ (Warsz., 1890), gdzie zebrał razem szereg artykułów przez lat kilka po różnych czasopismach zamieszczonych, wystąpił z bardziéj szczegółowém uzasadnieniem monizmu mechanistycznego w szkicu „Psychogeneza.“ Właśnie poglądy w tym szkicu wyrażone zamierzamy tu roztrząsnąć i ocenić, mając na względzie w ogóle monizm współczesny i jego stosunek do nauk specyalnych, a wybór nasz niech się tém usprawiedliwia, że jestto bądźcobądź ziarno na naszym gruncie, że jeżeli nie będziemy własnych myśli ważyć i cenić, jeżeli się pod różnemi pozorami będziemy uchylali od opracowywania chociażby skromnych płodów myśli na

naszym gruncie kiełkujących, to nigdy nie zdobędziemy się na samodzielną naukę.

Psychogenezą nazywa się pospolicie albo dyscyplina psychologiczna, która bada powstanie i rozwój czynności i form psychicznych u osobnika, począwszy od pierwszych dających się stwierdzić objawów życia duchowego u płodu, aż do pełni rozwoju duchowego u dojrzałéj jednostki; tak ją rozumié uczony niemiecki W. Preyer w rozprawie swojéj „*Psychogenesis*“ [1]) i w znanéj książce „*Die Seele des Kindes*“ (3-cie wyd., Lipsk, 1890); albo psychogenezą nazywa się dyscyplina psychologiczna, która bada rozwój typów psychologicznych w postępowym szeregu jestestw żywych, na podstawie materyału psychologiczno-porównawczego; tak ją między innymi rozumié uczony włoski P. Siciliani w pracy swojéj „*Prolégomènes à la psychogénie moderne*“ (Paryż, 1880). W jednym tedy razie mamy ontogenezę psychologiczną, w drugim—filogenezę psychologiczną. Rzecz jasna, iż psychogeneza powinna łączyć w sobie te dwie wzajem wspierające się i uzupełniające się dyscypliny. Nasz autor bez uzasadnień odrzuca tradycyą i w pojmowaniu nazwy utartéj jest oryginalny: psychogeneza oznacza u niego to, co powszechnie jest znane pod mianem zagadnienia o stosunku duszy i ciała, albo ducha i materyi; o właściwéj tedy genezie, czyli rodowodzie pierwiastka duchowego mowy być nie może, skoro się ten za pierwotny, a więc niepochodny uznaje. Tyle o nazwie, teraz o rzeczy.

Nauka współczesna, słusznie powiada p. Dawid, w dążności swojéj do wytworzenia ogólnego poglądu na świat usiłuje syntezować, czyli sprowadzać wszystkie zjawiska i formy bytu do jakiéjś najprostszéj, pierwotnéj postaci. Ale, wszelkie tłómaczenie naukowe, zdaniem tegoż autora, ostatecznie zejść musi do procesu molekularnego, czyli, innemi słowy, cokolwiek nie da się sprowadzić do pewnéj formy ruchu, to niedostępném jest dla wyjaśnienia naukowego. Takim zaś faktem specyficznie różnym i niespółmiernym z ruchem molekularnym jest świadomość, duch. Materya z jéj poruszającemi się atomami jest czémś rozciągłém, duch jest czémś nierozciągłém. Wobec tego dwie rzeczy możnaby przypuścić: albo ruch atomów i świadomość wzajem w siebie przechodzić mogą; albo w chwili powstawania świadomości ruch wcale w nią nie przechodzi, lecz towarzyszy jéj tylko, będąc sam ogniwem w nieprzerwanym łańcuchu ruchów poprzedzających i następujących. W pierwszym jednak razie musielibyśmy przyznać, że rzecz rozciągła przechodzi w nierozciągłą, że pewna ilość ruchu staje się

[1]) W „Naturwissenschaftliche Thatsachen und Probleme,“ Lipsk, 1880.

czémś, co ruchem nie jest, czyli znika, i naodwrót, że pewna ilość ruchu powstawać może z świadomości, która ruchem nie jest, a więc z niczego. W drugim razie, fakt świadomości ze stanowiska prawa zachowania ruchu (toż samo siły albo energii) okazuje się przyczynowo niezrozumiałym, bo różne formy ruchy, przechodzą wzajem w siebie ilościowo równoważnie, tém samém zamykają łańcuch mechaniczny przyczyn i skutków całkowicie i nie mogą przyczynowo objaśnić nam powstawania lub znikania świadomości, która pozostaje po za obrębem tego łańcucha, jako coś naddatkowego, coś co żadną ilością ruchu, co zgoła ruchem nie jest. Wobu więc razach otrzymaliśmy tę niedorzeczność, „że pewna cząstka ruchu materyalnego, a więc rozciągłego, przeszła w zjawisko nierozciągłe czucia (albo naodwrót) czyli, co to samo znaczy, znikła zupełnie“. Tak tedy, pomiędzy świadomością i ruchem nie możemy przyznać stosunku następstwa przyczynowego i zmuszeni jesteśmy przyjąć stosunek współbytności. Ponieważ nadto niepodobna przyjąć, że świadomość powstaje naraz w pewném stadyum rozwoju świata materyalnego, gdyż, nie będąc w stanie wskazać przyczyny tego zjawiska w świecie materyalnym, twierdzilibyśmy tém samém, że ono powstało bez przyczyny, a zatém „współbytność materyi i świadomości, a raczéj ducha, przyjąć musimy jako powszechną i wieczną“. „Tak to logiczna konieczność doprowadza nas do przyjęcia duchowego pierwiastka, jako pierwotnéj cechy materyi“. Osiągamy przez to korzyść wieloraką; prawo zachowania energii pozostaje nietykalném; usuwa się trudność objaśnienia jak ruch może przechodzić w świadomość i odwrotnie, nadto pogląd nasz na świat staje się konsekwentnym i jednolitym monizmem, orzekającym, „że zmiany duchowe towarzyszą biernie materyalnym, które następują po sobie wedle praw koniecznych“, praw mechanicznych. Pozostaje tylko roztrzygnąć: czém jest ów pierwiastek duchowy, będący nieodłączną cechą wszelkiéj materyi? Ani świadomość, ani wola, ani uczucie, nie są stałemi, istotnemi znamionami pierwiastka duchowego. Jedyném istotném znamieniem pierwiastka duchowego, w przeciwstawieniu do rozciągłéj materyi, jest znamię ujemne, znamię n i e r o z c i ą g ł o ś c i. Na téj zasadzie autor pierwiastek duchowy oznacza mianem „pierwiastka nierozciągłości“ i uważa go za cechę nieodłączną pierwiastka rozciągłości, czyli materyi. Po za tę hipotezę p. Dawid nie posuwa się daléj, bo wszelki krok dalszy wymagałby „tłómaczenia transcendentnego“, a jakkolwiek „żaden pogląd, który nie uwzględnia przyczyny transcendentnéj, uważać się nie może za skończony“, to wszakże „przy danym stanie naszego umysłu“ monizm może tylko odesłać do

„transcendentności“, ale sam nie zapuszcza się w wędrówkę do téj krainy.

Pogląd tu streszczony zawiéra w sobie zarazem rysy wspólne wogóle metafizyce i rysy znamienne współczesnéj doktryny monistycznéj, i nadto specyalne pomysły p. Dawida.

Do tych ostatnich, i to wielce niefortunnych, zaliczyć wypada pomysł utożsamiający takie trzy różne rzeczy, jak ruch, siła i energia. Z wywodów filozofa naszego wypada najoczywiściéj, że ruch zachowuje się w niezmiennéj ilości w układzie wszechświata, gdyż ruch powstać może tylko z ilościowo mu równoważnéj ilości ruchu i przejść tylko w ruch może; co byłoby zasadą zachowania ruchu [1]). Obok tego mówi się tu o zasadzie zachowania siły i zasadzie zachowania energii; wszystkie te trzy zasady w jakiś niezrozumiały sposób zlewają się w jedno i mają być podstawą i ostateczną instancyą, objaśniającą mechaniczny na świat pogląd. Ustanie ruchu uważa p. D. za rzecz niemożliwą, bo to według niego znaczyłoby, że ruch staje się niczém, chociaż właściwie mogłoby to znaczyć tylko, że ruch staje się czémś, co ruchem nie jest. Ruch faktycznie w wielu razach ustaje i staje się czémś takiém, co mechanicy nazywają energią napiętą albo potencyalną danego układu, która w odpowiednich warunkach może się objawić, jako równoważna ilość ruchu, ale sama ruchem nie jest. Nakręcona sprężyna stojącego zegara nie jest w ruchu, tylko jak przypuszczamy, układ jéj cząsteczek jest taki, że w odpowiednich warunkach wykonać on może pracę, która się wymierza ilością ruchu równoważną téj, którą zatracono przy nakręcaniu sprężyny. Ciężar zawieszony lub podparty może po dowolnym przeciągu czasu wykonać pracę zużytą na jego dźwignięcie do góry, ale co stało się z ruchem, który przed czterma tysiącami lat zużyto na umieszczenie kamienia na piramidzie, tego nie wiemy; wiemy tylko, że gdy kamień pozbawimy podpory, nieuniknienie

---

[1]) Ten sam pogląd, zupełnie zresztą nieuzasadniony, napotykamy w znacznéj ilości książek starszych i nowszych: Beaunis we wstępie do swojéj pracy, „Eléments de la physiologie humaine“ (2-e wyd. Paryż, 1881) usiłuje uzasadnić twierdzenie: „wszystkie zjawiska dostępne dla umysłu ludzkiego, są tylko zjawiskami ruchu“; A. Herzen w pracy swojéj „Grundlinien einer allgemeinen Psychophysiologie (Lipsk, 1889, szereg szkiców wcześniéj już drukowanych w czasopiśmie „Kosmos“, 1886) także wyraża pogląd, że we wszechświecie tylko ruchy istnieją, i pisze: „działalność psychiczna jest tylko szczególną postacią ruchu cząsteczkowego“. Praca ta, w gruncie rzeczy płytka, z powodu przejrzystości swojego aparatu logicznego, prawdopodobnie stanie się źródłem wielu natchnień popularyzatorskich w duchu materyalizmu i monizmu mechanistycznego. Ilość cytat w tym kierunku dałaby się powiększyć do znacznych rozmiarów, bez zmiany istoty rzeczy.

spadnie, t. j. wykona ruch i pracę. Zróbmy następujące proste doświadczenie: połóżmy kulę ołowianą na kowadle i uderzmy w nią młotem; otrzymamy podniesioną temperaturę kuli, młota i kowadła, wstrząśnienie tych trzech mas, a nadto odkształcenie kuli ołowianéj, czyli jéj spłaszczenie. Możemy sobie utrzymywać, że wszystkie te zjawiska razem wzięte, ilościowo są równoważne téj ilości ruchu mechanicznego mięśni, którąśmy zużyli na uderzenie młota; ciepło możemy zmierzyć, wstrząśnienie także, i nie ma wątpliwości, że pewna część ruchu mięśni wywołała te zmiany, będące także jakąś postacią ruchu bądź cząsteczkowego, bądź masowego; ale co stało się z tą częścią ruchu mięśni, która została zużyta na spłaszczenie kuli? Po ostygnięciu ołowiu widzimy, że temperatura jego jest taka sama jak otoczenia, waga zaś, własności fizyczne i chemiczne ołowiu nie uległy żadnéj zmianie; pozostał tylko i trwa w dalszym ciągu skutek, spłaszczony kształt masy ołowiu. Żadnego tu ruchu nie ma, któryby był w stanie wykonać pracę przekształcającą daną masę ołowiu napowrót w kulę, i dopiéro musielibyśmy nanowo zastosować z pobocznych źródeł pewną ilość pracy, aby przywrócić kształt kuli. Oczywisty fakt, że pewna ilość ruchu zniknęła i powstało natomiast coś, co nie jest ruchem i w ruch napowrót przemienionóm być nie może. Jestto nowy układ, kształt nowy i być może coś więcéj jeszcze.

Nie od rzeczy téż będzie porozumiéć się tu co do niektórych pojęć mechanicznych. Ruchem nazywamy zmianę położenia czegokolwiekbądź w przestrzeni. Ilością ruchu nazywa się iloczyn z masy przez prędkość (mv). Prędkością — droga, po któréj się ruch odbywa, wyrażona w jednostkach i dzielona przez czas trwania ruchu, wyrażony także w jednostkach. Siła, jestto iloczyn z masy przez przyśpieszenie (ma); przyśpieszenie zaś oznacza wielkość zmiany prędkości ruchu w jednostce czasu, czyli $\frac{v_1 - v}{t}$, gdzie v jest prędkością początkową, v_1 — prędkością końcową, t—czasem, wyrażonym w jednostkach. Pracą nazywa się działanie, wywierane przez pewną siłę na dany układ materyalny, w kierunku téj siły, i mierzy się iloczynem z siły działającéj przez przestrzeń, czyli mas, gdzie s oznacza przestrzeń wyrażoną w jednostkach. Wreszcie energią nazywamy możność wykonania pewnéj pracy i mierzymy ją ilością téj możliwéj pracy. Zapomocą tych mniéj lub więcéj powszechnie przyjętych definicyi, możemy się zoryentować w naszém zagadnieniu. Ponieważ ruch rzeczywisty może znikać i na miejsce jego może powstawać coś nam nieznanego, co charakterystycznie nazywamy energią potencyalną, albo możnością wykonania

pewnéj pracy; ponieważ, nadto, jakkolwiek nie wiemy czém jest ta energia, mamy prawo przypuszczać, że ona nie jest niczém; więc dadzą się stąd wysnuć dwa wnioski: ruch, znikając, nie koniecznie staje się niczém, bo może się on stawać energią potencyonalną, która — czém jest — nie wiemy, ale w każdym razie przestaje on być ruchem; żadna zasada zachowania ruchu nie istnieje, bo to oznaczałoby, że suma ilości ruchu rzeczywistego jest w każdym danym momencie dla wszechświata wielkością stałą, co sprzeciwiałoby się i znanym faktom i uprawnionym przypuszczeniom. Daléj, ponieważ można założyć, że ilość masy wszechświata jest wielkością stałą, siła zaś jest iloczynem z masy przez przyśpieszenie, więc zasada zachowania siły zmuszałaby nas do przyjęcia, że przyśpieszenie téj masy w każdéj danéj chwili dla wszechświata jest wielkością stałą, czego żadnym sposobem ani dowieść ani przypuścić nie podobna. Zatém zasada zachowania siły jest urojeniem [1]).

Pozostaje jeszcze zasada zachowania energii i ta w rzeczy saméj jest hypotezą, którą fizyka współczesna uważa za prawdopodobną i sprawdza ją na wszystkich dostępnych dziś badaniu punktach. Zasada ta orzeka, że suma energii położenia, czyli potencyalnéj i energii ruchu, czyli kinetycznéj, razem wziętych, jest wielkością dla wszechświata stałą; innemi słowy, możnaby to tak wyrazić, że suma pracy wykonywanéj przez układy materyalne będące w ruchu i suma pracy, którą mogłyby wykonać układy, nie będące w ruchu, razem wzięte, są wielkością we wszechświecie niezmienną. Zatém p. Dawid, przez utożsamienie trzech różnych pojęć i uznanie ilości ruchu za wielkość stałą, popełnia błąd, wspólny zresztą niektórym popularyzatorom i filozofom, którzy nieoględnie krzewią wśród czytelników fałszywe pojęcia i opierają na tych pojęciach dalsze swoje wnioski spekulacyjne, najniesłuszniéj odwołując się do kredytu i odpowiedzialności mechaniki lub fizyki.

Nie wątpię, że p. Dawidowi wiadomo, iż co się tyczy t. zw. zamienności różnych postaci energii, dotąd zdołano z dostateczném przybliżeniem obrachować tylko mechaniczny równoważnik ciepła; równoważniki zamienności innych postaci energii, jeżeli w rzeczy saméj istnieją, a taką hypotezę wolno nauce obrać za przedmiot sprawdzań, dotychczas są nieznane. Pocóż w takim razie przytaczać ścisłą

---

[1]) Helmholz w pracy swojéj „Ueber die Erhaltung der Kraft“. ogłoszonéj w 1847, dla braku odpowiedniego terminu używa wyrazu *Kraft* na oznaczenie tego, co dziś powszechnie nazywa się energią. Tytuł więc, ale nie treść rozprawy Helmholza może dziś w błąd wprowadzać. Terminy: e n e r g i a k i n e t y c z n a i e n e r g i a p o t e n c y a l n a, wprowadził anglik Rankine.

równoważną zamienność różnych postaci energii, jako fakt, który ma dowodzić niemożliwości przejścia ruchu w coś, co ruchem nie jest? A tak postępuje p. Dawid. Témbardziéj zasługuje to na naganę u filozofa, który już z fachu musi być metodologiem i zatem wiedziéć, że założenie hypotetyczne może być dopuszczone w rozumowaniu, jedynie pod warunkiem, że wynik tego rozumowania po zestawieniu go z rzeczywistością, będzie rozstrzygał, czy hypotezę mamy zatrzymać, czy odrzucić. Niemniéj błędném jest mniemanie jakoby hypoteza ta była bezwarunkowym postulatem wiedzy; ona jest tylko względnym postulatem mechaniki dzisiejszéj, co znaczy, że zasady mechaniki naszéj o tyle tylko mają wartość w zastosowaniu do całego świata zjawisk materyalnych, o ile się okaże, iż zawsze się sprawdzają; ale sprawdzalność ta nie jest postulatem nieuniknionym wiedzy, jakąś koniecznością logiczną, lecz jest przypuszczeniem, oczekiwaniem. Gdyby się bowiem okazało, że równoważna zamienność różnych postaci energii gdziekolwiek nie istnieje, tobyśmy musieli przyznać, że mechanika nasza zastosowania tam miéć nie może, nie zaś, że sam fakt jest absurdem, lub niemożliwością. Mechanika zbudowana została na podstawach doświadczalnych i dalsze jéj losy zależą od doświadczenia. Témbardziéj stosuje się to do rożnych postaci ruchu, że mechanika dzisiejsza wcale nawet nie postuluje, aby ruch koniecznie przechodził w równoważną ilość ruchu, bo jéj wystarcza przypuszczenie, że ruch zawsze staje się czémś, albo powoduje coś, co jest równoważną ilością energii, która w odpowiednich warunkach może wykonać pracę równoważną pracy tamtego ruchu rzeczywistego. Chociaż mechanika nie wié co jest energia, ale nic jéj nie zmusza do przypuszczania, że to jest nic, wskutek czego nie widzi się téż ona zniewoloną do wniosku, jakoby ruch ustający tém samém stawał się niczém.

Należy przytém zauważyć, i to jest bardzo ważne dla dalszych wywodów filozoficznych, że owa domniemana łatwość zrozumienia jak jedna postać ruchu „przechodzi“ albo „przeobraża się“ w inną postać ruchu, jest tylko niczém nieusprawiedliwioném uprzedzeniem. Nawet w najprostszym przypadku, gdy dwie siły działające pod kątem, spowodowują pracę, która się wykonywa w kierunku przekątnéj równoległoboku, zbudowanego na tych siłach, gdy zawieszona na nitce kula, uderzając o drugą, także zawieszoną kulę, sama się zatrzymuje i spowoduje ruch drugiéj kuli, to widzimy tu fakty proste, widzimy, że tak się dzieje, ale nic nie rozumiemy. Gdy chodzi o energią mechaniczną, energią cieplną i ich równoważną zamienność, możnaby dwie rzeczy przypuszczać: albo pewna ilość energii mechanicznéj p r z e c h o d z i, p r z e o b r a ż a s i ę w pewną równoważną ilość energii cieplnéj; albo z p o w o d u pewnéj ilości energii mechanicznéj p o w s t a j e pewna

równoważna ilość energii cieplnéj. Żadnych pozytywnych danych do rozstrzygania pomiędzy temi dwiema możliwościami nie posiadamy. Możnaby zupełnie bezkarnie przyjąć w nauce znikanie pewnych ilości energii jednéj postaci i akty twórcze za każdym razem równoważnéj ilości energii innéj postaci; jeżeli jednak tego nie czynimy, to tylko dla tego, że nie mamy żadnych powodów rugowania mocno wdrożonéj w umyśle naszym intuicyi, zaczerpniętéj z powszedniéj obserwacyi niezniszczalności mas materyalnych i przenoszonéj na przedmiotową hypostazę energii.

Jakoż w rzeczy saméj, jeden z twórców pojęcia mechanicznego równoważnika ciepła, Robert Mayer, wyraźnie protestuje przeciwko przypuszczeniu, jakoby on utrzymywał, że ruch mechaniczny przeobraża się lub przechodzi w ruch cieplny, i przeciwnie twierdzi on, że ruch mechaniczny musi nasamprzód zniknąć, aby powstała równoważna mu ilość cieplika [1]). Ten zresztą pogląd i w najnowszych już czasach znalazł energicznych rzeczników w osobie uczonych, którzy powszechnie są uznawani za pierwszorzędne w kwestyach mechaniki cząsteczkowéj powagi. Prof. Clausius w r. 1884 wygłosił mowę o naturze siły, w któréj stanowczo powstaje przeciwko opinii, jakoby się cieplik mógł przeobrażać w elektryczność i odwrotnie. Przez to twierdzilibyśmy więcéj, niż fakty pozwalają. Jakikolwiek tam jest czynnik, utrzymuje Clausius, skoro tylko on rzeczywiście istnieje, nie może się on przeobrazić w inny rzeczywisty czynnik; dozwoloném jest tylko twierdzić, że ruchy, pod podstacią których objawia się jeden czynnik, dają powód do określonych specyficznych ruchów, jako objawu innego czynnika: elektryczność, objawiająca się pod pod postacią ruchu, może stać się powodem powstania ruchu cieplnego albo odwrotnie, co bynajmniéj nie znaczy, jakoby tu zachodziło przechodzenie lub przeobrażenie się jednéj postaci ruchu w drugą. Jeszcze bardziéj stanowczym w tym względzie jest uczony fizyk i myśliciel oryginalny Hirn, którego nekrologi czytaliśmy niedawno. W memoryale swoim, odczytanym w d. 11 października 1884 r. w belgijskiéj akademii umiejętności, a także w rozprawie, zamieszczonéj w *Revue scientifique* z 1 września 1885 r. o pojęciu siły [2]), odrzuca on tezę: „Ruch materyi może tylko zachodzić

---

[1]) Myśl ta, wyrażona już w słynnéj pracy jego „Bemerkungen über die Kräfte der unbelebten Natur“ (w „Annalen der Chemie und Pharmacie“. 1842), z naciskiem powtarza się w r. 1851, w pracy „Bemerkungen über das mechanische Aequivalent der Wärme (w zbiorowem wydaniu rozpraw Mayera p. t. „Die Mechanik der Wärme“, Sttugart, 1867, str. 279).

[2]) Rozprawę tę pełną oryginalnych pomysłów i uwag krytycznych polecamy filozofom naszym, których ten przedmiot obchodzi. Treści jéj wyczerpywać tu nie możemy.

wskutek poprzedzającego ruchu innéj części materyi“ a natomiast broni przeciwnéj tezy: „Ruch materyi nigdy nie zachodzi wprost i przez bezpośrednie zetknięcie się. Ruch zawsze powstaje wskutek działania czynnika specyficznego, odrębnego od poruszającéj się materyi“. Ustawicznie widzimy, wywodzi on, znikanie jednych ruchów i powstawanie innych, ale o istocie pośrednika pomiędzy ruchami nic nie wiemy; możemy tylko pośrednio wymierzać wielkość jego rozmiarami jego objawów, o ile te istnieją. „Ruch powstaje wciąż albo znika w warunkach, gdzie nie ma wcale innego widocznego ruchu, któryby tamte objaśniał. W żadnym przypadku nie widzimy tego przedmiotu, którego ruch byłby w stanie objaśnić nam ruch, lub ustanie ruchu rozważanego ciała“. I daléj: „Wbrew temu wszystkiemu, co się twierdzi w naszych czasach, zmuszony jestem przyjąć, że ruch nigdy nie powstaje wprost z ruchu, oraz, że gdy ruch powstaje lub znika w pewnéj masie, zjawisko to zawsze zależy od siły współistniejącéj z każdym ruchem... Utrwalenie się tezy, że gdy ruch znika, zawsze zostaje on zastąpiony przez coś, co go w całości reprezentuje i co zdolne jest przy odpowiednich warunkach odtworzyć go na nowo, jest olbrzymiém zwycięstwem nauki spółczesnéj i obala doktrynę przenoszenia się ruchu“ i t. d.

Z wywodów powyższych dla filozofii wynika doniosła nauka, która się da tak streścić: ruch nie koniecznie powstaje z ruchu i niekoniecznie w ruch się przeobraża; łańcuch ruchów bywa przerywany ogniwami, które ruchem nie są i które nazywamy energią potencyalną. Czém ona jest nie wiemy, ale możemy przypuszczać, że ona jest czémś, skąd twierdzenie, że ruch rzeczywisty ustający, o ileby nie przeszedł w równoważny ruch innéj postaci, stawałby się niczém, jest nieuzasadnione. Możemy iść daléj.

Monizm współczesny, jakeśmy już widzieli, jest wznowioną próbą rozwiązania staréj zagadki o stosunku duszy i ciała, albo ogólniéj — ducha i materyi. Usiłuje on, opiérając się na niezawsze ścisłéj, ale zawsze zbyt daleko idącéj interpretacyi wywodów i hypotez nauki współczesnéj, stopić te dwie kategorye faktów w jedynéj substancyi. Osiąga zaś to w drodze rozumowań, w których widzę powtórzenie wszystkich błędów metafizycznych starego monizmu, z jedyną odmianą, która polega na stanowczém przechyleniu się w stronę mechanizmu materyalistycznego.

Zacznijmy od ustalenia cech faktów, które objaśniać mamy i zapytajmy siebie na czém polega istota materyi i ducha, jako faktów danych.

Istota materyi polega na tém, twierdzą moniści, że jest ona roz-

ciągłością. Tym sposobem odrazu przerzucamy się, aż do Descartesa, na którego poglądach Spinoza ugruntował swój monizm, ale za to tém bardziéj oddalamy się od dzisiejszéj naukowéj teoryi materyi. Tam jednak spekulowano tylko, my badać musimy. Według metod metafizyki ontologicznéj, która o rzeczywistości rozstrzygała na zasadzie pojęć obecnych w umyśle, ale nieznanego pochodzenia, tak się wyprowadzała istota materyi: wszystko to, co się daje rugować w myśli, o czém myśléć możemy jako o nieistniejącém, wszystko to jest pozorem, zjawiskiem, przypadłością (*accidens*), i jako niestałe, pojawiające się i znikające, nie jest bytem rzeczywistym, który żadnym przypadłościom zjawiskowym nie podlega, bo znikanie zostaje w sprzeczności z naszém pojęciem bytu. Wszystko to, co się w myśli rugować nie da, o czém nie możemy żadnym sposobem pomyśléć, jako o nieistniejącém, jest bytem rzeczywistym, podścieliskiem zjawisk (*substantia*). Zastanawiając się teraz nad światem zjawisk materyalnych, przekonywamy się, że wszystkie jego cechy, i barwy, i opór, i masy, i ruchy, dadzą się bardzo łatwo rugować w myśli, czyli pomyśléć jako nieistniejące, tylko rozciągłość pozostaje niewruszona; niepodobna wyobrazić sobie jasno nieistnienia rozciągłości, ani nawet wyobrazić sobie barwy, oporu, masy, ruchu, jako nierozciągłych. A więc: rozciągłość jest bytem rzeczywistym, jest istotą świata materyalnego, wszystko zaś reszta jéj odmianą przypadkową, zjawiskiem. Descartes i Spinoza wprost utożsamiali materyą z rozciągłością. Ilekroć wypada filozofowi francuskiemu objaśniać zjawiska świata materyalnego, zawsze rozważa on materyą jako ogół cząsteczek, czyli drobnych ciał, których wymyślił kilka kategoryi, i których własności fizyczne stawia w zależności od ich wymiarów i kształtów, od położeń, od ruchów [1]). Ilekroć jednak przechodzi do spekulacyi metafizycznych, wnet znikają tamte *effets particuliers* i pozostaje *la première cause de la nature* — czysta rozciągłość. Należałoby oczekiwać, że przynajmniéj postara się on objaśnić, jakim sposobem z czystego pojęcia rozciągłości, i nic nie dodając, można wyprowadzić pojęcie oporu, masy, ruchu. Otóż tego nigdzie nie uczynił, ani on, ani nikt po nim. A jednak ontologiczny ten pogląd na istotę materyi przetrwał aż do naszych czasów i dziś nie przez samych tylko monistów jest adoptowany. Nie wchodząc w niemożliwe

[1]) Descartes wogóle był o wiele lepszym fizykiem, niż mechanikiem, zwłaszcza skoro się zważy, że mógł był znać genialne prace Galileusza nad dynamiką, a pomimo tego pojęcia stworzone przez Galileusza dla niego nie istnieją i nawet chlubi się tém w liście do Mersenne'a (Descartes, Lettres, t. II. Paryż, 1659, str. 391, 394 i 395).

dla nas pytanie czém jest rozciągłość sama w sobie, można przyjąć, że zarówno nasza intuicya, jak i pojęcie rozciągłości, są wynikiem przerobionych przez umysł nasz doświadczeń i odpowiadają jakiejś własnosności otaczającego nas świata. Własność ta umysłowi naszemu przedstawia się jako symbol podmiotowy, odznaczający wszystkie współbytności rzeczywiste i możliwe; wyobrażać sobie jakiekolwiek współbytujące rzeczy, chociażby tylko punkty, możemy jedynie w formie stosunku przestrzeniowego. Że jednak materyą wyobrażamy sobie jako współbytność pewnych cech rzeczywistą, nie zaś możliwą, więc wyraźnie pojęcie rozciągłości pod względem zakresu jest bardziéj obszerne, niż pojęcie materyi, ale za to pod względem treści uboższe: od żadnej z cech, których współbytność nazywamy materyą, rozciągłościowe własności odłączyć się nie dają; ani oporu, ani ruchu, ani układu materyalnego niepodobna wyobrazić sobie jako nierozciągłych lub niezachodzących w przestrzeni; natomiast samą rozciągłość łatwo sobie wyobrazić bez wszelkich cech materyalnych. Stąd wypada koniecznie, że dwóch tych pojęć, materyi i rozciągłości, utożsamiać niewolno. Skoro się zeszło przez eliminacyą, lub negowanie, do saméj rozciągłości, znikła materya, o którą chodzi. Dla tego to moniści, którzy, po utożsamieniu materyi z rozciągłością, prawią nam potém o ruchu, jako istocie wszystkich zjawisk materyalnych, wpadają w sprzeczność sami z sobą, gdyż nie może być mowy o ruchu, o ile się nie przypuści istnienia czegoś, co się porusza, czegoś, co jest przyczyną powstawania, ustawania i zmiany ruchów, oraz czegoś, w czém się ruch odbywa. Jeżeli to co się poruszać może, nazwiemy atomem materyalnym, pojmując go jako współbytność takich cech, jak opór, kształt, bezwładność; następnie to, co spowodowuje zmiany ruchów, nazwiemy siłą lub energią, wreszcie to, w czém ruch i, dodajmy, układy atomów zachodzić mogą, nazwiemy rozciągłością, natenczas otrzymamy szereg faktów pierwotnych, nierozkładalnych i wzajem do siebie sprowadzić się nie dających, bez których niepodobna objaśniać sobie zjawisk świata pozapodmiotowego, bez których też nauka w objaśnieniach swoich nie obywa się na żadnym kroku.

Od świata przedmiotowego przechodzimy z kolei do świata podmiotowego, do ducha. I tu zastosowano tę samą metodę rugowania. Wszystkie formy zjawiskowe, pod któremi przedstawia się nam duchowość, dadzą się pomyśléć jako nieistniejące, dadzą się rugować w myśli, z wyjątkiem jednéj — myśli saméj. Duch można sobie wyobrazić jako nie poruszany w danéj chwili przez żadne pożądanie, uczucie, czucie, wyobrażenie, ale niepodobna wyobrazić go sobie jako niemyślący, jako według współczesnéj terminologii nieświadomy; bo

wtedy sama duchowość, podmiot znika. Na téj zasadzie Descartes za istotę wszystkich zjawisk duchowych uważa myśl (samowiedzę) i, wierny swoim poglądom ontologicznym, wnet przechodzi od niemożności rugowania w myśli do bytu w słynném orzeczeniu: myślę więc bytuję.

I tym razem metafizycy monistycznego kierunku poszliby za Descartesem, gdyby nie stanęła na drodze psychofizyologia nowoczesna, która wytworzyła pojęcie t. zw. nieświadomych stanów i procesów duchowych. Rzecz prosta, iż psychofizyologowie, o ile pozostają na gruncie tego, co się udowodnić i sprawdzić daje, przez ten nietrafnie i nieoględnie obrany termin oznaczają to nieznane coś, będące „pod poziomem świadomości“, które jednak w takim zostaje stosunku do rzeczywistych zjawisk duchowych, że te ostatnie mogą znikać pod ten poziom, trwać tam w jakimś stanie, który nazwijmy możliwością pracy duchowéj, albo energią potencyalną ducha, i następnie znów się z tamtąd wynurzać, realizować w rzeczywistości. Słowem, jestto pojęcie zupełnie analogiczne do energii potencyalnéj w świecie zjawisk mechanicznych i tak samo, jak tam łańcuch ruchów przerywany bywa ogniwami nieznanéj natury, które się nazywają energią potencyalną i wymierzają ilością możliwéj pracy mechanicznéj, tak tu łańcuch zjawisk duchowych przerywają ogniwa stanów i procesów nieświadomych, które się wymierzają ilością możliwéj pracy duchowéj; jak tam nie mamy prawa twierdzić, że stan energii potencyalnéj jest ruchem, tak tu niepodobna twierdzić, że stan lub proces nieświadomy jest duchem.

Monizm jednak współczesny dopuszcza się obu tych nieprawości. Stanąwszy raz na tym gruncie, zwalnia on sam siebie od obowiązku wykazywania za każdym razem, że cechy ducha rzeczywiście istnieją w tych stanach, które są tylko możliwościami, nieznanemi warunkami zjawisk duchowych, i stąd jednym wielkim, ale łatwym, skokiem przerzuca się aż do cząsteczek i atomów materyalnych. Obdarzywszy atomy duchem nieświadomym, monizm podaje dłoń mechanice, i jak Dante u progu nieba, powiada do Beatrice swojéj: prowadź mię daléj. Z rozciągłości niepodobna wyprowadzić, jako faktów pochodnych, ani ruchu, ani tego, co się porusza. Z nieświadomości témbardziéj niepodobna wyprowadzić ani świadomości, ani form jéj: czucia, pożądania, wyobrażenia. Jakoż nie uczynili tego ani moniści sami, ani nikt za nich. Skoro tylko którykolwiek z monistów, w poczuciu konieczności wylegitymowania metafizyki swojéj przez to, że ona coś objaśnia, brał się do objaśnienia faktów rzeczywistych, wnet okazywało się to samo, co się wyżéj twierdziło względem świata zjawisk materyalnych: tam rozciągłość sama nie wystarczała i trzeba się było uciekać do atomów

i ruchów; tu nieświadomość sama nie wystarcza i trzeba się uciekać do uczuć, wyobrażeń, woli. Stąd powstają pojęcia „woli nieświadoméj“ u jednych, „uczucia nieświadomego“ u innych, „myśli nieświadoméj“, „fantazyi nieświadoméj“ jeszcze u innych. Niektórzy oględniejsi, jak np. od czasu do czasu Noiré, posługują się wyrazem „podmiotowość“, chociaż oczywiście termin ten albo oznacza stosunek świadomości do nieświadomości i tém samem przypuszcza koniecznie świadomość, albo nic nie oznacza. Wszystko to mają być nazwy nieświadomego pierwiastka duchowego, który nieodłączny jest od materyi i tkwi w najdrobniejszych jéj elementach, zwanych atomami. Tak więc, odczyściwszy ducha za pomocą metody rugowania, aż do nieświadomości, zmuszeni są moniści potém napowrót przyjmować i świadomość i pożądanie i czucie i wzruszenie, bo są to fakty pierwotne wobec wiedzy naszéj, dane, które się z niczego, a témbardziéj z nieświadomości wyprowadzić nie dają. Przenosi się zatém w ten sposób ducha ze wszystkiemi jego znamionami istotnemi na atomy materyalne, pod mianem nieświadomości, przenosi się fakt z jego rzeczywistych, dających się sprawdzić uwarunkowań na pierwiastki urojone, gdzie uwarunkowań tych sprawdzić niepodobna, i mniema się, że przez to coś objaśnioném zostało. Bynajmniéj. Zagadnienie pozostaje zagadnieniem, a co gorsza, świadomość, duch, o które chodzi, przestają być świadomością, duchem.

Echo tego pierwiastka nieświadomego, z którego się ma świadomość wywodzić, i u nas jest dość popularne, dzięki popularyzacyom z zakresu psychofizyologii i sprawozdaniom z dzieła metafizycznego Hartmanna „Filozofia zasady nieświadoméj“, ale tym razem przybrało ono postać całkiem oryginalną: u p. Dawida stało się ono „pierwiastkiem nierozciągłości“. Rozbiór tego pomysłu może być pouczający. I nasz autor, jak wiemy, przenosi ducha z ośrodków mózgowych do atomów i musi ponieść całą odpowiedzialność tego kroku, ale czyni on jeszcze więcéj, co stopę téj odpowiedzialności potęguje do rozmiarów, przekraczających, jak nam się zdaje, granicę sił ludzkich. Pierwiastek duchowy, tkwiący w atomach materyalnych, nie jest dlań ani myślą, ani pożądaniem, ani czuciem, ani wogóle świadomością. Dla umysłu pospolitego znaczy to już, że nie jest on duchem, gdyż duchowości nie możemy sobie wyobrazić inaczéj, jak pod wymienionemi cechami, zaprzeczenie wszystkich cech pewnéj rzeczy równa się zaprzeczeniu rzeczy saméj. Ale nie, powiadają nam, jedyną istotną i stałą cechą ducha jest cecha ujemna: nierozciągłość. Dziwny to bądźcobądź przedmiot o jedynéj cesze, która jest negatywną t. j. zaprzeczeniem istnienia rozciągłości. Być może jednak nierozciągłość tu coś innego, nie samo tylko zaprzeczenie rozciągłości oznacza? W istocie, nasam-

przód posiadamy koncepcyą nierozciągłości, nazwaną punktem geometrycznym. Koncepcyi téj umysł mój nie przypisuje bytu przedmiotowego, realnego, lecz rozważa ją jako granicę idealną, w ściśle matematyczném tego słowa znaczeniu, do któréj nieskończenie zbliżać się można przez ujmowanie trzech znanych mi wymiarów rozciągłości; jestto rozciągłość mniejsza od każdéj dowolnéj skończonéj wielkości rozciągłéj, dającéj się stwierdzić w doświadczeniu. Innemi słowy, w myśli ruguję sobie wszelkie wymiary, ale bynajmniéj nie wyobrażam sobie, abym przez to samo rugował je i ze świata przedmiotowego. Nadto, umysł mój posiada wyobrażenia o moich własnych stanach psychicznych, których nie rzutuje na zewnątrz podmiotu. Nie znaczy to jednak, że stany te nie mają żadnych wymiarów, lecz znaczy tylko, że nie widzę żadnego sensu i podstaw do rozważania ich, jako mających lub nie mających wymiarów, że nie mogę rozważać ich pod kategoryą rozciągłości. Biorąc rzecz logicznie, formalnie, można przypuszczać dwie tylko wzajemnie wykluczające się alternatywy: stany duchowe są rozciągłe albo nierozciągłe; ale faktycznie nie posiadam żadnych danych do przechylenia się na stronę któréjkolwiek alternatywy, bo wprost nie mogę rozważać stanów duchowych pod kategoryą rozciągłości. Jedno tedy z dwojga: albo przez nierozciągły pierwiastek duchowy mamy rozumiéć punkt geometryczny, co byłoby niedorzeczne bo punkt jest koncepcyą, któréj nieodpowiada żaden byt realny; albo musimy przezeń rozumiéć coś, co się nie da pomyśléć, a témbardziéj poznać pod kategoryą rozciągłości. W tym atoli ostatnim razie właściwości nierozciągłego pierwiastka duchowego dadzą się tak wyrazić: nie jest on ani myślą, ani uczuciem, ani wolą, ani świadomością i nie da się pomyśléć, a więc i poznać, pod kategoryą rozciągłości. Znaczy to, że mamy tu do czynienia poprostu z wyrazem, któremu żadna realna treść nie odpowiada, wszystkie bowiem cechy, któreby wobec umysłu naszego treść tę stanowić mogły, zostały zaprzeczone. Jestto prawdziwe niemieckie *Nichts*, które ma być źródłem całego rzeczywistego życia duchowego.

O tym duchowym pierwiastku nierozciągłości powiada nasz autor, że jest on „cechą wszystkiéj materyi", czyli to samo, co moniści wogóle twierdzą o swoim nieświadomym pierwiastku duchowym. Cóż to znaczy być cechą czegoś? Znaczy to być częścią pewnéj stałéj grupy rzeczy współbytujących, znaczy objawiać się w pewnéj stałéj od czegoś zależności. Cechą każdego ciała jest ciężkość — znaczy to, że ilekroć ciało jakiekolwiek, czyli grupa własności współbytujących, znajdzie się w obecności innego jakiegoś ciała, tylekroć będzie ciążyć ku niemu według znanego prawa; cechą atomu węgla jest czterowar-

tościowość — znaczy to, że atom węgla chemicznie nasyca się czterma atomami wodoru, przyjętemi za jednostkę, lub czémś innném, co posiada wartość chemiczną równoważną czterem atomom wodoru; rozum nie jest cechą drzewa — znaczy, że rozumu nie możemy pomyśléć sobie, a témbardziéj spostrzegać w jakiejkolwiek zależności od drzewa. Tym sposobem zdanie: pierwiastek nierozciągłości jest cechą materyi, może tylko znaczyć tyle, że pierwiastek nierozciągłości jest częścią grupy własności zwanéj materyą, jest w pewnéj stałéj zależności od materyi. Że jednak materya według założenia jest pierwiastkiem rozciągłości, więc nieunikniony stąd wniosek, że cechą pierwiastku rozciągłości jest pierwiastek nierozciągłości. Skoro jednak termin rozciągłość to samo orzeka, co termin nierozciągłość przeczy, to czy nie wstąpiliśmy już na sam szczyt absurdu? Tak mnie się zdaje i sądzę, że czytelnik podziela to zdanie.

Z roztrząsań powyższych osiągamy następujące wnioski ogólne: monizm, przystępując do syntezy materyi i ducha, wytwarza sobie niezgodne z wynikami nauk specyalnych i fałszywe pojęcia o istocie materyi i ducha, gdyż nie zważając, iż każdy z tych terminów oznacza szereg faktów, dotąd dla wiedzy naszéj pierwotnych i nierozkładalnych, a w pewnych do siebie stosunkach zostających, zupełnie dowolnie istotę pierwiastka materyalnego redukuje do rozciągłości, istotę zaś pierwiastka duchowego do nieświadomości (a względnie nierozciągłości). Wskutek tego z rozciągłości nie może następnie wyprowadzić materyi z jéj własnościami zasadniczemi, jako faktów pochodnych; z nieświadomości nie może wyprowadzić świadomości i jéj form zasadniczych, jako także faktów pochodnych.

Przechodząc od materyi i ducha, rozważonych z sobna, do ich stosunku, przekonamy się, że i tu monizm twierdzi o wiele więcéj, niż się da sprawdzić lub przypuścić z uzasadnieniem należytém. Zakłada on sobie, jako fakt, tęzę stałéj równoległości albo współbytności zjawisk duchowych z materyalnemi w określonych warunkach organizacyi jestestw żywych i stąd, że z pojęcia materyi uorganizowanéj nie możemy wyprowadzić pojęcia ducha, że stanów cielesnych nie możemy przyczynowo powiązać ze stanami duchowemi, wysnuwa wniosek, że pierwiastek duchowy jest faktem pierwotnym i w tym charakterze musi być uznany za współbytujący wogóle z materyą, aż do najdrobniejszych jéj elementów, atomów. Bez zaprzeczenia, z obserwacyi osobistéj, z obserwacyi innych osób i świata zwierzęcego, interpretowanéj za pomocą mniéj lub więcéj ścisłych analogii, a także z rozważania ogółu faktów psychofizyologicznych, utwierdzamy się w przekonaniu, że pewnym stanom duchowym stale towarzyszą pewne stany cielesne,

chociaż, odwrotnie rzecz biorąc, stosunek ten współbytowania pewnych zjawisk duchowych z cielesnemi, wiele już traci ze swojéj stanowczości. Częstokroć widzimy, że warunki cielesne są przynajmniéj o tyle dane, że nawet wykonywa się czynność nader skomplikowana, która w innych przypadkach stale wiąże się ze świadomością i zostaje pod jéj kontrolą, a jednak świadomości stwierdzić faktycznie niepodobna. Na tym właśnie gruncie u psychologów francuskich i angielskich zrodziła się doktryna świadomości, jako „faktu dodatkowego“, i na tym samym téż gruncie oparła się niemiecka „*Psychologie ohne Seele*“. My w danym razie zaczerpniemy stąd jedną tylko uwagę dla pamięci, że nawet taki mechanizm, jak ustrój zwierzęcy, ten specyalny warsztat zjawisk duchowych, faktycznie stwierdzić się dających, może niekiedy wykonywać czynności, które w innych warunkach zwykliśmy stale wiązać ze świadomością. Że jednak o stanach duchowych dla nas obiektywnych, t. j. zachodzących u innych jestestw, możemy wnioskować jedynie na podstawie zachowania się tych jestestw, czyli czynności zewnętrznych, więc widoczna stąd, jak należy być oględnym w analogiach nawet co do jestestw uorganizowanych, by nie przypisać obecności ducha tego, co sam mechanizm wykonać może. Tém bardziéj oględność ta jest do polecenia, gdy chodzi o materyą nieuorganizowaną, w któréj nigdy zjawiska duchowe faktycznie stwierdzić się nie dają.

Paralelizm zjawisk cielesnych i duchowych może być dwojako rozumiany. Raz tak, że każdemu naszemu wyobrażeniu albo czuciu, jako faktom podmiotowym, odpowiada jakiś rzeczywisty przedmiot albo stosunek, jako fakt przedmiotowy, że innemi słowy nasze wyobrażenia są symbolami podmiotowemi rzeczy i stosunków faktycznie pozapodmiotowo istniejących. Jestto mianowicie ten paralelizm, który w istocie rzeczy mieli na względzie Descartes i Spinoza i który wskutek swojéj metody ontologicznéj błędnie powikłali z kwestyą stosunku ducha do materyi. Dziś paralelizm ten stanowi istotny przedmiot badań teoryi poznania a wcale nie dotyczy zagadnienia, które nas w danéj chwili obchodzi. Ten sam paralelizm ma na myśli Taine, gdy mówi o podwójném obliczu bytu. Z innéj strony, przez paralelizm zjawisk duchowych i materyalnych można rozumiéć paralelizm psychofizyologiczny, to jest współbytność stałą pewnych zjawisk cielesnych i duchowych i o to téż chodzi monizmowi współczesnemu.

Kwestyą możliwéj zależności przyczynowéj pomiędzy zjawiskami cielesnemi i duchowemi rozważę w dalszym ciągu, gdzie to będzie bardziéj na swojém miejscu; tu można ją pominąć, bo moniści téj zależności przyczynowéj nie uznają i mówią tylko o współbytności tych dwu

różnych kategoryi zjawisk, jako objawów jedynéj substancyi. Natomiast bezwarunkowo należy zaznaczyć okoliczność, że monizm osiąga swoją tezę, w myśl któréj pierwiastek duchowy ma być cechą nieodłączną wszystkiéj materyi, za pomocą dwóch następujących zwrotów: nasamprzód pierwiastek duchowy, który faktycznie poznaje we właściwych objawach tylko wśród uwarunkowań organicznych, jedynie we współbytności z pewną grupą cech, którą nazywamy ustrojem żywym, przenosi on w sferę zupełnie innych uwarunkowań nieorganicznych i wiąże go stosunkiem współbytności z taką grupą cech, jak np. atom, chociaż ani jednego faktu na poparcie tego postępowania przytoczyć nie potrafi. W ten sposób, ze stosunku niestałéj, ale faktycznéj, współbytności stanów cielesnych i duchowych, otrzymuje się urojony stosunek współbytności materyi i ducha, a w końcu ten urojony stosunek przetwarza się w fakt istotny, który fakt rzeczywistego stosunku zjawisk duchowych i cielesnych upodrzędnia sobie jako pozór zjawiskowy; gdyż ostatecznie okazuje się, że nie mózg tak a tak uorganizowany jest konieczną współbytnością pierwiastka duchowego, lecz każdy z atomów tego mózgu i zgoła atom każdy. Dajmy na to, że pomiędzy zjawiskami ducha i ciała zachodzi tylko stosunek współbytności, ale stąd nie wypada, aby współbytności niestałe dozwoloném było bez uzasadnień dostatecznych przemieniać w stałe i, mając daną współbytność ducha i organizacyi, przemieniać ją we współbytność ducha i materyi wogóle. Moniści powołują się na niemożność przyczynowego objaśnienia zjawisk duchowych w organizmach wobec zasady zachowania energii. Nam się zdaje, że niemożliwém to jest tylko wobec zasady zachowania ruchu czy siły, pojmowanéj jako ruch; ale szczęściem zasada taka nie istnieje, chociaż moniści często się do niéj uciekają. Z energią zaś, skoro nie wiemy czém ona jest, sprawa całkiem inna i, jeżeli ona, nie będąc ruchem, może być ogniwem pośredniczącém pomiędzy ruchami, to, co najmniéj, zgodzić się wypada, że i pomiędzy ogniwami duchowemi mogłyby się znaleść jakieś ogniwa, które duchem nie są.

Drugim kamieniem obrazy w przenoszeniu ducha ze współbytności warunków organicznych do współbytności warunków wogóle materyalnych jest to, że duch ten, który poznajemy w rzeczywistości faktycznéj, jako świadomy, czujący, wyobrażający i pożądający, przy przeniesieniu na materyą staje się czémś zupełnie ogołoconém z tych cech, pod któremi jedynie ducha sobie wyobrażać możemy, a więc duchem być przestaje. Wiem, że w obronie poglądu swego moniści zwykli wskazywać okoliczność, że pierwiastek duchowy, właściwy każdéj materyi, jest hypotetyczny, tak samo, jak pierwiastek materyalny —

atom, że pierwiastek duchowy tak samo może być niepodobny do ducha faktycznego, jak atom fizyków do rzeczywistych mas materyalnych, albo ciał, które jedynie poznajemy faktycznie. Zdaje mi się jednak, że argument ten stanowczo zwraca się właśnie przeciwko doktrynie monistycznéj: historya fizyki i mechaniki uczą, że naukowe pojęcie atomu materyalnego powstawało nie w drodze odejmowania cech zasadniczych, pod któremi poznajemy masy dostrzegalne, lecz w drodze ilościowéj podzielności tych cech; na atomy fizyka przeniosła wszystkie zasadnicze własności mechaniczne mas, na układy atomów wszystkie zasadnicze własności układów mas i na ruchy atomów wszystkie zasadnicze własności ruchów mas. Atom w fizyce jestto granica ilościowéj podzielności wszystkich zasadniczych własności materyi, jestto najmniejsza współbytność cech zasadniczych każdéj materyi, tak do siebie ustosunkowanych, jak one stosunkują się do siebie w ciałach widomych. Atom jest najmniejszém ciałem, jak ze względu na ogół zjawisk fizycznych da się przypuścić, ale jest ciałem, materyą o wszystkich jéj zasadniczych własnościach. Przeciwnie rzecz ma się z pierwiastkiem duchowym w doktrynie monistycznéj: pojęcie to powstało przez odejmowanie wszystkich cech zasadniczych, pod któremi jedynie ducha poznajemy i wyobrażać sobie możemy, wskutek czego pierwiastek duchowy przestał być duchem i stał się wyrazem przeczącym albo świadomość, albo rozciągłość, wyrazem próżnym treści.

Zatém, jak poprzednio przekonaliśmy się, że monizm fałszywie pojął istotę materyi i ducha, tak samo tu przekonywamy się, że on fałszywie pojął ich wzajemny do siebie stosunek.

Wyniki badań poprzednich są już w zupełności wystarczające, by dać uzasadnioną odpowiedź na pytanie: czém jest w istocie swojéj doktryna współczesnego monizmu mechanistycznego? Monizm mechanistyczny jest przez wyrazy zamaskowanym i niekonsekwentnym materyalizmem. Musimy dowieść tego.

Hypotezy tworzą się po to, aby zadawalniająco objaśniać pewne kategorye faktów znanych i tych, które poznane zostaną, a które właśnie stanowią kamień probierczy wartości hypotez. Do czegóż została powołana hypoteza nieświadomego i nierozciągłego pierwiastka duchowego? Aby objaśnić przyczynowo powstanie wszystkich faktycznie znanych zjawisk duchowych, wszystkie fazy i formy rozwoju duchowego, niezależnie od mechanizmu materyalnego, chociaż w stałéj z nim współbytności. Zamknijmy chwilowo oczy na znaną już nam wartość téj hypoteży i jéj logicznie i faktycznie nieprawowite podstawy, natomiast zaś rozważmy: czém jest ta hypoteza w robocie, jak ona pełni zadanie, do którego powołana została, jak objaśnia to, co pod

grozą wyroku niezdatności objaśniać powinna? Atomy materyalne, według mechanicznych praw układów, będących w równowadze i będących w nierównowadze, zbiérają się w pewne skupienia i rozpraszają się, by się w nowe skupienia zbiérać, kombinują się w najrozmaitszy sposób i, poruszając się, zmieniają względne do siebie położenia. Stąd powstają, jako wypadkowe, mniéj lub więcéj trwałe układy, które znamy pod mianem ciał martwych i żywych, aż do człowieka włącznie. Twierdzenie to stanowczo zawiera już w sobie dowolność, polegającą na założeniu, jakoby wszystkie fakty dla wiedzy naszéj w jéj obecnym stanie nierozkładalne, pierwotne, i objęte wspólném mianem „życie“— dawały się zrozumiéć jako wypadkowe mechanizmu atomowego; jestto łatwe, ale niegodne umysłów gruntownych dogmatyzowanie przeczuć wieszczych, łowienie ryb przed niewodem. Robimy jednak to okolicznościowe ustępstwo doktrynie ze względu na to, że chodzi jéj o coś innego, do czego zmierza ona, tratując po drodze fakty i wyrazem przebijając granitowe przeszkody.

A cóż się dzieje jednocześnie z owemi nieświadomemi i nierozciągłemi pierwiastkami duchowemi, które monizm zaklął w atomach? Czy i one kombinują się pomiędzy sobą z okazyi tych wieców atomowych? Moniści nie wahają się odpowiadać na to twierdząco. Pierwiastki duchowe biernie dzielą losy wszystkich przygód mechanicznych atomów; ale, nadto, zbiegłszy się wraz z atomami w pewne skupienia czyli układy, wytwarzają cuda kooperacyi duchowéj, któréj wykwitem jest świadomość i całe bogactwo życia duchowego człowieka. Zaczynając od cząsteczek chemicznie złożonych, gdzie, jak np. w cząsteczce wody (dwa atomy wodoru i jeden tlenu, z których każdy przyniósł swój pierwiastek duchowy), powstaje coś w rodzaju ducha molekularnego, można w dalszym ciągu mówić o duchu kryształu, komórki, rośliny, zwierzęcia, człowieka. Wszędzie specyalne skupienie atomów staje się powodem specyalnego ustosunkowania się do siebie duchowych pierwiastków tych atomów i ich kooperacyi, która wytwarza szereg nieskończony specyalnych objawów ducha, całą skalę rozwojową ducha, równoległą do skali rozwojowéj skupień materyalnych, od najprostszych aż do najzawilszych.

Zawiera się tu cały szereg niemożliwości ze stanowiska saméj doktryny monistycznéj. Pierwiastek duchowy jest nierozciągły i zawarty w atomie. Same pierwiastki duchowe nigdy nie mogłyby się zbiedz dla wytworzenia jakiéjś wypadkowéj kooperacyjnéj, gdyby nie przyczyny mechaniczne i materyalne, które je sprowadzają ze sobą; ale w takim razie musimy przyznać, że jedyną przyczyną kombinowania się nierozciągłych pierwiastków duchowych w takie lub inne koo-

peracye są rozciągłe ruchy i rozciągłe układy atomów; pierwiastki nierozciągłe muszą przebiegać przestrzenie i układać się względem siebie w przestrzeni tak, jak na to pozwalają atomy, w których są zawarte. W założeniu jednak doktryna monistyczna przyjmuje, że ruch albo układ materyalny i rozciągły w żadnym razie nie może przyczynowo uwarunkować zjawiska duchowego i nierozciągłego. Tak więc założenie zostaje w oczywistéj sprzeczności z tym obrazem rozwoju ducha, który nam sami moniści szkicują, bo, jak się okazuje, kooperacya nierozciągłych pierwiastków duchowych, odpowiadająca typowi np. duszy człowieka, nie przyszłaby zgoła do skutku, gdyby pierwiastki duchowe wraz z atomami swojemi nie odbyły tych wszystkich dróg, które przebiedz należało, aby utworzyć skupienie takie, jakiém jest ciało człowieka; i nie mogłaby trwać, gdyby nie trwał rozciągły układ atomów, temuż ciału odpowiadający. Ponieważ zaś rozciągłe ruchy i układ są koniecznemi warunkami, bez których zjawisko duchowe nie mogłoby powstać i trwać, więc téż warunki muszą być uznane, co najmniéj, za część przyczyny nierozciągłego zjawiska duchowego. Skoro zaś te same warunki mechaniczne zostały uznane za warunkujące zjawiska materyalne, więc duch podlega tym samym prawom przyczynowym, co i materya.

Jestto nieunikniony wniosek z monizmu mechanistycznego i trudno pojąć po co monizm tak się mozoli nad wyzwoleniem ducha z pod wszelkich praw rozciągłości, skoro potém w najgrubszy sposób poddaje go tymże prawom. My tam nie będziemy kruszyli kopii o nierozciągłość zjawisk duchowych, bo zjawiska te co najmniéj zawsze umiejscowiamy w określonych miejscach przestrzeni i w określonych przestrzennych stosunkach do siebie; tak iż nigdy nie wyobrażamy sobie, aby radość albo ból naszego przyjaciela mogły być tam, gdzie naszego, przyjaciela nie ma, nigdy nie przypuszczamy, aby myśli Pawła i Gawła, znajdujących się od siebie na odległości mili, zostawały w innym przestrzennym do siebie stosunku, jak myślący Paweł i Gaweł [1]). Jak wyobrażamy sobie atomy w określonych miejscach, względnych położeniach i ruchach, tak samo i dusze. Ale moniści powinniby unikać tego, jeżeli chcą być w zgodzie z samymi z sobą.

I daléj, że atomy rozważane ze stanowiska rozciągłości mogą działać na takież atomy przez przestrzeń i wchodzić jedne z drugiemi w kooperacye mechaniczne, to moniści przyznają. Ale jak ma działać

---

[1]) Osoby, wierzące w działanie myśli z odległości, tém samém dowodzą, że zjawiska duchowe wyobrażają sobie w pewnych określonych stosunkach przestrzennych.

jeden pierwiastek duchowy w kooperacyi z drugim, skoro oba są położone w różnych miejscach, zamknięte w atomach wzajemnie nieprzenikliwych? Mogłoby się to dziać tylko w jeden z dwu sposobów: albo pierwiastek duchowy ze swojego atomu, z którym jest nierozłącznie związany, sięga przez przestrzeń międzyatomową do drugiego takiegoż pierwiastka w innym atomie i wywołuje w nim zmianę, ale to równałoby się twierdzeniu, że pierwiastek duchowy jest rozciągły i sprzeciwiałoby się założeniu; albo atom oddziaływa przez przestrzeń międzyatomową na inny atom, ten zaś z kolei na zawarty w nim pierwiastek duchowy i tak samo odwrotnie; ale w takim razie należałoby przyjąć, że atom rozciągły może przyczynowo warunkować zmiany w pierwiastku nierozciągłym, co także sprzeciwiałoby się założeniu, z którego monizm wychodzi. Możnaby jeszcze twierdzić, że pierwiastek duchowy, pozostając w swoim atomie, wywołuje zmianę w innym pierwiastku duchowym, pozostającym w swoim atomie, ale to znaczyłoby, że on działa tam, gdzie go nie ma, że innemi słowy każdy pierwiastek duchowy samorzutnie, bez żadnych przyczyn, może się zmieniać, co już bezwarunkowo byłoby niemożliwe ani ze stanowiska monizmu, ani żadnéj innéj doktryny. Coś podobnego widzimy w monadach Leibniza, gdzie na głucho od wpływów świata otaczającego zostały zamknięte percypujące pierwiastki duchowe, tak iż żadnym sposobem niepodobna było objaśnić, wskutek czego mianowicie mają zachodzić zmiany stanów monady, skoro nic tych zmian nie mogło wywołać z zewnątrz, sama zaś monada była bezwzględnie prostą. Leibniz uciekł się po ratunek do słynnéj „zgodności przedustawnéj,“ ale monizm współczesny nie wstąpił jeszcze na tę drogę. Tymczasem moniści prawią tylko o oddziaływaniu na siebie atomów i stąd wywodzą zmiany w pierwiastkach duchowych, czyli i tu stoją na gruncie mechanizmu materyalistycznego.

Widzieliśmy, że punktem wyjścia monizmu była uznana przezeń niemożność przypuszczenia, aby jakiekolwiek zjawiska duchowe mogły przyczynowo zależéć od ruchów atomów materyalnych, albo, co toż samo, mogły powstać z niczego. Trzeba więc było dla zjawisk duchowych odnaleść jakieś precedensa przyczynowe natury duchowéj tak samo, jak dla zjawisk materyalnych takie precedensa przyczynowe odnaleziono w ruchach; słowem, trzeba było zamknąć w sobie łańcuch zjawisk duchowych tak samo, jak zamknięty jest, według monistów, mechaniczny łańcuch ruchów. Wreszcie trzeba było objaśnić, jakim sposobem każdemu ogniwu jednego łańcucha stale odpowiada jakieś właściwe ogniwo drugiego łańcucha, chociaż zależności przyczynowéj przypuszczać niepodobna. Dla zaradzenia tym potrzebom, ale wbrew

faktom i logice, ukuto hypotezę nieświadomego i nierozciągłego pierwiastka duchowego, który rozdrobiono na dawki atomowe i zamknięto w atomach wszechmateryi. I oto, okazało się, że skoro zaczęto stosować hypotezę tę według jéj przeznaczenia do objaśnienia zjawisk, musiano kooperacye pierwiastków duchowych objaśniać za pomocą ruchów i układów atomów materyalnych, musiano uciec się do takich niezbędnych warunków, jak ruch i układ, których od rozciągłości oddzielić niepodobna; w końcu musiano przyjąć działanie pierwiastków duchowych wzajem na siebie przez przestrzenie międzyatomowe i bodaj za pośrednictwem atomów. Uznano wprost, że gdyby nie te konieczne warunki, które przyczynowo objaśniają zjawiska materyalne, toby zjawiska duchowe pozostały także bez objaśnienia przyczynowego. Słowem, hypoteza, która miała „wyrównać pewne sprzeczności i ułatwić objaśnienie," nietylko nic nie wyrównywa i nie objaśnia, lecz przeciwnie, będąc sama niezrozumiałą, w zastosowaniu prowadzi do przyczynowego uzależnienia zjawisk duchowych od zjawisk mechanicznych, a więc do tego, co sam monizm za niemożliwe uznał.

W wywodach powyższych podniesione zostały tylko główne, zasadnicze szkopuły doktryny monistycznéj, łatwo się jednak domyśléć, że wszelkie usiłowanie przeprowadzenia w duchu téj doktryny całkowitéj syntezy wszystkich faktów mechanicznych, biologicznych i psychologicznych dotąd poznanych, napotyka tych szkopułów znacznie więcéj. Ogrom materyału naukowego, na którym doktryna ta musiałaby być przepróbowana, zadanie to czyni wielce niewdzięczném i ze względu na niechybne wyniki zgoła bezowocném. Jeden przykład wystarczy. Zgodnie z twierdzeniami doktryny mózg ludzki jest układem atomów, z których każdy zawiera w sobie znany już pierwiastek duchowy; w danéj chwili w polu świadomości mojéj jest jeden akt duchowy: wyobrażenie cnoty. W jakim stosunku akt ten zostaje do do atomowych pierwiastków duchowych mojego mózgu? Oczywiście, musi być wypadkową ich działań, wynikiem ich kooperacyi. Wypadkowa ta jednak musi być zogniskowana w jakimś punkcie idealnym, w którym przecinają się kierunki działań wszystkich pierwiastków duchowych, biorących udział w danéj kooperacyi, jak mechanika ogniskuje w jednym punkcie idealnym wypadkową sił danego układu materyalnego. W takim jednak razie wypadkowa ta, będąca w danym razie wyobrażeniem cnoty, musi być umiejscowioną albo w jakimś punkcie, gdzie atomu żadnego nie ma, co równałoby się twierdzeniu, że realny stan duchowy może istniéć bez odpowiedniego podkładu materyalnego; albo realna ta wypadkowa, rzeczywiste wyobrażenie, musi się ogniskować w jakimś atomie, co równałoby się twierdzeniu, że je-

den atom, zawierający w sobie nieświadomy i nierozciągły pierwiastek duchowy, może być siedliskiem świadomego wyobrażenia. Oba przypuszczenia ze stanowiska doktryny niemożliwe. Pozostaje tedy przypuścić, że wyobrażenie moje rozłożone jest w całéj grupie kooperujących pierwiastków duchowych, że zaś te stanowią układ zupełnie taki sam, jak układ atomów, w których są zawarte, czyli układ rozciągły, więc otrzymalibyśmy, że stan duchowy, dane wyobrażenie, jest rozciągłe, co także sprzeciwia się doktrynie. Zatém w duchu doktryny niepodobna objaśnić najpospolitszego zjawiska psychicznego.

Żaden téż z monistów nie kusi się o te objaśnienia. Poprzestają oni na niesprawdzalnych twierdzeniach ogólnikowych, gdy zaś chodzi o poszczególne zjawiska, mówią o ich współbytnościach i następstwach, poznawanych empirycznie, tak samo jak to czynią psychofizyologowie, klasyfikujący fakty i uogólniający stałe tych faktów stosunki. Przechodząc na nasz grunt, wypada stwierdzić, że to samo czyni i p. Dawid, gdy w dalszych szkicach swoich przedstawia nam stosunek zjawisk psychicznych i cielesnych, uciekając się przytém do kilku dowolnych twierdzeń psychofizyologicznych, jak np. teza przenoszenia się energii nerwowéj do jednéj części układu nerwowego, kosztem innych części tegoż układu. Zresztą, te wędrówki energii, orzekające tylko w bardziéj mglistéj formie dobrze znany fakt cząstkowéj działalności różnych okolic układu nerwowego, wobec braku działalności innych, cieszą się szczególném uznaniem nieopatrznych popularyzatorów. Zresztą, p. Dawid nie zadawalnia się odkryciem jednego duchowego pierwiastka nierozciągłości, którego wartość już znamy: wynalazł on i drugi taki pierwiastek, także prosty i nierozkładalny, a jest nim... Dla ścisłości wolę, aby w tak subtelnych kwestyach zabierał głos sam autor: „Stan religijny — czytamy w szkicu „Uzdrowieni przez wyobraźnią“ (str. 41)—jestto specyficzny stan psychofizyczny... Jest on prostym, nie da się sprowadzić do innych, ani wytworzyć przez ich kombinacyę: jest, albo go nie ma. D o c h o d z i o n d o b y t u w pewnéj fazie rozwoju zwierzęcego, zapewne na stopniu człowieka... Gdy stan ten wystąpi aktualnie, to przedewszystkiém uświadamia się jako uczucie potrzeby pewnych rzeczy idealnych.“ Gdyby autor twierdził, że „stanu religijnego“ nie umié lub nie chce sprowadzać do stanów pierwotnych, tobyśmy zrozumieli; ale nie, wyraźnie twierdzi, że jest on prosty i nierozkładalny, że zaczyna bytować na pewnym szczeblu rozwojn zwierzęcego, że jest albo go nie ma. Ponieważ jednak stan religijny jest stanem duchowym i żaden szczebel rozwoju zwierzęcego, na którym się on pojawia, nie może być uważany, jako układ materyalny, za jego przyczynę; ponieważ, nadto stan reli-

gijny nie da się sprowadzić do innych bardziéj pierwotnych stanów duchowych, ani wytworzyć przez ich kombinacyą, więc oczywiście przychodzi on do bytu naraz, bez przyczyny, t. j. niezależnie od świata materyalnego i poprzednio przyjętych najprostszych duchowych „pierwiastków nierozciągłości.“ Jest on tedy, jak mówi poeta: „przywian zdaleka.“ Nie będziemy wchodzili w dalszy rozbiór tego cudu, lecz niech wolno będzie zaznaczyć, że skoro się przypuszcza, iż jakiś stan duchowy może powstać ni stąd, ni zowąd, na jakimś szczeblu rozwoju form materyalnych, to czemużby nie przyjąć, że tak samo powstawać mogą inne nierozkładalne stany duchowe, jak świadomość, czucie, wzruszenie, pożądanie, i w ten sposób uniknąć szukania ich poprzedników przyczynowych w kombinowaniu się i kooperacyi urojonych nierozciągłych pierwiastków ducha, będących cechą rozciągłych atomów?

(*D. n.*) *Adam Mahrburg.*





NOWE PROJEKTY UZBROJEŃ.

Austro-węgierski minister wojny, generał baron von Bauer, na posiedniu komisyi budżetowéj delegacyi wspólnych w d. 13 czerwca, objaśniając żądane powiększenia wydatków na armię w r. 1891, oświadczył, z niezwykłą u ministrów w podobnym razie szczerością, że o oszczędnościach nie może być mowy, że przyszły budżet będzie tak samo powiększony, że dodatki dziś żądane są drobiazgiem, że Austrya musi powiąkszyć stopę pokojową swéj armii, która jest za mała. Gdy zaś ministra zapytano, ile wynosić będzie suma na ten cel potrzebna, odpowiedział, że na początek potrzeba będzie tak koło ośmdziesiąt do stu milionów guldenów. Słysząc to komisarze parlamentu osłupieli, co widząc baron Bauer dodał: że dzisiejszy stan rzeczy, wywołujący przesadzanie się mocarstw w powiększaniu swych sił zbrojnych jest stanem bardzo niezdrowym, ale żadna zmiana materyalna nastąpić nie może, dopóki to się nie skończy albo katastrofą, albo wyzdrowieniem przez ogólną zgodę.

Przez ogólną zgodę? Co do tego punktu, przytoczymy następny fakt historyczny, mało znany. Pierwszy projekt powszechnego rozbrojenia wyszedł na początku bieżącego stulecia, bo w zimie 1800 na 1801 od generała Bonapartego, wówczas już wszechwładnego pierwszego konsula rzeczypospolitéj francuskiéj, który z projektem tym zwrócił się do Austryi i Prus. Odpowiedź Austryi tak streszcza von der Goltz w swéj cennéj pracy wojskowéj *Das Volk in Waffen:* „Gabinet austryacki bardzo mądrze odpowiedział, że niczego gorącéj nie pragnie jak rozbrojenia; trudność jednak nieprzezwyciężona leży w skłonieniu do tego Prus“. „Na tém stanowisku — dodaje uczony pułkownik wielkiego sztabu niemieckiego—rzeczy pozostaną wiecznie. Każde mocarstwo będzie od drugich żądać pierwszego kroku, a z obawy

przed drugiemi żadne nie będzie chciało tego pierwszego kroku zrobić, owszem, każde będzie staranniéj ostrzyło broń". Bo podobne propozycye powszechnego rozbrojenia zwykle są bardzo podejrzane. Główném zadaniem, czy zagadką w dzisiejszym rozwoju jest takie splecenie życia wojskowego z życiem ludowém, by pierwsze jak najmniéj zawadzało drugiemu, by jednak wszystkie zasoby drugiego w pierwszém zużytkowane zostały. Wygląda to trochę na kwadraturę koła, nie mniéj przeto teraźniejsze wszechstronne wysilenia zmierzają widocznie do rozwiązania téj zagadki, która prawdopodobnie nigdy rozwiązana nie będzie, przynajmniéj nie będzie rozwiązana tak jak się nawet najzdolniejszym i najgłębiéj myślącym generałom zdaje. Dzisiejsze położenie, jak się dobrze i szczerze wyraził austro-węgierski minister wojny, jest chorobą, wywołaną przez wiele rozmaitych starych i świeżych przyczyn, i tak na nie patrzéć należy. Tylko usunięcie przyczyn mogłoby chorobie koniec położyć. Ministrowie zaś z swéj natury bardzo muszą być ostrożnemi w stawianiu dyagnozy podobnéj, najważniejsze więc najistotniejsze przyczyny zwykle dla wielu względów pomijają. Choroba jednak coraz bardziéj się wzmaga, a owe, do ostatnich granic doprowadzone lub zamierzone, chociażby nawet na dziesiątek lat rozłożone uzbrojenia są jéj najdobitniejszym a bardzo ludzkość nękającym symptomem.

Nic więc dziwnego, że nigdy jeszcze opinia Europy tak się nie zajmowała wojskowemi sprawami, jak się zajmuje, i to nietylko opinia klas ukształconych, ale nawet na niższym znajdujących się stopniu oświaty. Na tych zresztą niższych a najliczniejszych warstwach ludności ów stan rzeczy najbardziéj ciąży, one to bowiem największą ilość i to najbiedniejszego dostawiają rekruta. Widoczne to szczególniéj w Niemczech, gdzie książkowa i broszurowa popularna literatura wojenna w ostatnich latach piętnastu niezmiernie wzrosła. Niemcy są narodem, w którym umiejętność czytania jest najbardziéj upowszechniona, a przytém na nich zwłaszcza to rozpanoszenie się militaryzmu najbardziéj ciąży. Nietylko zaś nic nie wróży zmniejszenia się tego ucisku, ale owszem bardzo wyraźne niedawno oświadczenie ministra niemieckiego zapowiadają w niedalekim czasie bardzo znaczne powiększenie uzbrojeń. Napróżno wojskowi pisarze niemieccy narodowi swemu dowodzą, że wojny są przeznaczeniem rodu ludzkiego, że są nieuniknioną dolą ludów, że wieczny pokój nigdy na téj ziemi nie będzie udziałem śmiertelnych. Napróżno v. der Goltz woła do swego narodu:

„My Niemcy jesteśmy w położeniu szczęśliwém. Gwiazda młodego cesarstwa dopiéro co weszła na horyzont; ma jeszcze całą drogę

swego dziejowego przebiegu przed sobą. Bieg ku zenitowi jest radośniejszy aniżeli schodzenie na dół. Jeżeli kiedykolwiek jakie powstające państwo mogło być pewne długiéj trwałości, to są niém bezwątpienia zjednoczone i wojennie silne Niemcy pomiędzy państwami Europy. Słusznie położenie podobne nazywają niebezpieczném. Ale właśnie poczucie tego niebezpieczeństwa podtrzymuje w dzielności siłę czynu. Gdyby ojczyzna nasza, spoczywając na zdobytych wawrzynach, poddała się przyjemnemu marzeniu, że jéj istnienie, znaczenie, bezpieczeństwo raz na zawsze jest poręczoném, że sąsiedzi nie mają tak złych zamiarów, to musiałaby wkrótce zostać tych sąsiadów łupem. Serca Europy musi bronić silne ramie i miecz ostry. Musimy ciągle pamiętać o tém, że mamy jeszcze wielką drogę do przebieżenia, by dojść do szczytu. W górę! w górę! to nasze hasło. Na długie lata jeszcze najwyższą dla nas mądrością państwową będzie nieustanna praca nad wydoskonaleniem naszéj wojskowości. Z tém ręka w rękę iść musi podniesienie sił moralnych, które w wojnie wszystko rozstrzygają. Podniesienie, nie zaś tylko utrzymanie. Bo siły moralne nigdy nie znajdują się w stanie zastoju; upadają, jak tylko nad podniesieniem się nie pracują. Przedewszystkiém koniecznėm jest byśmy sami i przyszłe pokolenia, które wychowywać mamy, nabrali przekonania, że czas spoczynku jeszcze nie nadszedł, że przepowiednia ostatecznéj walki o istnienie i wielkość Niemiec, nie jest przestrachem puszczanym przez ambitnych głupców, że walka ta prędzéj lub późniéj przyjdzie, że jest nieunikniona, że wystąpi z całą potęgą, z całą grozą, jaka tkwi zawsze w walce stanowczéj pomiędzy ludami przed ostateczném i bezwarunkowém uznaniem jakiegoś nowego międzypaństowego stosunku“...

Tak już przed laty sześciu do swego narodu przemawiał pisarz, który jest nietylko bardzo zdolnym oficerem, ale człowiekiem wszechstronnie ukształconym i głębiéj myślącym. Słowa te, wielce patryotyczne, z pewnością odbiły się w sercu i głowach trzydziestu tysięcy oficerów pruskich; prawdopodobnie zrozumianemi były i dobrze przyjętemi przez całą młodzież niemiecką; nie odpychała ich téż ani potępiała klasa wykształcona narodu, chociaż może smutnie kiwała głowami, przy wyznaniu, że „położenie jest niebezpieczne“. Ale czy je zrozumiał chłop pomorski, poznański lub nawet nadreński, który albo sam musi iść do wojska, albo któremu syna zabrano, a któremu autor powiada, że to tylko środek ostrożności, zapowiadając, że będzie jeszcze gorzéj. Co powiada ten dziesiątek milionów robotników, których właśnie także 13 czerwca p. Liebknecht tak nauczał, opowiadając im na wielkiém zebraniu swych wyborców berlińskich o kongresie robotni-

tniczym odbytym w Paryżu w roku zeszłym. „Był to widok, jakiego świat jeszcze do téj pory nigdy nie widział ów parlament robotników. Kiedy rozmaite państwa i narody wojny między sobą prowadzą, robotnicy całego świata zbierają się, by utworzyć powszechną federacyą pokoju, któréj pierwszy objaw widzieliśmy niedawno“. P. Liebknecht pomimo wielkich zdolności i wiedzy jest jeszcze w tym punkcie marzycielem, a p. Goltz może być bliższy prawdy, niemniéj przeto owe miliony robotnicze prędzéj uwierzą socyalistowskiemu marzycielowi, aniżeli najzdolniejszemu pułkownikowi sztabu generalnego. Ten kosmopolityzm robotniczy, który nawet w Niemczech woła, iż należy zwrócić Alzacyę Francyi i żadnéj racyi stanu nie uznaje, jest wrogiem militaryzmu i, wobec jego przewagi, może z czasem nieposlednie stanowić niebezpieczeństwo. Nie wątpimy, że w wojnie odpornéj p. Liebknecht i jego wierni, broniąc najechanego ich własnego kraju, bo Alzacyi za swój kraj nie uznają, byliby doskonałemi żołnierzami i obowiązek swój spełniliby sumiennie, nawet z poświęceniem; ale wszelka wojna zaczepna jest dla nich wstrętna i za świętokradztwo uchodzi. W tych najniższych i najliczniejszych klasach narodu, wyrabia się całkiem innego rodzaju patryotyzm, który z marzeniem o braterstwie ludów wiele ma wspólnego. Czémże bowiem innném jest owa „powszechna pokojowa federacya“, o któréj mówi Liebknecht. Dziś jeszcze to słowo mało znaczy, ale za jakie lat dziesięć może znaczyć bardzo dużo. Przypomnijmy niezmierny wzrost socyalizmu w Niemczech przez ostatnie lat dwadzieścia.

Zdaje się, że w tym roku w najwyższych sferach rządowych Berlina zaczęto baczniejszą zwracać uwagę na to usposobienie warstw ludowych, którego wyrazem jest Liebnecht i miliony wiernych jemu wyborców. W jednéj bowiem z broszur wojskowych, wydanych w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, przemawiającéj za wielkiém powiększeniem armii, pokładającéj niezmierne nadzieje w dzisiejszym młodym cesarzu, którego duchowe przymioty niezmiernie wynosi, czytamy:

„Któż nie podziwia idealnych dążeń naszego cesarza? Któż nie przyznaje słuszności tych dążeń, oraz ich wewnętrznéj konieczności? Już sama odwaga, jaką posiadać trzeba, by podnieść kwestyę robotniczą w sposób, jaki była podniesiona, bez względu na niepewność powodzenia, jest zaiste godną króla Prus. Kamień, który raz staczać się zaczyna, nie może być w biegu wstrzymany. Zadanie społeczne, zadanie socyalne, raz z dziedziny teoryi przeciągnięte do polityki praktycznéj i międzynarodowéj, już nigdy z niéj nie zniknie. Wszystkie państwa, tak lub owak, muszą dojść z nią raz do ładu. Wszelkie zaś niepowodzenie spadnie na tych, z których winy nastąpi.

Wystąpienie więc naszego cesarskiego Pana uważaném być musi jako czyn dziejowy pierwszorzędnego znaczenia. Jeżeli zaś ostateczne rozwiązanie stawionego zadania ma być niewątpliwém, może ono nastąpić tylko na gruncie międzynarodowym. Któż zaś naprawdę uwierzy, że państwa europejskie, będące dziś w części naszemi nieprzyjaciołmi, w części naszemi współzawodnikami, liczące częścią na zwiększenie się naszych wewnętrznych rozterek, częścią na obniżenie potęgi naszego handlu i przemysłu, nie będą całą siłą pracować nad osiągnięciem swoich egoistycznych celów, że dobrowolnie przyłożą rękę do umocnienia naszego wewnętrznego pokoju, że uwzględnią w kwestyi robotniczéj położenie Niemiec uboższych, a na wszechświatowym targu z wielu stron krzywdzonych. Całkiem co innego nastąpi, pomimo wszystkich pięknych słów i kongresów, a, jak się zdaje, cesarz Wilhelm śmiało spojrzał w oczy podobnemu położeniu i ma je ostro na oku. Kto mu opór stawi, tego zdruzgocze ostrzem swego hartownego miecza.

„Jeżeli więc dlaczegokolwiek potrzebne jest oparcie Niemiec na bezpiecznéj podstawie politycznéj, to przedewszystkiém dla rozwiązania kwestyi socyalnéj. Dziś zaś istnienie nasze jest każdéj chwili jak najsrożéj zagrożone. Stoimy jakby na minie prochowéj, widząc jak lont do niéj przyczepiony powoli się wypala. Nie zdobyliśmy jeszcze naszego geograficznego i rzeczowo nam potrzebnego obszaru; nie wytworzyliśmy jeszcze, wyszedłszy w państwowéj tymczasowości, ostatecznéj, bo z naturą zgodnéj, podstawy do dalszego rozwoju Europy. Dopóki jednak te wstępne warunki (wojskowe) nie są spełnione, dopóty możemy tylko poruszać największe pono dla naszéj epoki i dla naszego ludu zadanie (socyalizm), jako daleki owoc zwycięstwa, jako latarnię morską, równie potrzebną sternikom teraźniejszości jak przyszłości. Będziemy mogli we własnym kraju kłaść podwaliny wielkiego gmachu, ale nie będziemy w stanie zbudować go. Bo zagranica będzie nieprzyjaźnie przeciw nam na każdym kroku występować; a wszelka wewnętrzna trudność, spotkana na stroméj ścieżce ku szczytowi prowadzącéj, ściągnie natychmiast na kark nasz potęgę zagranicznych wrogów. Do rozwiązania podobnéj kwestyi potrzeba nietylko moralnéj hegemonii, ale i faktycznéj wyższości siły, która, w razie potrzeby zmuszać może do tego, czego na drodze pokoju nie osiąga. Fryderyk W. powiedział: „Układy bez oręża, to jak nuty bez instrumentu.“ Nigdy rozumniejszego słowa nie wyrzeczono. Tylko ten, co się boi ostrza miecza naszego, ulegnie i zadośćuczyni naszym wymaganiom socyalnym...“

Broszura, z któréj bierzemy tę cytatę, zrobiła wielkie wrażenie nietylko w Niemczech, ale i daleko zagranicą. Przypisywano

jéj nawet jeżeli nie półurzędowe, to natchnione z góry pochodzenie. Wrażenie to wywołane może było głównie innemi ustępami, nie zaś powyżéj przez nas cytowanym, który jednak nie jest wcale najmniéj znaczącym. Wczytując się w niego, widzimy najprzód odwołanie się do socyalistów, by na każdym kroku, zwłaszcza w sprawach wojskowych, popierali rząd cesarski, by wierzyli ślepo cesarzowi, bo ten tylko chce szczerze kwestyę socyalną załatwić. By zaś ją załatwić mógł, potrzebuje być militarnie silnym, ażeby oporną zagranicę zmusić do zgody na sposoby, jakie on zaprojektować zechce. Niemcy już dziś mają hegemonię moralną, to jest przodownictwo moralne w Europie; ale muszą zawładnąć rzeczywistą hegemonią siły materyalnéj. W dzisiejszém położeniu rzeczy i stosunków międzynarodowych są to marzenia, do urzeczywistnienia niepodobne, chociażby je nawet sam Wilhelm II-gi podzielał, co przy bujnéj fantazyi i wyniosłém pojęciu tego młodego monarchy o swéj władzy, potędze, a wreszcie posłannictwie, zdaje się możebném. Chociażby wszakże cesarz ten w celach swoich był skromniejszy, podobne programy, zestawione z niektóremi faktami, nie mogą się przyczyniać do uspokojenia sąsiadów.

Faktami, jakie mamy na myśli, są nie tyle jeszcze przedstawione już sejmowi rzeszy projekty powiększenia armii stałéj o 18,500 ludzi, co na stopie wojennéj równa się powiększeniu o jakie 40,000, ile komentarze dodane w komisyi parlamentu do tych projektów przez ministra wojny i rozmaitych komisarzy rządowych. Komentarze te dawały do zrozumienia, że bieżący ten projekt jest dopiéro początkiem różnych, daleko daléj sięgających, uciążliwszych dla ludności i kosztowniejszych zamiarów rządu, któremi sejm rzeszy może jeszcze w tym roku w jesiennéj sesyi zajmować się będzie. Jak daleko zachodzą te zamiary w szczegółach, nie wiadomo; sądząc jednak z pogłosek i przypuszczeń, powtarzanych przez dzienniki, odpowiadają one zupełnie żądaniom, stawianym co do wojskowości w cytowanéj wyżéj przez nas broszurze. W cyfry szczegółowe owych pogłosek bawić się tu nie możemy. Zaznaczymy tylko, iż jedna z gazet berlińskich, prawda że wolnomyślna i opozycyjna, oblicza, że gdyby się sprawdziły zapowiedzi ministra w komisyi o zamiarze przeprowadzenia najściśléj rzeczywistéj służby wojskowéj powszechnéj, jak żądał Scharnhorst, twórca dzisiejszego systemu wojskowego pruskiego, to liczba rekrutów, corocznie na lat trzy branych, musiałaby się podwoić, siła liczebna armii stałéj wzrosłaby z dzisiejszych 468,000 do 936,000 ludzi, w roku zaś 1900, z powodu wzrostu ludności, do 1,032,000. Wówczas armia na stopie wojennéj zabierałaby 72 procent całéj ludności męskiéj, od 17 do 45 lat wieku liczącéj, z pozostałych zaś 28 procentów jeszcze

część mogłaby być do służby powołaną. W odpowiednim stosunku wzrosłyby także stałe coroczne wydatki na armię, które za lat dziesięć, to jest w 1900 r. doszłyby do 970 milionów marek (dziś wynoszą 442 miliony), dodając zaś do téj sumy procenty od jednorazowych wydatków dosięgałyby 1050 milionów m. rocznie. Dla pokrycia tego zwiększenia wydatków, wynoszącego 608 milionów marek, potrzebaby więcéj aniżeli podwoić wszystkie pośrednie dochody cesarstwa (dziś wynoszące 567 milionów z ceł, cukru, soli, gorzałki, i t. d.), albo stałe we wszystkich państwach rzeszy więcéj niż potroić, bo podnieść w stosunku 350 do 100. Obliczenia te mogą być przesadzone, pochodząc z opozycyi, niemniéj jednak zbliżają się one do prawdy więcéj, aniżeli chcą przyznać obrońcy rządu. Wprawdzie minister wojny oświadczył, że całkowite zastosowanie idei Scharnhorsta, to jest przeprowadzanie wszystkich ludzi zdolnych do noszenia broni przez zupełną szkołę żołnierską, wiele czasu potrzebuje i ledwie w ciągu jednego pokolenia dokonane być może, ale tém wcale strwożonych posłów nie pocieszył. Może dla tego, że mu nie wierzono, znając energię, a właściwie rączość i pośpieszność dzisiejszego cesarza.

Za powód tych uzbrojeń, tak już w projekcie prawa przedstawionych jak owych większych dopiero zamierzonych, o których wspomniał minister, rząd podawał nieustanne, a coraz usilniejsze uzbrojenia Rosyi i Francyi. Szczególniéj Francya, tak komisarzom rządowym jak popierającym rząd broszurzystom wojskowym, nastręczała najwięcéj argumentów. Całemi szeregami cyfr i szczegółowych obliczeń dowodzili oni, że Francya już dziś przegoniła Niemcy, że zwłaszcza w artyleryi ma nad niemi niezmierną przewagę, bo na stopie pokoju posiada 850 a na stopie wojny 696 dział polowych więcéj aniżeli ich posiadają Niemcy, które dziś wystawić mogą tylko 2184 dział. Wykazują oni, że w téj chwili Francya jest daleko lepiéj przygotowana do wojny, aniżeli Niemcy.

„Jedna z licznych wyższości, jakie nad nami posiadają Francuzi, pisze broszurzysta wojskowy, stanowi przeprowadzone już w zupełności uzbrojenie piechoty znakomitym małokalibrowym karabinem Lebela, nieskończenie wyższym i pod względem celności i pod względem siły pocisku i pod względem lekkości ładunków, która pozwala żołnierzowi mieć ich przy sobie większą ich liczbę, od naszego karabina magazynowego, którym nasza piechota prawie cała dotąd jest uzbrojona i na którym się uczyła, chociażbyśmy używali przy nim prochu bezdymnego. Wprawdzie niekorzyść ta będzie wyrównana, gdy cała armia nasza dostanie nowy karabin, który może być nawet nieco lepszym od francuskiego. Ale do téj pory jeszcze go nie ma. Gdyby to

nawet nastąpiło w ciągu lata b. r., to jeszcze żaden żołnierz nie będzie z nim oswojony i na nim wyuczony. Francuska więc piechota będzie miała jeszcze przez czas jakiś tę wyższość, a przytém już dziś opatrzoną ona jest w bronie specyalne, pociągi i t. p. w daleko wyższym stopniu aniżeli nasza. Budowa téż i uzbrojenie fortec francuskich są doskonałe i budowle wszędzie są w genialny sposób zastosowane do miejscowych stosunków i z największą obfitością tak w zapasy żywności, jak w amunicyę już je opatrzono. Kto zaś zna nasze twierdze pograniczne, a Francuzi i Rosyanie z pewnością znają je dokładnie, to nie będzie bardzo spokojny o następstwa oblężenia niektórych. Zaprawdę trudno dać wiarę, ile w tym względzie popełniono grzechów. Dość jest rzucić okiem na niektóre, nawet ważne, fronty kilku naszych fortec jak np. Kolonia lub Toruń, jak to zrobić może każdy przejeżdżający zagraniczny oficer, by to zdanie za sprawiedliwe uznać...“

Niektórzy zachodzą w swych krytykach tak daleko, iż twierdzą, że korpus oficerów francuskich wyżéj stoi pod niektóremi względami od pruskiego (*Videant Consules*, p. 15), który zanadto spoczął na laurach, rozbałamucił się i zaniedbał.

Tak w tych jak w innych podobnych dowodzeniach np., że Francya w razie wojny zdolna już jest wystawić 3 do 4 milionów zbrojnych, może być także nieco przesady, dla zjednania przez trwogę głosów rządowym projektom, ale niezaprzeczoną prawdą jest, że Francya istotnie stała się wielkiém militarném, doskonale do wojny przygotowaném a nawet groźném państwem. W pierwszéj połowie czerwca, obie izby francuskie przyjęły bez rozpraw prawo uzupełniające ostatecznie organizacyę armii, która przed dziesięciu jeszcze laty była na pół zorganizowaną.

„W téj chwili, pisze *J. d. Debats*, możemy uruchomić natychmiast czterdzieści korpusów armii pierwszéj linii, a oprócz ludzi przeznaczonych na zastępstwo, rozporządzamy jeszcze liczbą zdolnych do boju wyszłych ze służby, wystarczającą do utworzenia drugich czterdziestu korpusów“. Dziennik paryski podaje tę wiadomość skromnie, bez żadnéj fanfaronady, chociaż usprawiedliwia ona dowodzenia alarmistów niemieckich, że Francya już dziś może w różnych formacyach wystawić trzy miliony zbrojnych, z służbą obeznanych, uorganizowanych i w jedności taktyczne ujętych. Czterdzieści bowiem korpusów przedstawia około półtora miliona ludzi. W takim razie armia francuska pierwszéj linii równa się takiejże armii niemieckiéj. Wprawdzie w razie wojny miałaby Francya do roboty z Włochami, ale broszurzyści niemieccy dość lekko tę włoską dywersyę traktują, dowodząc, że Francuzi są na nią dostatecznie przygotowani i jednym lub

dwoma korpusami powstrzymają Włochów. Niemcy zaś będą zmuszeni znaczną część swéj armii zostawić przy wschodniéj granicy.

Z temi sprawami wojskowemi łączą się bardzo sprawy finansowe. Pan Carboni, ekonomista i finansista włoski, w świéżo wydanéj pracy *Etudes sur les budgets*, wykazuje, że w przeciągu lat sześciu (od 1882 do 1888) wydatki na armię wzrosły: we Włoszech o 35,78 procent, w Austryi o 48,82, w Niemczech o 59,09, we Francyi o 3,13 procent. O jakiż jeszcze procent wzrosną te wydatki, gdy się urzeczywistnią rozmaite obietnice czy groźby ministrów wojny w Berlinie i w Wiedniu? Dzienniki obu tych stolic dowodzą, że podobna ochrona pokoju za pomocą nieustannych uzbrojeń i wojennych przygotowań zrujnuje ich kraje, zanim wojna przyjdzie.

Przed dwoma czy trzema laty wyszła w Paryżu gruba broszura p. Fromment oficera francuskiego pod tytułem: „24,000,000 żołnierzy“ przedstawiająca dzisiejszy stan Europy. Do tego ideału dwudziestu czteromilionowego, Europa jeszcze nie doszła, ale stara się do niego jak najbardziéj zbliżyć.

J. Kenig.





Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

IV.

Octave Feuillet: „Honneur d'artiste", i Emile Zola: „La Bête humaine".

Bez najmniejszéj chęci uganiania się za drastycznėm przeciwieństwem i za laurami nie trudnemi do zdobycia w paraleli krytycznéj, postawiliśmy jeden obok drugiego romans ostatni Feuilleta i ostatni romans Zoli. Są one, same przez się i każdy w swoim rodzaju, pierwszorzędnemi utworami powieściowego piśmiennictwa francuskiego i z tego względu zasługują na ocenę. Dwa kierunki literackie, ażeby nie powiedzieć dwie szkoły, wypowiadają się w nich z całą samowiedzą dojrzałych, pewnych swéj etyki i swéj estetyki pisarzy. Przyznając miejsce obudwom, wolno wszelako wyrazić swą sympatyą niejednakową i umotywować jéj przyczyny.

Jeżeli wartość prawdziwa Oktawiusza Feuillet od lat wielu nie ulega wątpliwości, jeżeli otrzymała sankcyą Akademii francuskiéj, wyborowych kół literackich i poważnéj krytyki, to reputacya i popularność jego miały epoki przypływu i odpływu. Uważany zawsze za pisarza eleganckiego, wytwornego, pełnego optymizmu i odtwarzającego *con amore* sferę życiową wyższych warstw towarzyskich, Feuillet bywał sądzony, bądź jako pierwszy z romansopisarzy po napisaniu *Monsieur de Camors*, jako twórca arcydzieła po napisaniu *Julie de Trécoeur*, bądź wyśmiéwany i wyszydzany za swe opinie religijne, gdy ogłosił *Histoire de Sibylle*, znieważany za swe sympatye bonapartystowskie, którym pozostał wierny nawet po zaćmieniu gwiazdy drugiego cesarstwa i traktowany z pogardliwém lekceważeniem w chwilach, gdy naturalizm głosić przychodził nowy zakon. Nasłuchaliśmy się wtedy sądów, które rościły pretensye do nieodwołalności. Do nazwiska Feuil-

leta dodawano jako epitet: Musset rodzin, co miało oznaczać, że poeta namiętności urągającéj się ciasnym formułkom salonowego życia został zastąpiony przez romansopisarza, kornie schylającego przed niemi czoło; w wykwintnéj jego formie, w ścisłém uszanowaniu przyzwoitości widziano brak siły, energii, mazgajowatość uperfumowanéj nicości; wyrzucano mu, że zamiast śmiało zajrzéć prawdzie w oczy i malować ludzi jakimi są, ogranicza się do typów utartych, konwencyonalnych, mdłych i bladych; wyklinano go w imię demokracyi, którą miał pogardzać, w imię wyższych, artystycznych i humanitarnych ideałów, których miał nie uwzględniać.

Nie to dziwić może, że takie banialuki pisano, ale, że byli co w nie wierzyli. Że realizm krańcowy, zaostrzony w formie naturalizmu, walczył o prawo bytu i ciskał gromy na przeciwników, że ich odsądzał od czci i wiary, to wynikało z różnicy szkół, z zapału walki, a obelgi nawet, gdy się brało na uwagę normalną terminologię posługujących się niemi pisarzy, były oznaką gorącego temperamentu i niepowściągliwego języka — niczém więcéj. Przy hałaśliwości napadów a biernėm, wyniosłém w gruncie rzeczy, choć systematycznie milczącém zachowaniu się napastowanego, zdawało się publiczności, iż istotnie zaszło już jedno słońce a wschodzi jutrzenka nowego. Jak dworacy, odwrócili się tyłem do zdetronizowanego. Był w tém nie tylko brak widoczny samodzielności umysłowéj, ale i najwidoczniejsza niewdzięczność. Zachowaj nas Boże od chęci ubliżania, czynienia ujmy literaturze beletrystycznéj, któréj zadanie cywilizacyjne, moralizujące uznajemy w zupełności, ale nie należy spuszczać z uwagi, że piśmiennictwo nadobne, tak samo jak inne manifestacye piękna, ma na celu uprzyjemnić, ubarwić nam życie. Każdy pisarz co przeniósł nas w świat czystszy i lepszy, co nam dał wyższe pojęcia o obowiązkach życia, co pozwolił zapomniéć na chwilę o trosce i trudach powszednich, jest naszym przyjacielem, naszym dobroczyńcą. Nawet gdy Oktawiusz Feuillet opowiada nam taką baśń czarodziejską jak *Roman d'un jeune homme pauvre*, zasługuje na podziękowania, nawet gdyby twórczość jego nie była się wzniosła po nad powiastki, dyalogowane przysłowia, nowelle, komedye salonowe, które pisywał bez szumnobrzmiących programatów, ale za to z nieustannėm staraniem o piękno formy, jeszcze i wtedy nie zasługiwałby na lekceważenie.

A przecież wśród utworów jego są takie, jak wyżéj wzmiankowana powiastka *Julia de Trécoeur* i romans jak *Monsieur de Camors.* Pierwsza, niewielka rozmiarami, mieści w sobie dramat życiowy potężny a studyum psychiczne przedsięwzięte przez autora należy do najgłębszych, najoryginalniejszych jakie kiedykolwiek dokonane zo-

stały. Co się tycze „Pana de Camors“, to zasłużenie stał się powieścią klasyczną. Powiedzieć o niéj można, że jest najnowszą i sprowadzoną do dzisiejszych typów edycyą Don-Juana, któréj przedostatnim wzorem był Henryk de Marsay wielkiego Balzaca. Tragiczna ta historya walki obowiązku z namiętnością obfituje w sceny, w epizody, w postacie, które raz na zawsze weszły do komedyi ludzkiéj. Nie wątpimy, każdy nasycony i przesycony nadzwyczajną obfitością powieści dzisiejszych, z prawdziwie artystyczném zadowoleniem wróci do téj onegdajszéj. Autor co stworzył takie postacie, jak bohatér téj powieści, jak pani de Campvallon, jak pani de Thècle i jéj córka, posiada niezaprzeczoną oryginalność i twórczą siłę; zasługuje, by go policzono między mistrze. Powiemy więcéj nawet. Gdyby zaginęły wszystkie inne dokumenta o trybie życia, o atmosferze towarzyskiéj, o zwyczajach, o zasadach, o moralności francuskiego społeczeństwa za drugiego cesarstwa, a pozostał jedynie „Pan de Camors“, wystarczyłby on jeden do scharakteryzowania téj historycznéj epoki. Bez względu na autora jest ta powieść, sama przez się, dziełem co ma zapewnione miejsce wśród wyborowych utworów wszech krajów i czasów.

Mając za sobą takie tytuły i takie zasługi, mógł Feuillet spokojnie oczekiwać powrotu przychylnych wiatrów. Nie tyle zapewne chochodziło mu o tę szeroką popularność, która jest, jak powiedziano dowcipnie, sławą rozmienioną na miedziaki, ile o szacunek i sympatyę wyborowych sędziów i wyrafinowanych umysłów. Nie postradał ich był bezwątpienia, ale obecnie, po przejściu pierwszego ferworu naturalizmu, wielu z jego adeptów, oszołomionych chwilowo, przeświadczywszy się, że nie ma wśród plew jego tyle ziarna, ile się go spodziewali, zwrócili się znowu do niedawno zaniedbanych pisarzy i wzmocnili ich orszak swymi zastępami. Nie uczyniwszy żadnych ustępstw złemu smakowi, pozostawszy wiernym swéj moralnéj i swéj artystycznéj modle, pisarze jak Feuillet, widzą się ponownie wysławiani i oklaskiwani. Jakkolwiek kropla goryczy mieszać się może do zadowolenia, jakie uczuwać muszą, nie mają prawa skarżyć się na to powtórne żniwo. Nie wielu zdarza się po dwakroć je zbiérać!

Nie osłabł, nie zużył się z latami pisarski jego talent. Świadczy o tém wymownie świeży „Honor Artysty“. Zaliczamy tę powieść do najlepszych, jakie napisał. Łączy ona delikatność, subtelność psychicznéj analizy i niezaprzeczone mistrzostwo formy z napięciem, nieledwie z tragicznością sytuacyi, którą autor opisać przedsięwziął. Nikt już nie mógł *bona fide* zarzucać Feuillet'owi braku siły dramatycznéj: wymieniliśmy najcelniejsze jego utwory, co ją stwierdziły. Obe-

cnie położył, jak się zdaje, nacisk umyślny na tę stronę swéj twórczości. O wszystko, ale o sielankowość idyliczną oskarżony być nie może.

Osnowa powieści, jak zazwyczaj u tego autora, do bardzo prostych daje się sprowadzić rysów. Młody margrabia de Pierrepont, posiada wszystkie zalety i przymioty serca i umysłu, jakie w jego sferze towarzyskiéj znaleść można i jest téż jedną z najwydatniejszych postaci wielkiego świata paryskiego: brakuje mu tylko majątku. Ma bezdzietną, bardzo bogatą ciotkę, baronowę de Montauron ale skąpa i egoistyczna ta dama, spekuluje dla niego na bogaty ożenek. Przygarnęła ona do siebie zubożałą krewną, Beatryczę de Sardonne, i widząc, że między nią a jéj siostrzeńcem istnieje coraz widoczniejsza sympatya, oznajmia jéj, że wydziedziczy margrabiego, jeżeliby kiedykolwiek wpadł na pomysł poślubienia dumnéj, szlachetnéj, kochającéj go od lat dziewczęcych, ale bezposażnéj. Beatrycze przyrzeka nie wyjawić tego zobowiązania, przyjętego względem swéj krewnéj i pozornéj dobrodziéjki, a staje się to jéj tém trudniéjszém, że właśnie w tym czasie margrabia de Pierrepont prosi o jéj rękę. Zasłania się naprzód klasztorem, potém pozorem miłości do kogoś innego i w istocie wychodzi za mąż za Jakóba Fabrice, malarza. Ten ostatni zostając w przyjacielskich stosunkach z margrabią i wprowadzony przezeń do pani de Montauron, pokochał namiętnie piękną Beatryczę de Sardonne i poślubia ją w nadziei, że będzie ona z czasem w stanie zamienić przyjaźń i sympatyą, jaką ma dla niego, na miłość, jaką on dla niéj czuje. Ona zaś, co się w to małżeństwo rzuciła z rozpaczy, w nadziei że ukochanemu przynajmniéj zapewni los świetny, widzi, że się poświęciła bezpotrzebnie, gdyż niedługo po jéj ślubie umiéra pani de Montauron, i margrabia de Pierrepont wchodzi w posiadanie jéj ogromnéj fortuny. Zagrodziła sobie drogę do szczęścia, i zagrodziła ją także jemu: zawiedziony w swéj miłości, w swych projektach, gardząc kobiétą, któréj poświęcenia się nie domyśla, szuka on w hulaszczém życiu i brudnéj rozpuście rozrywki i zapomnienia. Wówczas to widząc stopniowy upadek natury szlachetnéj i podniosłéj, jedna z prawdziwych przyjaciółek i powiernica obudwóch, chce mu powrócić wiarę w ludzkość i w cnotę i odkrywa mu miłość, jaką dlań czuła Beatrycze. Ale odkrycie to wywołuje przesilenie moralne. Tych dwoje, namiętnie się kochających istot nie jest w stanie stłumić swych uczuć przez poczucie obowiązku i pod dachem wciąż ją uwielbiającego męża, pod dachem pełnego zaufania przyjaciela, zawiązuje się pomiędzy nimi intryga miłosna. Jakób Fabrice odkrywa zdradę i tylko w śmierci kochanka swéj żony lub swéj własnéj, widzi sposób zgładzenia hańby. Robi zakład z margrabią, że ten, który go przegra, odbierze sobie ży-

cie po kilku miesiącach, których mu potrzeba do ukończenia wielkiego dzieła malarskiego, zabezpieczającego los jego córeczki. Mąż przegrywa i żona, która była świadkiem tego zakładu, jest obecnie niemym świadkiem moralnych katuszy, heroizmu, z jakim on czarę goryczy chce wypić do dna. Napróżno stara się załagodzić ranę, oddala kochanka, wymaga na nim, aby się ożenił, napróżno ten ostatni zwalnia malarza od wykonania swego samobójczego zobowiązania, napróżno ona otacza swego męża miłością, która się nakoniec ku niemu w jéj sercu zbudziła, Jakób Fabrice, posiadając wysokie, wyegzaltowane uczucie honoru, nie chce, nie może ani wierzyć w trwałość swego szczęścia, ani żyć z pamięcią hańby i odbiéra sobie życie. Beatrycze resztę dni swoich spędza w klasztorze, poświęcając się wychowaniu córki swego męża.

Żywy interes, z jakim idzie czytelnik za opowiadaniem autora i jaki się wzmaga w miarę rozwoju wypadków, jest następstwem wyraziście skreślonych charakterów. Nie mamy tu do czynienia z postaciami konwencyonalnemi, z abstrakcyjnemi typami, któreby się poruszały jak kółka i sprężyny machiny, ale z istotami ludzkiemi, w których wady i zalety, dobre i złe pierwiastki współistnieją. Gdy się postawi bohatéra powieści, margrabiego de Pierrepont obok jednogatunkowych postaci, jakie już dawniéj Feuillet, nakréślił, np. obok bohatera „Romansu ubogiego młodzieńca“, to się widzi natychmiast pogłębienie przez autora spostrzegawczéj swéj metody. Tamten był zbiorem wszystkich możliwych przymiotów i w walce z losem mógł rościć pretensye do nagrody Montyona za cnotę; ten jest człowiekiem z krwi i kości, o szlachetnych skłonnościach, o wyższéj naturze, ale popełniający nietylko usterki, lecz i występki, idąc za głosem namiętności i nie przeciwstawiając im zasady obowiązku. Nie daje się on także porównać z hrabią de Camors, którego demoniczny sceptycyzm i plany z góry obmyślone mogą być tylko udziałem osobistości wyjątkowych. To bezwiedne słuchanie swych instynktów, ta wyborna elegancya, która służy jako paszport do zakłócania cudzego spokoju domowego, oddane zostały przez autora po mistrzowsku. A tém więcéj podziwiać należy sztukę jego, że nigdzie nie potępia go, nigdzie nie stawia go pod pręgierzem, że go nie karci nawet ironią; zdawać się może, że ma on dla niego to samo pobłażanie, jakie ma świat dla uwodzicieli z powołania i książąt złotéj młodzieży — a mimo to każdy czytelnik, co nie ma w sobie zatraconego moralnego sądu, dochodzi wraz z autorem do potępienia tego charakteru i do postawienia go w rzędzie ujemnych.

Szczególniéj nabiéra siły i wyrazistości ta osobistość, gdy jest

przeciwstawiona drugiéj, dodatniéj: Jakóbowi Fabrice. Nie wdając się w długie i szczegółowe analizy, któremi grzeszy nieraz szkoła czysto psychologiczna, potrafił wtajemniczyć nas, odsłonić nam ten charakter piękny w swéj męskiéj prostocie, wysokiem poczuciu godności osobistéj, obowiązków względem swego otoczenia. Widzimy go w czynach rozwijających się logicznie, płynących zawsze z tego samego wewnętrznego źródła i rozumiemy jego naturę. Drwiono nieraz z Feuilleta, że się u niego człowiek zaczyna dopiéro od utytułowanego szlachcica i że ideałów swoich nie wcielił nigdy w plebejuszowską osobistość. Aby temu niedorzecznemu zarzutowi fałsz zadać, dość będzie przytoczyć Jakóba Fabrice. Jest to syn własnych czynów i nie ma innego szlachectwa, jak szlachectwo duszy. Autor nie ukrywa, że mu brakowało tych wyrafinowanych form i sztucznie nabytego poloru, i że w ich braku leżał właśnie jeden z powodów, które pomiędzy nim a wielkoświatową jego żoną kopały przedział. Ale schodzi to do całkiem podrzędnego drobiazgu, gdy się poznaje moralną wartość tego charakteru. Delikatność uczuciowéj jego strony uderza na każdym kroku. Jeżeli wrażliwość na piękno jest przynależnością jego temperamentu artystycznego, to promieniejąca miłość jego, ujawniająca się we wszystkich jéj formach, litości, sympatyi, pobłażliwości, zaufania, skupienia wewnętrznego i t. d., stanowi oś środkową. Samobójstwo, co kończy jego życie zdruzgotane, nie dziwi, nie oburza: strona uczuciowa podniesiona u niego została do najwyższéj potęgi, i skoro miłość, w którą wcielił wszystkie swe ideały, runęła grzebiąc pod sobą wiarę w szlachetność tych, którym ufał bezgranicznie, życie nie miało już dlań celu tak, jak nie miało powabu. Ten wybuch rozpaczy dowodzi, że nie było w téj naturze równowagi i że męska energia została w niéj złamana. Prawdziwość tego rozwoju uczuciowego i konieczność kataklizmu przedstawił autor bez żadnego nacisku, stopniując i rozprowadzając tony w taki sposób, że czytelnik sam niesie z sobą światło i poczucie następstwa wypadków.

Obok osnowy powieściowéj, obok psychologicznego ugruntowania charakterów głównych, nie można nie uznać jeszcze, jako dodatnich stron u Feuilleta, tak wyrazistego i trafnego szkicowania figur drugorzędnych, że składają one, postawione jedne przy drugich barwną życiową mozajkę, że dają obraz całych towarzyskich pokładów drgających życiem. Nie można doprawdy twierdzić, że spogląda on na nie przez szkła różowe. Obcowanie wśród śmietanki towarzyskiéj nie stępiło jego spostrzegawczego zmysłu i nie uczyniło ślepym na jéj przywary. Piętnuje on je co moment czerwoném żelazem, a rysy jego są ostre, karykaturalne nieraz, strzały, któremi ich przeszywa—zatru-

te. Trudno o typ doskonaléj sportretowany, jak owéj baronowéj Montauron. Egoizm, tyrania, wyzyskiwanie słabych, a to wśród form najwykwintniejszych, przy zachowaniu wszystkich pozorów uczuciowości, popełnianie nikczemności moralnych z talentem takim, że się wydają czynami szlachetnemi i natchnionemi duchem poświęcenia. Jest tam długi monolog owéj damy, gdzie pokazać się stara artyście niewłaściwość jego małżeństwa z panną arystokratyczną i gdzie mu udowadnia różnicę sfer towarzyskich, których żadna rewolucya nie była w stanie zapełnić; uważamy go za arcydzieło. Nigdy w trafniejszy, a zarazem lżejszy, delikatniejszy sposób nie naszkicowano społecznego *credo* tego towarzystwa, które, nie wiedzieć dlaczego, jak już Marmontel zauważył, nazywają dobrém, podczas kiedy ono mogłoby się chyba nazywać pięknem. A panny wysokich sfer salonowych, jak opisuje Feuillet! Dawniéj już raz powiedział, że rozmowy przez nie prowadzone po cichu, między sobą, kazałyby się zapłonić i sprosnym małpom; obecnie zbogacił kilku nowymi rysami ten zbiór ciekawych portretów. Jest tam, między innemi, sylwetka panny de la Treillade, która, jeżeli powieść ta przerobiona zostanie na dramat do teatru francuskiego, przestraszy cyniczną swą nagością.

Byłoby tu może miejsce na rozprawę o moralności w romansie i do odparcia zarzutu, który czyniono Feuillet'owi w niedawnéj jeszcze epoce wybujałego naturalizmu, że idealizuje on występek, że zdziera zeń wszystkie cechy indywidualne, które są wstrętne i ohydne, a opromienia go demonicznemi blaski. Uważamy jednak takie zadanie za zbyteczne. Nie stawiając bynajmniéj romansopisarza tego pomiędzy kaznodziejami, co świat chłoszczą z nieubłaganą surowością za jego przekroczenia i przeciwstawiają zwykłemu trybowi życia ascetyczne aspiracye, nie jesteśmy w stanie znaleść w żadnym z jego utworów pobłażliwości dla moralnego brudu, ani czynionych mu ustępstw. Staje on wśród życia, rozgląda się wokoło, jako artysta i myśliciel czyni wybór pomiędzy różnorodnych żywiołów natłokiem i specyalizuje się w jednym społecznym kręgu. Umysły, do których się zwraca, nie potrzebują argumentów gwałtownych, nie posługują się szynkownianą mową, nie lubują się w jaskrawych barwach i półsłówka im wystarczają do wzajemnego porozumienia się. Dwa są sposoby, dwie metody zachęcania człowieka do oczyszczenia i podniesienia swego moralnego poziomu: jeden polega na dosadném odmalowaniu kałuży, w któréj legnie, jeżeli się puści na manowce, a jest to sposób, jakim się posługują adepci naturalizmu; drugi odzywa się do najszlachetniejszych instynktów natury ludzkiéj i wykazuje, że jedynie w ich spotęgowaniu, skrystalizowaniu w czyny leży i szczęście jednostki i spełnienie żądania spo-

łecznego. Ta druga metoda uznana została przez krytyków naturalistycznych za niemoralną, za niebezpieczną! Czy nie jest zbyteczném kruszyć kopii z takimi przeciwnikami?

Gdy się ma do czynienia z pisarzami szkoły naturalistycznéj, nie należy brać dosłownie ich teoryi a przyjrzéć się ich dziełom: są pomiędzy niemi wybitne różnice. Zostawiając na uboczu cały szereg adeptów i naśladowców i zatrzymując się jedynie nad Zolą, chociaż zapewnia on z udaną skromnością, że się za ich przywódzcę nie uważa, spostrzegamy, że jest nawet u niego, pomiędzy wyrozumowaną doktryną, pomiędzy teoretyczném sformułowaniem powieści taką, jaką być powinna, a powieścią taką jaką pisze, odskok, przedział ogromny. Teorya jest dostatecznie znana i nie ma powodu długo się nad nią rozszerzać. Naturalizm ma być przeciwstawą, ma być reakcyą, protestacyą przeciwko romantyzmowi. Gdy ten rozwijał się logicznie od czasu J. J. Rousseau i ucieleśniał się w osobistościach Chateaubriand'a, Wiktora Hugo i George Sand'a, naturalizm brał swe źródło u Diderot'a i w osobistościach Stendhala, Balzaca i Flaubert'a miał miéć swoich wielkich kapłanów. Montaigne nawet miał już miéć jasne pojęcie o powieści takiéj, jakiéj Zola dał nam ostateczny kanon! Naturalizm ma być powrotem do natury, do prawdy, do obserwacyi bezpośredniéj i jest zachowaniem metody analitycznéj do produkcyi literackiéj.

Są tacy, co się tą genealogią dają oślepić, co biorą na seryo te apodyktyczne twierdzenia. Pseudo-naukowy pedantyzm popłaca u Francuzów więcéj, aniżeliby to zrazu przypuścić było można. Wprawdzie Brunetière i inni krytycy, oddawna rozbili w puch ten gmach karciany i udowodnili, że, mówiąc o powieści doświadczalnéj (*experimentale*), Zola nie rozumié znaczenia wyrazu, którym się posługuje, ale możnaby, dla świętéj zgody, uznać tę koncepcyę za prawdziwą. W takim razie jednak natychmiast rodzi się pytanie, jak zwolennicy jéj stosują ją w praktyce, jakie w myśl téj doktryny piszą utwory i przeciwstawiając romanse szkoły naturalistycznéj tym, które potępiają, zapytać, czy istotnie są pomiędzy niemi zasadnicze różnice, czy należą one do dwóch całkiem odmiennych światów, czy rewolucya była tak radykalna, jak się zdawać im chciało. Odpowiedź na nie była przeczącą, stanowczo przeczącą, i produkcya szkoły naturalistycznéj w ogóle, a Zoli w szczególe nie dała dotąd ani zapowiadanego arcydzieła, ani nie utorowała nowych szlaków. Można wzruszyć ramionami na te samochwalcze pretensye i sądzić ich utwory tak, jak każde inne.

A faktów do wydania sądu stanowczego już jest poddostatkiem. „*Rougon-Macquart*, historya naturalna i społeczna jednéj rodziny za

drugiego cesarstwa," zbliża się już ku końcowi. Autor uwiadamia nas, że brakuje jéj już tylko trzech tomów, z których jeden przedstawi nam świat giełdy i finansów, drugi oficerów i armię, a trzeci sądownictwo. Gdy ujrzą one światło, wtedy autor nie powié: *exegi monumentum*, bo już to oddawna powiedział, ale złoży pióro romansopisarza w przeświadczeniu, że nic do obrazu społecznego dodać już nie można. Nawet gdyby tych pozostających do napisania trzech tomów nie było, istniejących siedmnaście już nie pozwoliłoby lekceważyć ich autora. Nie jesteśmy jego przyjaciółmi, ale daleką jest od nas myśl odmawiania mu twórczéj potęgi. Nie ma wątpienia, że są wśród jego powieści najzupełniéj poronione, złe, że są inne, gdzie się pierwiastki dodatnie i ujemne równoważą, że są nakoniec znakomite, wspaniałe, pyszne. Do tych ostatnich zaliczamy *Assomoir* i nawet gdyby Zola nie był napisał kilku innych, zbliżających się doń wewnętrzną wartością, zająłby miejsce wybitne pomiędzy romansopisarzami francuskimi.

Kwestya to dzisiaj już rozstrzygnięta i żaden krytyk nie może rościć pretensyi, aby o nim coś nowego powiedział. Wiadomo, że ta sztuczna jedność, w którą autor powieści swe skuwa, niby rapsody epopei, jest najzupełniéj niepotrzebna i że pretensye, jakie rości do wykazania spadkobierstwa wad i nałogów u działających osób przez dziedziczność i atawizm, nie posiadają najmniejszéj wartości naukowéj. Wiadomo, że metoda bezpośredniéj obserwacyi, którą się chełpi, jest powierzchowną, opartą na podręcznikach i monografiach, w których autor szpera i które przyczepia do pierwszéj lepszéj fabuły wymyślonéj. Wiadomo, że nie posiada on owéj naukowéj bezstronności, która liczy się z wszystkiemi symptomatami patologicznemi, ale, przeciwnie, że tendecyjnie wybiera te, które do potwierdzenia apriorycznie postawionéj tezy są mu potrzebne. Wiadomo, że przez gwałtowne ześrodkowywanie wszystkich czynników jednéj natury w téj saméj osobistości, czego w życiu nigdy nie ma, dochodzi do wytworzenia prawdziwych potworów, pozbawionych nietylko prawdy, ale nawet prawdopodobieństwa. Można do tych rysów zasadniczych, które pokazują wadliwość metody, dodać jeszcze wady, które są indywidualną jego cechą, a mianowicie brak filozoficznego wykształcenia, brak krytycznego zmysłu, brak dobrego smaku, delikatnego cieniowania, stopniowania, i nakoniec umyślne grubiaństwo, zamiłowanie w pospolitości i ohydzie słów i obrazów.

Wszystkie te rysy zostały nieraz wymienione i udowodnione, nadały Zoli jego fizyognomię literacką, i pozwoliły go uklasyfikować raz na zawsze. Ale chociaż cała ta litania jego usterek jest długa,

a i jeszczeby przedłużoną być mogła, to jest ona wszelako dopiéro jedną stronę medalu. Istnieje jeszcze druga. Ci, co o téj odwrotnéj zapominają, popełniają taką samą krzyczącą niesprawiedliwość, jak pisarze naturalistyczni, potępiający bezwzględnie szkołę idealizmu. Właśnie ta druga stanowi jego wielkość, właśnie ona jest kluczem do jego nadzwyczajnéj popularności, dowodem jego wartości, która może oburzać wyrafinowanych i delikatnych, ale która nie mniéj przeto jest faktem niezbitym.

Ta dodatnia jego strona leży w jego szczerości, w jego namiętności. Nie można go uważać za sceptycznego dyletanta, piszącego dla spędzania czasu, dla zabawy swojéj własnéj i zabawy czytelników, jest on głęboko przekonany o prawdzie tego co pisze, o wierności swéj analizy. Bystrość spostrzegawcza jego nieraz zaprzeczoną została i stało się to, naszém zdaniem, niesłusznie. Zola jest krótkowidzem i dalsze plany nie istnieją dla jego wzroku, ale w ciasném kole swojém widzi z nadzwyczajną plastycznością. To co widzi, to co zdaje mu się słusznem lub ohydném, nietylko że wypowiada otwarcie, ale z naciskiem; nie mówi ale krzyczy, ale wrzeszczy. Nie spotkasz u niego półcieniów, zastrzeżeń, wyjątków, a tylko tony jaskrawe, malowidła jaskrawe, teorye ogólne: anioł albo zwierzę — nic pomiędzy temi dwoma krańcowemi typami. W demokratycznéj naszéj epoce, gdy książka stała się już nie pokarmem wyjątkowych osobistości, ale codzienną strawą milionów, te obrazy społeczne Zoli przenikają w masy. Masa ta nie jest dostatecznie wykształcona, aby czynić psychiczne studya nad charakterami indywidualnemi, albo zagłębiać się w budowę organizmu społecznego. Pisarz taki, jak Zola, który jest zrozumiały, prosty, „symplista“, autor energiczny, dosadny, pałający oburzeniem przeciwko występkom, piętnujący pijaństwo w *Obuchu*, intrygi polityczne w *Son Excellenc Rougon*, monopole w *Bonheur des Dames*, rozpustę w *Nanie*, rozwolnienie obyczajów w *Pot-Bouille*, wyzyskiwanie robotnika w *Germinal*'u i t. d., pisarz taki jest wyrazem przeciętnéj moralności, i w tym względzie—potęgą. Czuje on, myśli i mówi jak tysiące jego czytelników, a szczerość jego przekonań, namiętność jego napaści na istniejący tryb życia towarzyskiego nie jest podejrzewaną i być nią nie ma prawa. Zola jest wyrazem najdoskonalszym siły naturalnéj, instynktowéj, nieprzepartéj. „*C'est un primitif*“ — powiedział o nim niedawno jeden z głębokich myślicieli, i musimy uznać ten sąd za pochlebny dla autora.

Nie potrzeba tedy szukać u Zoli ani téj syntezy społecznéj, do któréj śmieszne rości pretensye, ani filozoficznych myśli przewodnich. Ilekroć staje na tym gruncie, przynosi czyste dziwolągi. Zapatrując

się na jego utwory bez żadnych apriorycznych teoryi, biorąc je po prostu za to, czém są, niepodobna im odmówić potęgi, wyrazistości, miejscowéj prawdy, wymowy i często nawet tragicznéj grozy. Jeżeli jeden i ten sam utwór jego ci uważają za arcydzieło, a inni za potworną elukubracyą maniaka, to sama ta różnica oceny, dochodząca z obu stron do ostateczności, jest dowodem, iż mamy do czynienia z energicznym, pierwotnym talentem. Bez widocznego uchybienia prawdzie niepodobna nazwać go szarą, bezbarwną miernością.

Nie wiemy, doprawdy, jaki sąd wydać o jego ostatniéj powieści: *La Bête humaine.* Jako myśl pseudo-filozoficzną, która miała przewodniczyć autorowi, każą nam uważać tę, że w każdym człowieku, nawet najbardziéj wyrafinowanym przez cywilizacyę, istnieje część zwierzęca, żywioł pierwotny, instynktowy, bydlęcy, i że w danych razach i chwilach, bierze on górę w człowieku i pcha go do popełniania gwałtów, bezprawi, występków bez żadnego innego usprawiedliwienia, jak to, że w człowieku przemawiało wówczas bydlę. Dziwaczny to temat do powieści, ale mógłby być wielkim, nie przeczymy. Potrzebaby do wcielenia téj teoryi, przedstawić istoty rzeczywiście wyższe, podniosłe, świadome swéj roli społecznéj, które postawione przez zbieg okoliczności w obec wypadków, gdzie istnieje kolizya pomiędzy ich obowiązkami, zwyczajami, tradycyą, prawem, moralnością, a z drugiéj strony ich naturalnemi, instynktowemi, nieprzepartemi popędami, pozwalają się owładnąć tym ostatnim bez żadnego uwzględnienia następstw dla siebie i dla reszty świata. Tragiczna furya taka jest trudną do pojęcia w naszych czasach, gdzie jednostki są nawskroś przesiąknięte spuścizną długich wieków towarzyskiego bytu i cywilizacyi, ale rozumiemy, że autor jaki mógłby się na takie zadanie pokusić. Zola sfałszował je jednak od razu, pokazując nam te manifestacye człowieczego bydlęcia wśród niższych, mniéj okrzesanych, mniéj wyrafinowanych warstw społeczeństwa, tych właśnie, gdzie instynkta są zawsze bliższe powierzchni i do działania skorsze. To przeciwieństwo, ten przełom, na który właśnie liczyć było można, jako brzemienny heroicznemi katastrofami, jest już z góry, odrazu, unicestwiony. Ale nie ta jedna wada w układzie nas uderza. Druga, niemniéj ważna, polega w nagromadzeniu zbrodni, morderstw, okrucieństw w téj powieści. Nie zliczylibyśmy ich. Jedni drugich mordują, trują, zarzynają: prawdziwa rzeź. Nie wiemy, czy zostaje jedna z osobistości pierwszego i drugiego planu przy życiu. Nietylko że takie nagromadzenia zbrodni stępia interes czytelnika i wywołuje prawdziwy wstręt, ale nie przyczynia się bynajmniéj do stwierdzenia owéj walki pomiędzy wyższą, duchową naturą człowieka a bydlęciem. Bydlę istnieje i działa tam od początku

do końca, nie jedno ale w całém stadzie. A jaki powód tylu gwałtów i zbrodni, samobójstw i morderstw? Są to powiększéj części nieokiełznane popędy płciowe, zemsta za niewierność samicy dla samca, co chce być wyłącznym jéj posiadaczem. Jeden jest tylko wyjątek. Stanowi go bohatér powieści, Jakób Lantier, który zabija swą kochankę, Sewerynę, z czystéj monomanii, z chorobliwéj chęci przelania krwi kobiety. Ta monomania ma mieć swe źródło w krwi Jakóba. Jest on synem owego pijaka, który był bohaterem *Obucha* i obecnie widzimy alkoholizm mszczący się na synu w drugiém pokoleniu, za nałóg ojca. Wszystkie inne zabójstwa począwszy od tego, co otwiéra powieść i które dokonane jest przez p. Roubaud na kochanku swéj żony, a zakończywszy na tém, które popełnia Pecqueux na swym rywalu, Jakóbie, mają tę samą genezę, i przedstawiają prawie te same perypetye. Ani pod względem filozoficznym, ani pod artystycznym nawet nie jest tedy teza Zoli zadawalniającą.

Jeżeli zapatrywać się będziemy na *Bête humaine* jako powieść zwyczajną, bez żadnych teoretycznych aspiracyi, to nie można także policzyć jéj do celniejszych, nawet pomiędzy utworami Zoli. Nie jest ona tak śmiertelnie nudna, jak kilka ostatnich i sceny morderstw, są w stanie, szczególniéj w początkowych rozdziałach, wywołać pewne melodramatyczne zajęcie, ale braknie jéj wszelkiego żywszego interesu. To ciągłe powtarzanie i szczegółowe rozwodzenie się nad scenami zwierzęcéj miłości pomiędzy Seweryną a Jakóbem z jednéj strony, a ohydną Filomeną i Pecqeux'em z drugiéj strony, jest w stanie zmęczyć, do spazmatycznego wybuchu oburzenia doprowadzić nawet lubownika erotycznych obrazów. Nie ma wytchnienia, nie ma oazy wśród tych śmietników, tych brudów, nie ma promienia słonecznego wśród téj atmosfery zakopconéj systematycznie. Po przeczytaniu jednorazowém téj powieści, czuje się nieprzezwyciężoną chętką rzucenia się w strumień czystéj wody: ma się uczucie, że się jest powalanym, zbrukanym fizycznie, nietylko moralnie.

Pozostawałaby jeszcze część techniczna. Jak wiadomo, gra ona zawsze u Zoli rolę wydatną i chełpi się on z sumiennych studyów, jakie czynił z kolei nad najrozmaitszemi pokładami społeczeństwa, nad rozmaitemi specyalnościami. Wystudyowawszy w ostatnich swych kilku powieściach świat artystów (*L'oeuvre*), życie robotników w kopalniach (*Germinal*) i nakoniec wieśniaków (*la Terre*), w obecnéj powieści obrał sobie jako tło drogi żelazne. Wszystkie zbrodnie, wszystkie wybuchy instynktów bydlęcych, jakie mu się podobało tym razem opisać, dzieją się na linii drogi żelaznéj pomiędzy Paryżem a Hawrem. Autor nie szczędzi nam opisów, które pokazują, że przeczytał

regulaminy administracyjne i że zna dokładnie tę linię. Powiedzieli nam zresztą i do syta jego adepci, powiedzieli i wyrysowali nam Zolę, jeżdżącego za pozwoleniem zarządu drogi żelaznéj na lokomotywie, aby się zapoznać z jéj naturą, skoro mechanik jest bohaterem powieści. Być może iż dla wielu czytelników szczegóły teczniczne o budowie machiny parowéj, o rozkładzie pociągów i t. d. przedstawiają interes; co do nas, przyznajemy, żeśmy zostali obojętnymi. Czytając opisy, powtarzające się w peryodach z góry przewidzianych, tu o zaskoczeniu pociągu przez burzę, tu o zaspach śnieżnych, tu o wykolejeniu i t. d., widzimy w nich poprostu rzemiosło pisarskie i epizody nieledwie urzędowe, obowiązkowe. Bezwątpienia nie tych opisów, ale psychicznego rozwoju szukamy w śmierci i nie znalazłszy ich, nie zadawalniamy się pierwszymi.

Wady te, uderzające, niezaprzeczone, nie przeszkodzą powieści téj rozejść się w jakiéj setce tysięcy egzemplarzy. Mamy przed sobą już siedmdziesiąt piąty tysiąc, a dopiéro kilka miesięcy ubiegło od pierwszego wydania. Imię autora jest już obecnie wystarczającą rękojmią powodzenia materyalnego. Nie ma potrzeby z tego powodu ani ubolewać nad gangreną społeczną, ani nad zatratą dobrego smaku. Powiedzieliśmy wyżéj, czego publiczność szuka w powieściach Zoli i co, nawet i w téj, częściami znaleść może.

Gdyby jednak od téj powieści, jako punktu wyjścia, wznieść się przyszło do całéj syntezy naturalizmu powieściowego i gdybyśmy mieli ją wziąć, jako ostateczny argument w walce ze szkołą przeciwną, o któréj rzecz była wyżéj, to nie możnaby się dziwić, że wnioski byłyby dla Zoli stanowczo ujemne i niepochlebne. Lepiéj będzie nie formułować żadnych ogólnych sądów i powiedzieć poprostu, że nie jest to bynajmniéj utwór pierwszorzędny.

Ten.



Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

IV.

Budowa protoplazmy.—Doświadczenia Bütschlego.—Budowa ciała bakteryi.—Znaczenie jądra w komórkach. — Wpływ jądra na czynności protoplazmy. — Badania psychofizyologiczne nad pierwotniakami. — Odruchy protoplazmy wywołane w doświadczeniach.—Heliotropizm, termotropizm, galwanotropizm i chemotropizm pierwotniaków.—Istota tych zjawisk.

Od bezkształtnego kłaczka protoplazmy do wydoskonalonego w swych funkcyach organizmu ludzkiego, jakaż długa droga powolnych zmian, stopniowego rozwoju, coraz bardziéj wzrastającéj zawiłości w budowie i czynnościach! W tworzeniu żywéj materyi przyroda postępowała od jednostek prostych do coraz bardziéj złożonych, w miarę postępu tego wciąż doskonaląc przyrządy i różnicując funkcye życiowe. Jednokomórkowe twory w bardzo pierwotny sposób odżywiają się, wydzielają ze siebie niestrawione pokarmy, odpowiadają na bodźce otaczającego ich świata. I jakkolwiek do warunków, śród których życie swe pędzą, dobrze mogą być przystosowane, to jednakże budową i samym sposobem życia zaledwie na niewprawnym badaczu robią wrażenie żywych istot — do tego stopnia ich objawy życiowe mało są podobne do tego, co z nazwą życia powiązywać zwykliśmy. W obec tych mało skomplikowanych zjawisk fizyologicznych u tych najniższych tworów, przypuszczaćby należało, że badania zjawisk życiowych w pierwotnych ich formach tu właśnie przedsięwziąćby trzeba, że w tym świecie prostych funkcyi życie oku naszemu najprzystępniéj się przedstawia. Nikogo wszakże nie zdziwi, że fizyologia kierunku tego w zaczątkach swych dziejów nie przyjęła; powody zaś tego zupełnie są zrozumiałe.

Obserwowano naukowo zjawiska życia już w owych odległych czasach, kiedy o istnieniu, a tém mniéj o dokładném badaniu najniższych tworów mowy prawie nie było. A jeśli nawet pominiemy zupełnie cele praktyczne, jakie nasuwały konieczność wnikania w objawy życiowe człowieka, to jeszcze pozostanie ważna racya, dla któréj nauka w odwrotnym, niż przyroda, kroczyła porządku. Im istota żywa bardziéj jest udoskonalona, tém oddzielne komórki, te pierwotne elementy żywego ciała, jednostronniejszą pracę mają do wykonania. Doskonalenie budowy i funkcyi organicznych polega na obejmującéj cały świat żywy zasadzie podziału pracy. Włókno nerwowe organizmu ludzkiego odbiéra wrażenia, uświadamia je, lecz nie spełnia żadnéj bezpośredniéj pracy mechanicznéj; włókno mięsne natomiast wykonywa pracę, lecz nie czuje, ani służy do odżywiania organizmu; komórki krwi pośredniczą w odżywianiu organizmu, lecz wolne są od pracy wydzielania soków i t. d. Nie należy pojmować tego zbyt jednostronnie. By żyć, każda komórka sama siebie żywić musi i wydzielać produkty zbyteczne, każda téż musi być wrażliwą i odpowiadać na podrażnienia. Lecz po za temi funkcyami, niezbędnemi komórce dla zachowania jéj własnego życia, specyalną jakąś funkcyą służy ona całemu organizmowi, i ta właśnie funkcya została w niéj wydoskonalona do względnie najwyższego stopnia. Gdy zaś w jednokomórkowych istotach specyalizacyi takiéj nie ma, obserwowanie w nich przeto oddzielnych czynności natrafia na znaczne trudności.

Widzimy więc, że drogą zupełnie naturalną badania fizyologiczne przez czas bardzo długi odbywać się musiały, jeśli nie wyłącznie, to przeważnie na organizmach wyższych. Lecz z czasem i w téj dziedzinie wiedzy zaświtać musiała nowa era, wówczas mianowicie, gdy, uznawszy komórkę za pierwiastek zasadniczy żywéj materyi, nauka przeniknąć chciała w najwewnętrzniejsze składowe części zawiłego fenomenu życiowego. Od dawna téż datują się próby usilnych w tym kierunku badań. Do dnia dzisiejszego jeszcze nie zostały na téj drodze zwalczone najważniejsze trudności. Że zaś logika naukowa wymaga nie badać funkcyi niezależnie zupełnie od budowy organów, ścisły przeto związek danych morfologicznych i fizyologicznych nakazuje splatać i godzić jedne z drugiemi.

Czasy ostatnie dużą przynoszą wiązankę prac ważnych, mających na celu badanie budowy protoplazmy, jéj fizyologii, wpływu jądra komórki na protoplazmę, a nawet odszukiwanie pierwszych zaczątków życia psychicznego w olbrzymim łańcuchu żywych tworów. O kilku najogólniejszych w tym zakresie wnioskach z prac ostatnich chciałbym dziś pomówić.

Udoskonalone środki techniki mikroskopowéj coraz bardziéj prowadzą uczonych do przekonania, że nietylko komórki nerwowe i mięśniowe, lecz i zwykła protoplazma niezmiernie delikatną posiada budowę, którą wprawdzie w szczegółach różni badacze rozmaicie tłómaczą, lecz prawie wszyscy zgadzają się, że protoplazma złożona jest z gęstszéj substancyi, stanowiącéj siatkę, niejako szkielet, i mniéj gęstéj, jaśniejszéj, wypełniającéj oka téj siatki. Nie na tém wszakże koniec. Gdy powiadamy, że gmach zbudowany jest z cegieł i wiążącego je cementu, to z kolei mamy prawo zapytać: czémże jest cegła, a czém cement? Podobne téż pytania i w zajmującéj nas tu sprawie słyszéć się dają; pytania te témbardziéj są usprawiedliwione, że badania mikroskopowe nie odrazu kwestyą rozstrzygają, że komentowanie sprawiedliwe tego, co pod mikroskopem widzimy, niezmierne przedstawia trudności.

Posługując się metodą injekcyi, wstrzykiwań, p. V. Fayod stara się osiągnąć prawdziwy pogląd na budowę żywéj protoplazmy. W tym celu do rozmaitych części tkanek żywych roślin zastrzykuje przeważnie rtęć pod ciśnieniem jednéj do dwu atmosfer, bacząc oczywiście troskliwie, aby saméj budowy protoplazmy głęboko skutkiem tego nie zmienić. Szereg badań odnośnych, od roku przeszło prowadzonych, upoważnia go do wniosku, że wszelka protoplazma złożona jest z delikatnych, przeważnie nader gęsto z sobą splecionych i spiralnie zwiniętych, pustych wewnątrz nici z materyi szklistéj, żelatynowéj, posiadającéj w wysokim stopniu własność pęcznienia. Nici te, nazwane przez Fayoda spirofibrylle, rzadko znajdują się oddzielone od siebie, głównie natomiast w wiązkach w ten sposób razem są skręcone, że tworzą znów ścianki spiralnie zawijanych grubszych sznurków, wewnątrz pustych. Otóż właśnie do wnętrza tych sznurków (nazwanych spirosparty), zarówno jak do wnętrza spirofibryllów można wstrzyknąć rtęć i wnętrza te w stanie normalnym wypełnione są ziarnistą protoplazmą. Najbardziéj zasadniczne zjawiska w organach roślinnych zachodzące, jako to wzrost i ruch, dają się objaśnić wydłużaniem się i skurczaniem spirofibryll. P. Fayod objaśnia, dlaczego dotychczas nie dostrzeżono tych drobniutkich utworów protoplazmatycznych. Przyczyną tego jest osobliwa własność substancyi składającéj spirofibrylle, która pod wpływem zwykłych odczynników mikroskopowych uchodzi uwadze badacza. Nietylko w protoplazmie, lecz i w błonie komórkowéj—powiada p. F.—udało się dostrzedz spirofibrylle. Zachęcony tym rezultatem badał téż autor protoplazmę zwierzęcą najrozmaitszego pochodzenia — od zwierząt najniższych aż do kręgowców. I tutaj zasadnicza ta budowa dostrzedz się daje, a zwłaszcza odpowiednim do badań

tych obiektem okazały się komórki krwi. Nie waha się przeto p. Fayod dziś już wypowiedzić ogólny wniosek, że wszelka substancya organizowana składa się ze spirofibryll, powyżéj najogólniéj opisanych.

Odmienną metodę badania budowy protoplazmy obrał profesor heidelberski O. Bütschli. Jest to metoda nawskroś doświadczalna.

Bütschli nie zupełnie zgadza się na przypisywanie protoplazmie budowy siatkowéj. Według spostrzeżeń jego, skądinąd zresztą częściowo stwierdzonych, należałoby raczéj mówić o strukturze pęcherzykowatéj, przypominającéj nader delikatną piankę. Utwory podobne stara się autor sztucznym sposobem wytwarzać, bo przy ich badaniu natrafić może na pewne własności, które się bezpośrednio na żywą protoplazmę przenieść dadzą. W doświadczeniach tych widzimy w całéj pełni rozwinięty czysto mechanistyczny pogląd na budowę i ruchy żywéj materyi. Za podstawę, na któréj opiéra się metoda badania Bütschlego, służy spostrzeżenie fizyka Quinckego, że wodne ciecze przenikają, dyfundują przez tłuste oleje. Ażeby otrzymać delikatną, utrzymującą się przez czas dłuższy w wodzie piankę, postępowano tak: proszkowano nader drobno małe ilości cukru lub soli kuchennéj, i ucierano je na gęstą masę z kilkoma kroplami staréj oliwy. Drobne kropelki (średnicy 0,1 do 0,5 milimetra) téj masy przenoszono na dolną powierzchnię szkiełka przykrywkowego, które pomieszczone było na woskowych lub parafinowych nóżkach i przewracano szkiełko tak, że od dołu woda z kroplą się stykała. Woda dyfundowała przez oliwę, przyciągana przez cząsteczki cukru lub soli, i w ten sposób wewnątrz masy oleistéj tworzyła się olbrzymia ilość drobniutkich kropelek rostworu, które w końcu zamieniły się na nader delikatną piankę.

Taką piankę rozpatruje Bütschli przez mikroskop i w zachowawaniu się jéj widzi wiele podobieństwa do ruchów ameboidalnych protoplazmy. Pianka ta stanowi delikatną siatkowatą budowę, któréj oczka tworzą wszelkie możliwe wielokątne figury, zaś w punktach przecinania się wielu oczek tworzą się węzły najwyraźniéj podobne do t. zw. mikrozom w plazmie. Na powierzchni bardzo delikatnych pęchęrzyków piany można dostrzedz niezmiernie cienką warstewkę, tworzącą jakby błonkę zewnętrzną. Kto zna choćby trochę budowę plazmy jednokomórkowych istot, tego—jak powiada Bütschli—zadziwi rażące podobieństwo téj błony do zewnętrznéj plazmatycznéj błonki komórkowéj. Udało się téż wywołać w podobnych piankach żwawe ruchy drobniutkich kropelek, najzupełniéj przypominające ruchy płynącéj niejako protoplazmy w amebach, korzenionóżkach i t. d. Bütschli nie zapomina także o różnicach, jakie z natury rzeczy zachodzić muszą pomiędzy budową i ruchami tych sztucznych pianek z jednéj strony,

a zjawiskami w protoplazmie z drugiéj, i dość obszernie je omawia. W têm krótkiem wszakże sprawozdaniu nie pójdę daléj za autorem. Głównêm mojêm zadaniem jest, obok zapisywania postępów w zakresie nauki, zwracanie szczególnéj uwagi czytelnika na rozwój w metodach badania. Metoda, jaką Bütschli obrał, nie jest zupełnie nową, lecz do tego stopnia oryginalną, że na szczególną zasługuje wzmiankę. Bezpośrednie badanie mikroskopowe mało nam dotąd znanych ruchów międzycząsteczkowych żywéj materyi zapewne z czasem doprowadzi do prawdziwszego poglądu na zjawiska życiowe, aniżeli rozmaite, mniéj lub więcéj dowolne hypotezy. Wypowiadając to, ani na chwilę nie chcę taić przed czytelnikiem, że badania podobne do powyższych stanowić mogą zaledwie przedwstępne na téj mozolnéj drodze kroki. Tajemnica życia ze stanowiska przyrodniczego poglądu tak dotąd jest dla umysłu naszego niedostępną, że długo jeszcze czekać wypadnie, zanim wystąpi ona z otaczającéj ją dotychczas mglistéj zasłony.

Na niwie badań niższych organizmów Bütschli wielkie w ostatnich czasach położył zasługi. Niezależnie od pracy wyżéj przytoczonéj, podjął on też rozległe studya nad budową ciała bakteryi i organizmów im pokrewnych.

Pomimo olbrzymiego zapału i ogromnéj pracy, z jaką w ostatnich latach rzucono się na pole bakteryologii, mało bardzo wiemy dotąd o strukturze bakteryi. Badania swoje rozpoczął Bütschli od form większych, od bakteryi t. zw. siarkowych, bo wydzielających ziarenka siarki w swêm ciele. Materya ciała bakteryalnego, jak się okazuje, złożona jest przeważnie z substancyi podobnéj do substancyi jądra komórek. Zwykle przypuszczą się, że wprzódy powstały formy bez jąder, a dopiéro z nich wytworzyły się takie, które w komórkach swych posiadają jądra, jako produkty wyróżnicowane z masy protozlazmatycznéj. Jeżeli jednak, jak wszystko za têm przemawia, bakterye do bardzo pierwotnych form zaliczyć należy, w takim razie przypuszczenie stosunkowo późnego występowania jądra w rozwoju żywéj natury traci dużo ze swego prawdopodobieństwa. Jądru przypisujemy, na zasadzie nowszych badań, bardzo ważne znaczenie fizyologiczne. Czyż więc nie mamy prawa mniemać, że pierwotną częścią komórki jest właśnie substancya jądrowa, nie zaś protoplazmatyczna? Lecz z drugiéj strony, cóż wiemy o jądrze?

Morfologia jądra komórek stanowi bardzo ulubiony przedmiot badania histologów. Pomimo to wszakże, właściwe znaczenie jądra bardzo jest jeszcze dla nas ciemne. Tyle wiemy tylko napewno, że przypada mu istotny udział w dzieleniu się i rozmnażaniu komórek. Doświadczenia nad dzieleniem się komórek roślinnych i zwierzęcych

(wodorostów i pierwotniaków) dowiodły, że regeneracya części komórek wówczas tylko może mieć miejsce, gdy w oddzielonych częściach zawarte jest jądro lub choćby tylko część jego. Niedawno zaś podjął p. E. Korschelt badania nad udziałem jądra komórkowego zwłaszcza w czynności przyjmowania i wydzielania. Posługiwał się w tym celu komórkami jajowemi najrozmaitszych zwierząt (gąbek, jamochłonnych, szkarłupni, stawonogich) oraz komórkami gruczołów. Jądro, jak autor dostrzegał, zawsze zwiększa swą powierzchnię wówczas, gdy komórka w stanie czynnym się znajduje; zbliża się ono w ten sposób do ogniska wzmożonéj działalności komórki. W pewnych razach, jak to już dawniéj Korschelt spostrzegł, jądro wprost wydłuża się, wysełając wypustki ku tym miejscom komórki, w których czynność wydzielcza się odbywa. Jednocześnie zachodzi pewna zmiana w wewnętrznéj budowie jądra, jak tego dowodzą odczyny barwnikowe.

Wpływ jądra na protoplazmę bada też usilnie p. B. Hofer przeważnie na amebach. Chodzi mu przedewszystkiém o skonstatowanie udziału jądra w funkcyach komórki, a używa do tego celu metody w zasadzie bardzo prostéj, mianowicie dzieli amebę na dwie części, z których w jednéj pozostawia jądro. Ameby o tyle nadają się bardzo do tego rodzaju badań, że ich części bez jąder także przez długi czas żyją. Przedewszystkiém autor stwierdzić chciał, czy i o ile jądro wpływa na ruch zwierzęcia; otóż okazało się, że wprawdzie i kawałki ameby bez jądra przez pewien czas się jeszcze poruszają, lecz, że ruchy te wkrótce ustają. Oczywiście zawsze przytém porównywano części z jądrami z częściami bez jąder. Podczas, gdy pierwsze poruszały się jak zazwyczaj, drugie wciągnęły w siebie nibynóżki (*pseudopodia*), zaokrągliły się i niejako zakrzepły. Niemniéj wynika, że jądro ma duże znaczenie dla funkcyi przyjmowania pokarmów i ich trawienia. Części ameby bez jąder nie są w stanie karmić się wymoczkami i strawić ich, tak jak to czynią ameby z jądrami. Należy przypuścić, że ameba, wchłonąwszy pokarm żywy, (wymoczka np.) zabija go wskutek działania jakiéjś wydziejącéj się z jéj ciała trującéj materyi, a w takim razie brak jądra uniemożliwia ową czynność wydzielczą. Takie pojmowanie zgodne byłoby w zupełności z przytoczonemi spostrzeżeniami Korschelta. Co się tyczy zdolności trawienia, to wprawdzie nie są jéj całkowicie pozbawione części ameb bez jąder, lecz bądź-co-bądź przejawia się ona w nich w nader słabym stopniu. Żywe wymoczki przez cały szereg dni znajdują się we wnętrzu ameb i po dłuższym czasie nawet wydobywają się na zewnątrz. Małe bardzo, lecz mające jądra, części ameb łatwo zabijają w sobie i trawią wymoczki, zaś znacznie większe części bez jąder nie są w stanie tego dokonać.

Jeżeli nawet części bez jąder posiadają w pewnym małym stopniu zdolność trawienia, to pochodzi to zapewne stąd, że pozostały w nich jeszcze resztki wydzielin trawiących, lecz wytwarzanie się nowych ilości wydzielin najprawdopodobniéj bez udziału jądra odbywać się nie może. Z badań Hofera wynika, że do czynności komórki, niezależnych bezpośrednio od jądra, zaliczyć wypada oddychanie i ową czynność ruchu, którą dostrzegamy w tętnieniu wodniczek (wakuol), czyli pęcherzykowatych utworów, wykonywających mniéj lub więcéj rytmiczne skurczliwe poruszenia.

Stan dotychczasowych naszych wiadomości o zjawiskach psychicznych najniższych form zwierzęcych, t. zw. pierwotniaków, bardzo jest niedostateczny. Badań bezpośrednio skierowanych ku poznaniu życia duchowego tych istot dotąd nie podejmowano. Czyni to w sposób systematyczny po raz pierwszy p. M. Verworn i dochodzi do rezultatów, z któremi ogólnie nie od rzeczy będzie się zapoznać.

Dwa główne zagadnienia stara się autor rostrzygnąć. Pierwsze z nich polega na poznaniu stopnia rozwoju, na którym znajduje się życie duchowe pierwotniaków. Daje się to oczywiście określić tylko w porównaniu ze stopniem rozwoju psychy człowieka. Drugie zagadnienie dotyczy istoty i objawów zjawisk psychicznych. Metodyka badań tych opiéra się na tém, iż istnieje jedno tylko kryteryum, pozwalające nam sądzić o objawach psychicznych u innych organizmów, mianowicie ich ruchy. Trzy rozmaite drogi obiéra autor, by te objawy ruchu bliżéj studyować. Tak zwana przez niego czysta obserwacya nakazuje mu śledzić za wszelkiemi objawami życia i stąd wyprowadzać wnioski o zjawiskach psychicznych. Druga metoda bada zachowywanie się zwierząt w sztucznych warunkach doświadczenia i pozwala wysnuwać wnioski co do wpływu rozmaitych podrażnień. Wreszcie badanie przy współudziale czynności operacyjnéj ma posłużyć do wykrycia siedliska funkcyi psychicznych. Do badań służą p. Verwornowi rozmaici przedstawiciele państwa pierwotniaków.

Co się tyczy bezpośrednio dostrzeganych w nich ruchów, mamy tu kilka rozmaitych form: ruch ameboidalny (zwłaszcza u korzenionóżek), ruch rzęskowy (bakterye, istoty z biczykami i t. p.) i ruch polegający na wydzielaniu z ciała rozmaitych produktów. Do tego przybywa jeszcze ruch ciała protoplazmatycznego, sprowadzający skurczanie się protoplazmy, a także powstawanie w niéj owych charakterystycznych prądów ziarnistéj substancyi. Przez kombinacye rozmaite formy te ruchu wytwarzają wielką różnorodność objawów ruchowych ciała pierwotniaków, i wogóle należy tu odróżniać ruchy dobrowolne, od powstających pod wpływem podrażnień.

Ruchy dobrowolne (*spontan*) już przez kilku dawniejszych badaczów były dostrzegane i opisywane. Niektóre z nich łatwo robić mogą na badaczu wrażenie aktów dowolnych i wzbudzić w ten sposób domysł, że powstają skutkiem wyższych jakich zjawisk psychicznych, co oczywiście miejsca nie ma.

Co do ruchów drugiego rodzaju, które sprawiedliwie nazwać możemy odruchami, autor naprzód bada te, które wywołane zostają działaniem światła. Otóż okazuje się, że niektóre pierwotniaki mniéj lub więcéj są wrażliwe na promienie światła, inne zaś na podrażnienia świetlne nie reagują. Z bakteryi i korzenionóżek bardzo niewiele wrażliwych jest na światło a podobnie do nich zachowuje się téż wiele rzęsowatych wymoczków, podczas gdy niektóre biczykowate w ten sposób oddziaływają na promienie, że wobec słabego natężenia świetlnego zbliżają się do źródła światła, przy silném zaś podrażnieniu uciekają od niego. Przytém oś ciała swego ustawiają w kierunku promieni padającego na nie światła, co porównać można ze znaném zjawiskiem heliotropizmu w świecie roślinnym. Ciekawą jest niezmiernie ta okoliczność, że przeważna część pierwotniaków jest wrażliwą na pewne określone promienie, różne wszakże dla pojedyńczych form. Tę zdolność organizmów reagowania na pobudki świetlne objaśnia p. Verworn jako przystosowanie do określonych warunków życia. Zachodzi tu naturalny dobór. Istoty te stają się wrażliwe na promienie światła, aby w wypadku, gdy światło sprzyja ich rozwojowi lub szkodzi mu, módz odszukać źródło światła, lub uniknąć go.

W celu zbadania wpływu ciepła na pierwotniaki, Verworn w ten sposób wykonywał doświadczenia, że pozostawiał ameby na oświetlonych, a przez to i ogrzanych, lecz w pewnéj tylko części, powierzchniach. Ogrzewano za pomocą promieni światła skupionych w soczewce, lecz jednocześnie wykluczono możliwość podejrzenia, iż chodziło tu o działanie światła. Ameby wogóle cofały się natychmiast, skoro tylko wkraczały na ogrzaną część powierzchni. Dalsze badania miały rozstrzygnąć o wpływie ciepła na ruchy migawkowe.

Wogóle z tego szeregu doświadczeń daje się wyprowadzić wniosek, że ruchy możliwe są tylko w granicach pewnych temperatur, różnych dla rozmaitych pierwotniaków. W granicach tych zarówno ruch protoplazmy, jak i ruch rzęskowy wzmaga się aż do pewnego *optimum*, poczém w miarę dalszego wzrastania temperatury słabnie i wreszcie ustaje. Również od owego *optimum*, w miarę obniżenia temperatury, ruch słabnie i przy określonéj niskiéj temperaturze zanika. W podobny sposób dzieje się téż z ruchami tętniących wodniczek. Ogrzanie powyżéj *maximum* wywołuje zaokrąglanie się pierwotniaka,

poczém następuje śmierć. Podobnie jak istnieje dodatni i odjemny heliotropizm, tak też w ruchach pod wpływem ciepła wykryć się daje dodatni i odjemny termotropizm, polegający na zdolności wykonywania ruchu postępowego w odpowiednim kierunku przy jednostronném działaniu ciepła.

Podrażnienia mechaniczne, którym autor poddawał pierwotniaki, polegały na drażnieniu całego ciała (wstrząśnienia), albo też były podrażnieniami miejscowemi, wywoływanemi np. przez ukłucie cieniutką igłą. Jak oczekiwać należało, silniejsze podrażnienia szybszy i intensywniejszy pociągały za sobą skutek i na większym roznosiły się obszarze, aniżeli słabsze, lecz wogóle efekty mechanicznych podrażnień okazały się zależnemi od wewnętrznego układu saméj protoplazmy i przeto nie były jednakowe u wszystkich pierwotniaków. Największą pod tym względem drażliwość okazują rzęsowate wymoczki. Do mechanicznych bodźców zalicza też p. Verworn znane zjawisko poruszania się wielu pierwotniaków na powierzchni cieniutkich warstewek wody na ściankach naczyń. To przyleganie do powierzchni nazywa on dodatnim thigmotropizmem ,odjemnym zaś, częściéj występujące zjawisko cofania się od źródła bodźców mechanicznych.

Wykonane również zostały doświadczenia z bodźcami akustycznemi, lecz nie zdaje się z nich wynikać, ażeby pierwotniaki były pod tym względem wrażliwe.

Na bodźce chemiczne reagują pierwotniaki podobnie, jak i na mechaniczne, t. j. ruchy stają się z początku intensywniejsze, lecz późniéj słabną i wreszcie zupełnie ustają, gdy bodziec zbyt jest silny. Z substancyi, porażających ruchy wyższych zwierząt, niektóre, jak np. kurare, nie działają na pierwotniaki, inne natomiast, np. chloroform, i u nich sprowadzają narkozę. I tu znów można mówić o zjawisku chemotropizmu, zwłaszcza jawnie występującém w zachowaniu się pierwotniaków wobec tlenu. Przedewszystkiém bakterye, lecz niemniéj i twory zaopatrzone w rzęsy, odnajdują źródło tlenu i oblegają je w gęstéj masie. Podobny dodatni chemotropizm objawiają także bakterye względem rostworów rozmaitych ciał, jakkolwiek niektóre z tych ostatnich najzupełniéj nie mają dla nich wartości pożywnéj, a nawet szkodliwie na ich życie działają.

Podrażnienia galwaniczne objawiają się również w ciele pierwotniaków jako skurcze protoplazmy i zmiany w poruszeniach rzęs. Osobliwém bardzo jest stwierdzone przez autora zjawisko następujące: wymoczki rzęskowe, zawieszone w kropli wody i wystawione na działanie prądu galwanicznego po zamknięciu prądu płyną w kierunku krzywych linii prądu od bieguna dodatniego do ujemnego. Ten galwanotropizm

został regularnie postrzegany w Paramaecium, Coleps, Colpoda i innych rzęskowych.

W ogóle więc okazało się, że prawie, wszystkie bodźce, sprawiające wrażenie na wyższych zwierzętach, nie pozostają też bez wpływu na pierwotniaki. U wyżéj wszakże organizowanych zwierząt działanie bodźców zewnętrznych przejmowane zostaje przez organy zmysłowe, których wyższy lub niższy stopień rozwoju pozwala sądzić o większym lub mniejszym stopniu doskonałości funkcyi psychicznych. Tego rodzaju czuciowe elementy—o organach bowiem mówić tu nie można—znajdujemy u pierwotniaków co najwyżéj w rzęskach, które przeważnie oddziaływają na bodźce mechaniczne. Co prawda, mówiono też w swoim czasie o „plamach ocznych,“ lecz spostrzeżenia odnośne nie są wolne od zarzutów, i w każdym razie przypuścić trzeba, że bodźce świetlne, zarówno jak i chemiczne, galwaniczne i cieplikowe zostają przejmowane przez każdą cząstkę ciała protoplazmy.

Otrzymane na drodze obserwacyi i doświadczeń rezultaty, p. Verworn stara się ocenić jeszcze ze względu na ich wartość, jako materyał do sądzenia o istotnych zjawiskach psychofizyologicznych u pierwotniaków, i porównywa je w tym celu z znanemi nam u ludzi procesami psychicznemi.

Ruchy, o których mówiliśmy, z pozoru wydawaćby się mogły jako objawy świadomości. Lecz w rzeczywistości są to odruchy, gdyż posiadają charakterystyczną cechę powtarzania się zawsze z tą samą prawidłowością przy każdém podrażnieniu. W objawach zwłaszcza heliotropizmu, chemotropizm i t. d. możnaby upatrywać pewną świadomość, tłómacząc sobie te zjawiska w ten sposób, że pierwotniaki starają się zbliżyć lub uciec od źródeł odnośnych bodźców, gdyż odbiérają przytém wrażenia przyjemnych lub przykrych uczuć, lecz przeczy temu ten fakt, że wymoczki zdążają ku elektrodom, wydzielającym trujące produkty rozkładowe, od których zwierzątka te natychmiast giną.

Również bardzo niedostateczny rozwój elementów czuciowych przemawia przeciwko przypuszczeniu, że moglibyśmy tu miéć do czynienia z objawami świadoméj woli. Do świadomych psychicznych objawów—jak szeroko tego dowodzi autor — nie dadzą się także sprowadzić zjawiska przyjmowania pokarmów i budowania skorup.

Na całym szeregu wymoczków i korzenionóżek zastosował wreszcie p. Verworn metodę operacyjną, by z możliwą dokładnością wykryć siedlisko, źródło zjawisk psychicznych. Przypominam tu to, co wyżéj o metodzie sztucznego dzielenia komórek mówiłem z powodu pracy Hofera, dodając tylko rezultat odnośnych badań Verworna, z których wynika, że części komórek te same wykonywały ruchy, co

i całe ciało. Ruchy pierwotniaków nie są przeto odpowiedziami na bodźce, wychodzące z pewnego ośrodka lub z niewielu centrów psychicznych wewnątrz ciała; przyczyna ich tkwi raczéj bezpośrednio w samych drobniutkich cząstkach protoplazmy, gdzie się ruch odbywa. Nie jądro przeto—jakto przypuścićby można [1])—jest wspólnym ośrodkiem psychicznym, lecz każda cząstka protoplazmy jest samoistnym dla swoich ruchów siedliskiem.

Ostatecznie przeto wszystko zdaje się przemawiać za tém, że przyczyną ruchu protoplazmatycznego jest tylko szereg przemian w częsteczkach materyi komórek i że nigdzie indziéj, jak tylko w tych przemianach szukać należy zaczątku objawów psychicznych. Lecz czém te zjawiska ruchu różnią się od ruchów międzycząsteczkowych, zachodzących w ciałach martwych, nieorganizowanych, mineralnych, i co stanowi bezpośrednią przyczynę przejawów życia, to pozostaje dla nas tymczasem niezgłębioną tajemnicą.

Maksymilian Flaum.



[1]) I tu raz jeszcze przypominam treść powyżéj przytoczonéj pracy Hofera.



FRANCYA PRZEDHISTORYCZNA.

I.

Trudno powiedzieć, w jak daleką przeszłość siegają historyczne wieki ludzkości. Zdaje się jednak, że jakiś jeden dziesiątek tysięcy lat, t. j. mniéj więcéj około 400—500 pokoleń ludzkich stanowią najdalszą granicę, któréj dowody historyczne nie przechodzą. Zresztą, możemy zajrzéć tak daleko w przeszłość jedynie w wyjątkowych okolicach globu ziemskiego, np. w porzeczu dolnego Nilu. Gdzieindziéj, nawet w tych miejscowościach, które przodują tegoczesnemu postępowi cywilizacyjnemu, co najwyżéj jakiś okres dwudziestokilkowiekowy wychyla się z mroków dziejowych. A jednakże w obecnym stanie wiedzy zbyteczną rzeczą byłoby dowodzić, że dzieje pisane, „historyczne,“ są jedynie ostatniém górném piętrem wysokiego budynku, pod którém istniały liczne inne, zalane i pokryte przez falę rozwojową. W obec braku świadectw pisanych, zdawałoby się, że czasy przedhistoryczne zatonęły w pomroce niepowrotnie. Gdzieniegdzie tylko, jeśli zatrzymamy się nad północno-zachodnią Europą, pozostały się pomniki z owéj zamierzchłéj epoki. Mamy na myśli ogromne głazy, ułożone w szczególny sposób, a spotykane w Skandynawii, Anglii, Francyi. Wyobraźnia ludowa otoczyła te „zamki czarodziejek,“ „mieszkania drobnoludków“ wiązanką podań i legend. Na tym to głazie czarodziejka karmiła synka swojego piersią, lecz biédne niemowlę wyśliznęło się matce z rąk i upadło do wody. Wtedy zrozpaczona przyniosła na grób jego w fartuszku kilka ogromnych kamiuszczków. Powstał pomnik... W inném miejscu uczynił to dyabeł, na dowód czego pokazuje ślad jego pazurów. Jeszcze jakiś trzeci jest po dzień dzisiejszy przedmiotem kultu u wieśniaka, już w pierwotnéj swojéj postaci to znowu przybrany godłami chrześciaństwa... Wreszcie i nauka jęła

się zbadania tych szczątków dalekiéj przeszłości przedhistorycznéj. Megality jednakże, jak przystało głazom, milczały, jakkolwiek wołano do nich: „kamienie, przemówcie!“ (słowa Mahéa). Wprawdzie, po wielu latach poszukiwań przemówiły one—w nieznanym języku, w postaci różnych znaków i symbolów na powierzchni. Uczeni wkroczyli na drogę, po któréj szedł lud w swych podaniach. Poczęto stwarzać romans archeologiczny z ofiarami, kapłanami, „kulturę dolmenową.“ Sfinks przedhistoryczny pozostawał jednak nieodgadnięty. Dopiéro badania Boucher de Perthesa otworzyły nowe widnokręgi w odgadnięciu dziejów przedhistorycznych. W r. 1840 wykopał on z pokładów czwartorzędowych rz. Sommy krzemienie, noszące na sobie piętno celowego obrobienia, a znalezione obok szczątków wygasłych organizmów. Spotkał się jednak z silnemi uprzedzeniami śród świata uczonego, który ani słyszéć chciał o tak odległém istnieniu rodu ludzkiego. Nie sprawdzano nawet faktów, lecz z góry odmawiano wiarogodności i śmiano się z naiwności wspomnianego poszukiwacza. Dowody jednakże gromadziły się i zmusiły do uznania swéj doniosłości. Dzisiaj człowiek czwartorzędowy jest powszechnie uznany w nauce. Starożytność jego ostrożni nawet badacze mierzą olbrzymiemi przeciągami czasu. Lyell dowodzi, że dla pogrążenia Walii pod wody morskie, wynurzenia się jéj następnie o 600 metrów po nad obecny poziom i pogrążenia się ponownego do stanu dzisiejszego trzeba było około 220 tysięcy lat; tymczasem człowiek był świadkiem wszystkich tych przejść geologicznych. Według Geikiego, epoka lodowcowa poprzedza naszą na 240 tysięcy lat, istota zaś ludzka istnieje podczas całego tego okresu. Mortillet przyjmuje 230—240 tysięcy lat udowodnionego istnienia człowieka. Naturalnie, wszystkie te liczby są mało wiarogodne i oparte na wyliczeniach nie wzbudzających zaufania; przytaczamy téż je tylko dlatego, że dają wyobrażenie o poglądach na starożytność rodu ludzkiego. Świadectw jego istnienia nagromadziło się mnóstwo. Starczy powiedziéć, że w dolinie jednéj tylko rzeki Sommy, należącéj zresztą do najlepiéj w téj mierze zbadanych zakątków globu ziemskiego, wydobyto do 80,000 krzemieni, wykazujących na sobie celową działalność ręki ludzkiéj. Ciosany krzemień, kości rozłupane, ślady ognisk, resztki uczt, wszystko to pozwoliło bliżéj wejrzéć w daleką przeszłość naszego rodu i ośmieliło nawet niektórych do powiedzenia, że lepiéj znamy dzieje rasy i kultury czwartorzędowca francuskiego, aniżeli przejścia niejednego ludu, o którym wspomina historya pisana, np. Kapadoków (Broca). Powstała oddzielna nauka, paleoetnologia, zajmująca się temi odległemi czasami, a posiadająca od r. 1866 stałe zjazdy międzynarodowe, znane pod nazwą kongresów ar-

cheologii przedhistorycznéj i antropologii. Wykazała ona ostatecznie, że człowiek istniał na globie ziemskim wśród odmiennego, niż dzisiejsze ukształtowania lądów i innéj flory i fauny, oraz środowiska klimatycznego. Wprawdzie pozostały po nim jedynie szczątki techniczno-materyalne, lecz i one, umiejętnie zebrane i z pewną ostrożnością postawione w świetle porównawczo-etnograficzném, pozwalają wydać jakiś sąd przybliżony o jego kulturze umysłowéj i społecznéj. Jeśli w okresie najwcześniejszym znajdujemy narzędzia, ciosane stale z skały okolicznéj, kiedy w późniejszym pochodzą one z dalekiéj okolicy, możemy z wszelkiém prawdopodobieństwem sądzić, że w jednym przypadku tułał się on w szczupłym obrębie terytoryalnym, w drugim zawiązał szersze stosunki wymienne. Rozumié się, w tych wnioskach należy być bardzo powściągliwym. Albowiem jedynie ułamki przeszłości dostają się w nasze ręce, i zawsze można mniemać, że przyszłość wysunie jakiś dowód nieznany, co zmusi do zmiany wypowiedzianych poglądów. Kiedy wypadnie nam mówić o rasie cro-magnońskiéj, podamy charakterystyczne w tym względzie szczegóły. „Nauka ta jest młodą i jak młódź każda przechodzi gorączkę rośnięcia. Zaledwie wzięto jednę miarę, a już podrosła więcéj,“ odzywa się o paleoetnologii jeden z wybitniejszych jéj przedstawicieli...

Lyell obliczał kiedyś, że przestrzeń globu ziemskiego, zbadana geologicznie, równa się zaledwie jednéj czterechsetnéj części powierzchni jego, z téj zaś przestrzeni jedynie bardzo nieznaczny ułamek został poddany poszukiwaniom paleoetnologicznym. Naturalnie, od czasu tych obliczeń sporo zmieniło się w zakresie naszéj wiedzy. Nauka o kopalnym człowieku objęła w swe posiadanie szersze obszary. Ale i dzisiaj przedstawiają one stosunkowo nieznaczną część. Pewne okolice Europy, zwłaszcza zachodnio-północnéj, i niektóre miejscowości Stanów Zjednoczonych mogą jedynie poszczycić się, że miejscowéj przeszłości wydarto większą wiązankę tajemnic przedhistorycznych. Francya należy w téj liczbie do lepiéj zbadanych. „Francya jest zaiste uprzywilejowana. Badania nad pierwotną historyą człowieka, rozpoczęte prawie współcześnie i w Anglii, znalazły u nas wyjątkowe warunki dla swego rozkwitu“, powiada badacz, nad dziełem którego zamierzamy się szczegółowiéj rozszerzyć. Mówimy mianowicie o Cartailhacu i jego ostatniéj książce „Francya przedhistoryczna.“ Korzystając z zawartego tutaj materyału, zamyślamy skreślić całokształt dokonanych w tym kraju zdobyczy paleoetnologicznych. Przedtém jednak wypada rzec słów kilka o samym autorze, oraz o wydanéj przezeń pracy. Cartailhac należy do najpoważniejszych paleoetnologów francuskich. Z pośród dawniejszych prac jego zasługuje na uwagę

rzecz o epoce kamiennéj w podaniach i przesądach ludu (1878 r.), oraz wydrukowane przez trzema laty dzieło o czasach przedhistorycznych w Hiszpanii i Portugalii. Nadto jest on redaktorem cenionych „Przyczynków do historyi pierwotnéj człowieka“ (*Materiaux pour l'histoire primitive et naturelle de l'Homme*); z początkiem zaś obecnego roku wszedł w skład redakcyi nowego czasopisma *Anthropclogie*, które powstało ze zlania się wspomnianych „Przyczynków“, oraz dwóch przeglądów: antropologicznego i etnograficznego. Prace jego odznaczają się sumiennym doborem faktów, umiejętném oświetleniem porównawczém, a przedewszystkiém ostrożnością w wyciąganiu wniosków. Zresztą najlepiéj uczynimy, jeśli mówiąc o nowéj książce przytoczymy własne słowa autora. „Spodziewam się, iż dostatecznie zacieśniłem rolę wyobraźni w opisywaniu tych pomników i szczątków, i w ten sposób uniknąłem wady, o którą tak chętnie oskarża się prahistoryków. Jednakże, proszę nie brać méj myśli w nieodpowiedniém znaczeniu. Uznaję, że bez przedwczesnych uogólnień nigdyby nie można było dojść do rzetelnego uogólnienia. Nauka nie czyniłaby postępów bez hypotez... Lecz, jakąkolwiek byłaby wartość pewnéj teoyi, nie wolno ukrywać jéj charakteru czasowego. Przyznać się do niewiadomości, wydaje mi się najodpowiedniejszym środkiem ku zachęceniu do poszukiwań. Pracownicy, którzy zechcą wejść na nasze pole, będą pewni dobrego żniwa.“ We „Francyi przedhistorycznéj“ Cartailhac rozpatruje jedynie epokę kamienną, t. j. okres czasu do ukazania się kultury opartéj na metalu; w przedmowie obiecuje tom drugi, poświęcony dziejom Francyi bronzowéj i metalicznéj. Sama książka jest napisana nie dla szerokiéj publiczności, ale dla kół szczuplejszych. Z tego powodu autor mówi o wielu rzeczach, jako znanych. Z tego powodu musieliśmy go tu i owdzie uzupełnić. Łatwo téż zrozumiéć, że ilość miejsca, poświęconego oddzielnym epokom historycznym zależy u niego od obfitości istniejącego każdorazowo materyału. Same dane przedhistoryczne Cartailhac rozpatruje w ramach podziału, wyracowanego głównie przez Mortilleta, zachowuje dokonaną przezeń nomenklaturę oddzielnych okresów. Wprowadza zresztą niewielką poprawkę Boulea, co do charakterystyki faunowéj i klimatycznéj dla pojedyńczego okresu. Naturalnie, nie rozciąga on wartości i doniosłości téj próby klasyfikacyjnéj za granice Francyi, gdyż gdzieindziéj bieg mógł ukształtować się inaczéj. W jego rozumieniu posiada on czysto miejscowe znaczenie. To odróżnia go silnie od innych paleoetnologów, którzy gotowi byli okrzyczéć uporządkowanie Mortilleta za posiadające powszechną stosowalność.

Przyjrzyjmy się jednakże samym dziejom przedhistorycznym.

II.

Na międzynarodowym kongresie antropologii i przedhistorycznéj archeologii w Bruksełli (1872 r.), wybrano komisyę dla rozpatrzenia sławnych narzędzi thenayskich, które, gdyby okazały się autentycznemi i przedewszystkiém pochodziły ze wskazywanych pokładów, cofnęłyby starożytność rodu ludzkiego aż do epoki miocenicznéj, t. j. kazałyby ją mierzyć milionami lat. W komisyi znalazł się téż Cartailhac. Podał on głos wtedy w kierunku przychylnym i uznał w krzemieniu piętno celowéj działalności. Rozpoczęło się sławne w paleoetnologii zagadnienie trzeciorzędowca ludzkiego, przyczém sprawa z naukowéj stała się nieco narodową: Francuzi, Włosi, Portugalczycy występowali w obronie, niemieccy i angielscy uczeni przeciw mniemanemu przodkowi. Wkrótce ukazały się inne rzekome odkrycia. Rames znalazł krzemienie w pobliżu Aurillacu, Ribeiro w Portugalii w pokładach miocenicznych; do tego należy dodać wykopaliska włoskie kości ludzkich z kilku miejscowości pliocenicznych. Niektórzy, przyznając w okazach ślad pracy ludzkiéj, a jednocześnie nie mogąc się pogodzić z myślą o tak olbrzymiéj odległości, zamiast człowieka wyprowadzili na scenę „anthropopithecusa“; drudzy, jak Quatrefages, uznali istnienie człowieka bez zastrzeżeń. Obecnie Cartailhac przyjął stanowisko odporne; porzucając tém samém dawniéj wypowiedziane sądy. W obec doniosłości pytania, żąda on mniéj podejrzanych świadectw, lubo przyjmuje zarazem, że trzeciorzędowiec teoretycznie jest koniecznością naukową. „Co tyczy się naszych przodków trzeciorzędowych, nie widać żadnego systematycznego oporu w téj mierze. Umysły są w dostatecznym stopniu przygotowane do przyjęcia prawdy, skądkolwiekby przyszła i jakąbądź byłaby. Ale należy żądać dowodów niewątpliwych.“ Zaznacza on mimochodem, że z większém zaufaniem należy spoglądać na prace paleoetnologów amerykańskich, i wypowiada zdanie, że odkrycia zamorskie dostarczyć zdołają wiele cennych wskazówek.

Cokolwiekbądź jednak możnaby powiedziéć o człowieku z pokładów trzeciorzędowych, istnienie jego w epoce czwartorzędowéj jest faktem stanowczym i stwierdzonym. Zresztą, czasy czwartorzędowe są stosunkowo bardzo krótkim ustępem w życiu naszego globu. Gdzie się one poczynają, niepodobna określić ściśle. Przejście jest powolne, zmiany w klimacie i w faunie nastają nieznacznie i dopiéro otrzymujemy wybitną różnicę w porównaniu z okresem trzeciorzędowym, kiedy już drobne przekształcenia doszły do pewnych większych rozmiarów.

Zresztą, nie należy mniemać, aby czasy czwartorzędowe przedstawiały jakiś wygląd jednolity. Przeciwnie, mamy tutaj do czynienia często z silnemi wahaniami zarówno klimatycznemi, jak w zakresie flory lub fauny. Epoka plioceniczna w ostatnich swych chwilach upływa wśród obfitych opadów atmosferycznych i gorącego klimatu. Fauna jest południowa, jak o tém świadczą charakterystyczne zwierzęta (*Elephas meridionalis* i *Rhinoceros leptorhinus*). Dzięki obfitéj wilgoci lodowce wzrastają w górach. Atoli, w miarę jak wkraczamy w czasy czwartorzędowe, klimat staje się umiarkowańszym. Jednocześnie można zauważyć ślady obniżenia się lądu europejskiego. Olbrzymie morze rozlewa się od Północy, zajmując Rosyę, Polskę i równiny niemieckie. Sahara jest prawdopodobnie wilgotniejszą, niż obecnie. W powietrzu pojawia się mnóstwo wilgoci, różnice temperatury są słabsze i pory roku występują z mniejszą wyrazistością, lodowce potężnieją. Wskutek obniżenia lądów, rzeki osadzają pokłady znane pod nazwą aluwialnych. W faunie widzimy jeszcze zwierzęta południowe, lecz inne od gatunków plioceniczych (*Elephas antiquus*, *Rhinoceros Merckii*). Stosunki przypominają obecną Nowo-Zelandyę, gdzie u podnóża olbrzymich, a nisko spuszczających się lodowców pnie się bujna roślinność. Anglia jest jeszcze połączona z lądem. Lecz ewolucya geologiczno-klimatyczna podąża daléj: obniżenie ustaje i poczyna się ruch w kierunku odwrotnym. Rzeki żłobią łożyska w nagromadzonych przez siebie napływach. Lodowce wzrastają jeszcze bardziéj dzięki wilgoci i słabym wahaniom obniżonéj temperatury, i wreszcie dochodzą do potwornych rozmiarów. Lodowiec Rodanu, długości obecnie 8 kilometrowéj, ciągnął się wtedy na przestrzeni 400, dosięgając okolic Lyonu i wznosząc się 600 metrów nad dzisiejszy poziom jez. Genewskiego. Skandynawia zamieniła się w jedno pole lodowe i t. d. Zamiast dawnéj fauny ukazują się gatunki, lepiéj przystosowane do środowiska. Są to słonie i nosorożce pokryte szerścą: *Elephas primigenius* (mamut) i *Rhinoceros tichorhinus*. Z wiekami wilgoć jednakże poczyna zmniejszać się powoli, różnice zaś w temperaturze oddzielnych pór roku wzrastać. Zima jest surowsza, lato skwarniejsze. Lodowce się zmniejszają, témbardziéj że dzięki słabszemu dopływowi opadów atmosferycznych zbywa im na pokarmie. Liczne trzody turów, żubrów, koni przebiegają Europę zachodnią. Lecz klimat pod nieustającym wpływem tych samych czynników (mniejsza skąd pochodzących) staje się coraz suchszy, a zarazem chłodniejszy. Płaszczyzny Europy zamieniają się w stepy z klimatem syberyjskim. Krańcowa zima następuje po upałach letnich, tak iż obok renifera ukazują się latem drapieżniki południowe. Renifer staje się charakterystyczném zwierzęciem epoki, ale same lo-

dowce, dzięki silnym rocznym wahaniom temperatury oraz suchości powietrza, maleją szybko. Anglia zostaje oddzielona od lądu; zmiana prądów atlantyckich sprowadza znowu większą obfitość opadów, klimat łagodnieje, mamut a późniéj renifer znikają. Stoimy u kresu epoki czwartorzędowéj i wkraczamy w obecną.

Wdaliśmy się w drobiazgowe przedstawienie dziejów klimatu czwartorzędowego, jest to jednak rzecz konieczna dla zrozumienia dziejów człowieka. Zbyteczna nadmieniać, że te różne przejścia potrzebowały bardzo długich okresów czasu. Byt ówczesnéj ludzkości kształtuje się naturalnie do tych zewnętrznych warunków. Lecz przez całą epokę czwartorzędową nie wybiega on po za krzemień ciosany i z tego powodu cały ów okres przedhistoryczny zowią paleolitycznym. Jak daleko sięgają w przeszłość dowody istnienia ludzkiego, niepodobna wyrzec, ponieważ w wielu razach braknie wszelkich środków porównywania jednych „stacyi“ z innemi. Znajdujemy jednak już liczne ślady ludzkie (w postaci krzemiennego narzędzia) w rzecznych pokładach napływowych, które jakeśmy widzieli, powstały w pierwszych chwilach czwartorzędowych, kiedy dzięki obniżeniu się lądu, rzeki odkładały warstwę mułu za warstwą. Człowiek istnieje obok wygasłych zwierząt chwili ówczesnéj, mianowicie widzimy wraz z nim gatunki *Elephas antiquus* i *Rhinoceros Merckii*, o których wiemy, iż były przystosowane do klimatu umiarkowanie ciepłego. Jako inny dowód, iż istota ludzka tułała się podczas rozwoju lodowców, można przytoczyć wyniki poszukiwań Pencka i Boule'a, mianowicie, że różne miejsca, gdzie się napotykają dawniejsze ślady jego bytności, są właśnie obszarami, co były wolne od przykrycia lodowego, kiedy tymczasem w przestrzeniach pokrytych lodem, napróżno poszukiwalibyśmy czegoś podobnego. W miarę zbliżania się ku dzisiejszym czasom, zabytki pozostawione przez naszego przodka, stają się liczniejsze. Probowano wprowadzić jakieś uporządkowanie chronologiczne w tym materyale. Cartailhac przyjmuje podział Mortilleta epoki paleolitycznéj na cztery okresy: chelleński, moustierski, solutreński i madeleinski, nazwane od głównych stacyi. Pierwszy przypada na chwilę, kiedy człowiek tułał się wzdłuż rzek i zostawiał swoje narzędzia w wytwarzających się pokładach. Moustierski zléwa się z epoko lodowcową, istota ludzka ukazuje się w jaskiniach. Dwie pozostałe przypadają na okres wzrastającéj suchości i zimna, życie jaskiniowe dosięga najwyższego rozwoju, skutkiem czego samemu człowiekowi dano nazwę jaskiniowca. Każdy okres posiada właściwe sobie piętno techniczne, występujące na jaw w sposobie i rozmaitości obrobienia krzemieni. Zresztą wkrótce do tego wrócimy. Długość każdego okresu była bardzo różna i zda-

je się tém większa, im daléj posuwamy się w przeszłość [1]). Widocznném jest, że postęp szedł tém wolniéj, im kultura była niższa. A podąża on nieustannie podczas całéj epoki paleolitycznéj.

Jeśli zatrzymamy się nad szczątkami okresu chelleńskiego, będziemy mieli sprawę jedynie z prostem ciosaniem narzędzia, zawsze mniéj więcéj tego samego typu (migdałokształtnéj formy). Naturalnie, można mniemać, że nie sam krzemień zapełniał arsenały ówczesnych narzędzi, i że istniały inne lubo nie dochowały się wskutek mniejszéj trwałości materyału. W każdym razie, jeśli wolno byłoby zawierzyć faktom, paleoetnologia miałaby bezpośrednie dowody tego w kawałku obrobionego drzewa i resztkach koszyka. Cokolwiek jednak możnaby było powiedziéć o kulturze człowieka chelleńskiego, jedno nie ulega wątpliwości, mianowicie, że mamy przed sobą istotę rozumną z nagromadzonym już zasobem doświadczenia. Najdawniejsze np. narzędzia wykazują, że człowiek z pośród skał okolicznych wybiérał zawsze najodpowiedniejszą dla swoich zamiarów (t. j. najtwardszą) i umiał jéj użyć w odpowiedni sposób. Ta jedna okoliczność starczyłaby, abyśmy posunęli się jeszcze o krok i powiedzieli, że dla nabycia tego doświadczenia, potrzeba było uprzednio dostatecznie długich ćwiczeń. Zresztą Cartailhac idzie jeszcze daléj, gotów jest bowiem twierdzić, że chelleńczyk stał wyżéj, niż współczesne nam dzikie ludy, a to na téj zasadzie, że jakiejś Australii, tak ubogiéj w zwierzynę i źródła pożywienia, niepodobna przenigdy porównywać z czwartorzędową Francyą, gdzie dziki myśliwiec posiadał obfite pole utrzymania... Wychodząc z tego pierwotnego stanu, tak jednostajnego pod względem pozostawionych narzędzi, widzimy przed sobą nieustające rozszerzanie widnokręgów kultury. Rzecz ciekawa, że w całéj niemal Francyi, w bardzo odmiennych miejscowościach, podąża ono jednolicie i równolegle; zaledwie wschód i południowschód opóźniają się w okresie madeleińskim, nie znaczy to jednak, aby tak działo się w rzeczy saméj; raczéj można twierdzić z wszelkiém prawdopodobieństwem, że istniała dość silna rozmaitość w każdéj pojedyńczéj chwili. Atoli podobnie jak różnice pomiędzy dalekiemi przedmiotami zostają dzięki odległości zgładzone, tak samo mogło się zdarzyć w obchodzącym nas wypadku w następstwie olbrzymich przeciągów czasu. Sam postęp uwidocznia się w lepszém opracowaniu materyi krzemiennéj i w zróżniczkowaniu pierwotnego jednolitego narzędzia (tak zwanéj siekierki) na mnóstwo

---

[1]) Mortillet chciał oznaczyć względną długość każdego. Stanowiły one odpowiednio 35%, 45%, 5% i 15% epoki paleolitycznéj, któréj cała długość wynosiła według niego około 200 tys. lat. Są to jednak obliczenia bardzo niepewne.

form dalszych. Ukazują się krzemienie najrozmaitszego przeznaczenia: skrobaczki, przedziurawiacze, piłki i t. d. Atoli w okresie moustierskim technika nie wybiega jeszcze po za surowiec krzemienny, przynajmniéj nie pozostało narzędzi z innego materyału. Dopiéro podczas solutreńskiego obok głazu poczyna być używaną kość, która jako materyał rozwielmożnia się coraz bardziéj i dosięga szczytu w czasach madeleńskich. Jednocześnie można dostrzec pewne uwstecznienie w obrabianiu krzemienia, co jest rzeczą naturalną wobec wzrostu użycia rogów i kości—fakt, przemilczany zresztą w „Francyi przedhistorycznéj". Między innemi renifer stanowi nieprzebrane źródło materyału narzędziowego. Ukazują się najrozmaitsze oręże, i coraz bardziéj różniczkują. Pojawiają się harpuny, ości, strzały. Wreszcie stajemy oko w oko ze szczególnym a zadziwiającym objawem, mianowicie niezwykłym rozkwitem sztuki rysunkowéj i rzeźbiarskiéj. Człowiek z epoki renifera był istotnym artystą, zręcznym w wykonaniu pomysłu, z silném poczuciem artystyczném tak, iż tego uzdolnienia mogą mu pozazdrościć niektóre ludy daleko wyżéj posunięte pod względem kultury. Posiadamy już mnóstwo okazów ówczesnéj sztuki. Zwykle są to rysunki zwierząt. Niektóre, jak np. słynny odłamek kości przedstawiający mamuta w biegu, odznaczają się nader zręczném uchwyceniem rzeczywistości, tak, że gdyby pochodzenie nie było stwierdzone z całą ścisłością, możnaby powątpiewać, czy jest to dzieło dzikiego myśliwca. Renifery, konie są bardzo liczne na rzeźbie i na rysunku. Natomiast człowiek rzadko bywa przedstawiany. Między innemi znaleziono kawałek kości, gdzie oglądamy nagą a brzemienną kobiétę, tratowaną nogami renifera; można téż wspomniéć o innym, na którym widzimy myśliwego z oszczepem w ręku. Istota ludzka jest wyobrażana zawsze nago, jakkolwiek częste znajdowanie igły dowodzi, że odzież skórzana, jak u Eskimów, była w użyciu. Reniferowiec uczuwał istotną namiętność artystyczną. Znajdujemy jasne dowody, że artysta czwartorzędowy ćwiczył się w umiejętności dobrego rysunku; istnieje np. kościana blaszka, pokryta cała rysunkami konia i jelenia i wykazująca, że uczono się rzetelnego oddania kształtów zwierzęcych. I rzecz godna uwagi, że z upływem epoki reniferowéj i wkroczeniem w neolityczną, stojącą bezporównania wyżéj pod względem kultury, wszystkie te objawy artystyczne giną. Wprawdzie, wolno mniemać, że i typ antropologiczny uległ zmianie. W ten sposób uzdolnienia powyższe byłyby niezależne od stopnia kultury, lecz natomiast związane silnie z rasowością. Należy téż pamiętać, że ostatnie z okazów sztuki ówczesnéj sięgają epoki odleglejszéj aniżeli najstarożytniejsze świadectwa cywilizacyjne Egiptu i Azyi. Zresztą postęp techniczny, który uwidocznił się w zróżniczkowaniu narzędzia i użyciu nowego ma-

teryału, występuje i w innéj postaci. Kiedy np. w okresie chelleńskim krzemień jest zawsze miejscowego pochodzenia, tymczasem w madaleńskim mamy często do czynienia z materyałem, pochodzącym z dalekich okolic. Równie z daleka przybyły niektóre muszle, służące do ozdoby. Fakty te świadczyłyby, że człowiek albo odbywał dalekie wędrówki, lub też znajdował się w wymiennych stosunkach z dalszém otoczeniem społeczno-ludzkiém. Natomiast w całym okresie paleolitycznym nie znachodzimy żadnych śladów garncarstwa i możemy mniemać, że sztuka ta była nieznana.

Wszystko wskazuje, że człowiek paleolityczny nie oswoił jeszcze psa i że w dalszym ciągu nie doszedł do posiadania żadnych zwierząt domowych. Przez wszystkie epoki ówczesne utrzymuje się on z myśliwstwa. O źródłach jego pokarmu w dwóch pierwotnych okresach, cheleńskim i moustierskim, nie jesteśmy w stanie nic wyrzec. Sprawa staje się dopiéro wtedy pewniejszą, kiedy przechodzimy do dalszych czasów i rozpatrujemy się w siedzibach jaskiniowych solutreńczyka i madeńczyka. Znajdujemy tutaj bogaty materyał faktyczny w pozostałych ogniskach, rozłupanych kościach dla wydobycia szpiku i t. d. Byt jaskiniowca występuje w drobiazgowém odtworzeniu. Starczy np. zatrzymać się nad „wzgórzami“ w Solutré. U podnóża urwiska ciągnie się coś w rodzaju wzniesienia. Są to ślady pobytu ludzkiego, przysypane rumowiskami skały. Podstawę stanowi wał 100 metrowy, wysoki 3 a szeroki 4 metry, złożony prawie wyłącznie z kości konia. Obliczono, że musi znajdować się tutaj do 40,000 szkieletów. Kości pomieszane w bezładzie, niektóre są rozłupane dla dobycia szpiku, inne nadpalone, jeszcze inne ze znakami uderzeń. Pomiędzy tém cmentarzyskiem końskiém widnieją liczne ślady ognisk, gdzie czaszki zwierzęce służyły za siedzenie, lubo częściéj używano głazu. Wszystko dowodzi, że człowiek żywił się mięsem końskiém. Prawdopodobnie zaganiał stada dzikie ku urwisku i zmuszał do rzucania się na dół, a następnie dobijał u podnóża stały pokaleczone i porozbijane osobniki... W dobie madeleńskiéj, renifer stanowił główne źródło pożywienia. Jak wiadomo, jest to zwierzę koczownicze; prawdopodobnie i człowiek musiał odpowiednio zmieniać miejsce swego pobytu. Jaskinie i występy skalne były ulubionem jego siedliskiem. W niektórych pieczarach pozostawił po sobie warstwę odpadków 16 metrowéj grubości (w okolicach Mentony). W porównaniu z innemi dowodami, osteologiczne szczątki samego człowieka są bardzo a bardzo nieliczne. Wśród niezmierzonych przeciągów czasu giną one jak kropla wody w morzu. Zwłaszcza rzadkie okazy posiadamy z okresów wcześniejszych. Wiemy, że wszystkie świadectwa pierwotnéj doby pochodzą

z napływowych pokładów rzecznych. Być może, że człowiek przeważnie tułał się w porzeczu, nie użytkując jeszcze z jaskiń, które były zajęte przez wielkich drapieżców zwierzęcych. Rzecz zrozumiała, że i same szczątki ludzkie spotykane bywają jedynie wśród tych pokładów. Jednakże dla każdego pojedyńczego przypadku nastręcza się pytanie, czy ostatecznie należy im przypisać taką starożytność, jaka wypływałaby z głębokości znalezienia. Warunki są niekiedy tego rodzaju, iż zgoła niepodobna ręczyć, czy dany okaz nie znalazł się w swojém miejscu, wskutek późniejszego przemieszczenia warstw. Co więcéj, prawie wszystkie te świadectwa wydobyto w nieobecności ludzi mogących wydać sąd należyty; zwykle trzeba zawierzyć sprawozdaniu robotnika, lub innych, równie mało w tym razie zasługujących na zaufanie osób. Możnaby np. wymienić sławną czaszkę z Canstadtu, którą jedni odsądzają od wszelkiego znaczenia, wówczas, gdy inni opierają na niéj wywody wielkiéj doniosłości. Z pośród francuskich najwięcéj na wiarę zasługują prawdopodobnie szczątki z okolic Puy-en-Velay, znalezione pod pokładami lawy. Okoliczności w jakich je spotkano dowodzą, że człowiek padł ofiarą wybuchu sąsiedniego wulkanu. Atoli wszystkie zdobycze osteologiczne z pokładów napływowych, jakkolwiek są bardzo ważne dla właściwéj antropologii, posiadają stosunkowo małe znaczenie dla paleoetnologów. Są to fakty odrębne od innych objawów ówczesnego życia i nie dające z tego powodu najmniejszego wyobrażenia o zwyczajach i kulturze. Atoli inny widok przedstawia się oczom naszym, kiedy wydobędziemy się z czasów chelleńskich. Już w moustierskich poczynamy znajdować szczątki człowieka w połączeniu z lepiéj ułożonemi dowodami starożytności i kultury (jaskinie Naulette w Belgii, Arcy-sur-Cure i Monseron we Francyi). Z nastaniem epoki renifera świadectwa mnożą się i nabiérają coraz większego znaczenia, ze względu na udzielane nam wskazówki. Zamiast przypadkowo rzuconych części szkieletu, poczynamy spotykać celowo grzebane ciała z odpowiedniemi przedmiotami, pozwalającemi na snucie bardzo ważnych wniosków obyczajowych. Wprawdzie wiele okazów jest niepewnéj starożytności. Mówiliśmy już o śmietniskach końskich w Solutré. Otóż, na nich ciągnie się cmentarzysko ludzkie. Mamy tutaj groby rzymskie, oraz neolityczne. Niektórzy dowodzą, że między niemi znajdują się należące do jaskiniowców paleolitycznych. Rzecz to jednak wątpliwa. Ale nawet po odtrąceniu takich niepewnych śladów, zostaje się jeszcze spora liczba innych. Można np. wskazać przedewszystkiém bogate łupy paleoetnologiczne z pieczar mentońskich, gdzie znaleziono do 7 szkieletów ludzkich w pogrzebowym rynsztunku. Wprawdzie kształty narzędzi należą do okresu moustierskiego, lecz

wolno sądzić, że mamy tutaj do czynienia z pewném opóźnieniem kultury i że mentończyk był współczesny reniferowcom innych okolic Francyi i należał do téj saméj rasy antropologicznéj. Sposób ułożenia trupów wskazuje, że grzebano je po odarciu z ciała, lecz z pozostawieniem tkanki dokoła stawów. Szkielet odziewano skórą, kładziono ozdoby z muszli, posypywano proszkiem czerwonym i przykrywano lekkim całunem ziemi i popiołów. Trupa zginano jak gdyby do snu. Pokrewny sposób grzebania oglądamy i w innych stacyach jaskiniowych solutreńskich i madeleńskich. Zwłaszcza liczne świadectwa tego rodzaju znaleziono w dolinie Vezery i sąsiednich terytoryach. Człowiek zostawił tutaj pod występami skał kilkumetrowéj wysokości wzgórza z odpadków, popiołu i t. d. W jaskini Cro-Magnońskiéj znaleziono kilka szkieletów, po jednym w Laugerie-Basse i Raymonden, dwa w Namur (Belgia). I tutaj trupa odzierano z ciała. W tym celu używano narzędzi ostrych, które pozostawiały po sobie ślady. Z tego powodu posądzono jaskiniowców o ludożerstwo. Cartailhac jednak odrzuca to przypuszczenie, jako niewytrzymujące krytyki. Zwłaszcza licznie występują niektóre części szkieletu, np. dolna szczęka i czaszka, co znowu spowodowało innych do twierdzenia, że jak czerwonoskóry zdziéra skalp z wroga, podobnie człowiek ówczesny nosił głowę nieprzyjacielską, niby oznakę zaszczytną... Wspomniéć téż należy, że autor „Francyi przedhistorycznéj“ wypowiada przypuszczenie, iż jaskiniowcy chowali nieboszczyków w pieczarach jedynie wyjątkowo, a najczęściéj postępowali jak obecnie dzicy, którzy wystawiają trupy na skałach, lub zawieszają na drzewach.

(D. n.) *Lud. Krz.*





STOWARZYSZENIA CZESKIE.

Duch stowarzyszenia i współdziałanie społeczne w różnych dziedzinach kultury, są w Czechach szeroko rozpowszechnione; dziś mają Czesi już przeszło 2,500 rozmaitych towarzystw ogólnych i specyalnych.

Takie zorganizowanie sił narodu jest potężną bronią w ciężkiéj walce o byt z żywiołami obcemi, szczególniéj z zuchwałym naporem germańskim. Wszystkie stowarzyszenia czeskie podzielić można na grupy większe a mianowicie: na związki naukowe, artystyczno-literackie, dobroczynne, szkolne, handlowe, mające na celu zabawy, rozrywkę, ćwiczenia gimnastyczne i t. p. Wszystkie zaś owe towarzystwa mają w gruncie jeden wielki cel, jedną myśl jedno hasło: miłość ojczyzny i ludu, współdziałanie wszystkiemi siłami dla dobra ich i pomyślności. Są one téż wszystkie wysoce patryotyczne.

Wpośród towarzystw naukowych najdawniejszém jest tak zwana „*Spolecznost czeskeho musea*“ z oddziałami: historycznym, numizmatycznym, archeologicznym i przyrodniczym; posiada ono, jak wiadomo, ogromną i wielce bogatą bibliotekę, muzeum i gabinety wszelkich gałęzi wiedzy. Towarzystwo to w pierwszéj połowie bieżącego wieku było główném ogniskiem umysłowego życia narodu czeskiego; przygotowało grunt dla wszechnicy czeskiéj, już funkcyonującéj, i dla akademii nauk mającéj się wkrótce urządzić. Obok instytucyi tych ogólnego szerszego zakroju, działają inne bardziéj specyalne, a mianowicie: „*Historicka jednota*“ któréj prezesem jest znakomity dziejopis W. Tomek, „*Jednota czeskych filologu*“ pod przewodnictwém dra Kwiczały, „*Pravnicka jednota*“ i „*Vyszehrad*“ dwa towarzystwa prawnicze, „*Jednota czeskych matematiku*“, *Przirodopisny klub*“ dla badań przyrodniczych, wreszcie „*Spolek czeskich lekarzu*“ i wiele innych.

Na czele towarzystw artystyczno-literackich stoi w Pradze założona w r. 1863 „*Umielecka beseda*“. Ma ona trzy oddziały: literacki, muzyczny i artystyczny (do którego należą malarze, architekci i rzeźbiarze). Celem jéj popieranie i rozpowszechnianie dzieł sztuki i płodów literatury czeskiéj. Beseda daje corocznie premia artystyczne, urządza wystawy, koncerty i odczyty publiczne. Członków ma około 2,000, opłata roczna 5 florenów. Uczestnicy mają także udział w losowaniu dzieł sztuki nabytych przez towarzystwo. Prezesem jest dr. J. Strakaty.

„*Slavia*“, towarzystwo literackie, ma na celu rozpowszechnianie pośród Czechów znajomości języków, literatur i stosunków innych narodów słowiańskich. Instytucya ta ma wielką bibliotekę i czytelnię gazet, wydaje podręczniki porównawcze do nauki języków i narzeczy słowiańskich, urządza wspólne wykłady i praktyczne kursy tych języków. Towarzystwo to niedawno wzmogło się bardzo po zamknięciu przez rząd austryacki stowarzyszenia uniwersyteckiego „Czytelni akademickiéj“, któréj członkowie zapisali się wszyscy do „*Slavii*“. Posiada ona obecnie przeszło 1,200 uczestników i bardzo znaczne dochody.

„*Matice czeska*“, stowarzyszenie przy Muzeum narodowém, ma na celu doskonalenie języka ojczystego, wydaje książki naukowe i „*Czasopis musea kralostvi czeskeho*“. Drugie towarzystwo pod nazwą podobną „*Matice lidu*“ ma za zadanie szerzenie oświaty; wydaje corocznie sześć tomików treści popularnéj w przeszło 30,000 egzemplarzach. Członkowie płacą rocznie 1 floren.

„*Spolek czeskych żurnalistu Svatobor*“ ma na celu wzajemną pomoc moralną i materyalną literatom i dziennikarzom, oraz ich wdowom i rodzinom. Prezesem jego L. Rygier, a działalność bardzo rozległa.

„*Matice hudebne*“ jest towarzystwem muzyczném. Urządza koncerty, wydaje drukiem utwory kompozytorów czeskich, rozdaje odpowiednie premia członkom, którzy opłacają rocznie tylko po 3 floreny.

„*Krasoumna jednota*“ utrzymuje konserwatoryum i galeryą obrazów pod nazwą *Rudolfinum*.

Beletryści czescy mają swój związek specyalny pod nazwą „Maj“.

Zadaniem towarzystw szkolnych czeskich jest popierać wszelkiego rodzaju uczelnie narodowe i zbierać ofiary dla kształcenia dzieci czeskich. Stowarzyszenia takie istnieją w każdém niemal mieście i miasteczku. Działalność ich ogniskuje się w instytucyi centralnéj tego rodzaju, założonéj w Pradze w r. 1881 pod nazwą „*Ustrzedni matice szkolska*“, któréj główném zadaniem jest przeciwdziałać

szkodliwemu wpływowi germanizacyjnego „*Schulvereinu*“. Jak wiadomo owo stowarzyszenie niemieckie zakłada i wspiéra setki szkół niemieckich w łonie ziem słowiańskich, aby przez nauczanie bezpłatne przyciągać i germanizować dzieci biednych rodziców. Czesi pośpieszyli téż z zawiązaniem swéj „*Macierzy szkolnéj*“, która wybawiła już tysiące dziatek od wynarodowienia. Kosztem jéj w roku zeszłym istniało 2 gimnazya klasyczne, 28 progimnazyów pięcio i sześcio-klasowych, 32 ogródki dziecięce, a 44 progimnazya otrzymywały zapomogi. Dochód ogólny Macierzy téj w roku ubiegłym wynosił 220,170 florenów, rozchody 223,610; deficyt pokryty został z kapitału zapasowego, który przenosi już 260,000 flor. Dochody Macierzy powstają z ofiar i darów, z rozprzedaży kalendarza „Macierzy szkolnéj“, papieru listowego, kopert i biletów wizytowych. Najhojniejszemi dla Macierzy są czescy wieśniacy, rzemieślnicy i drobni przekupnie, natomiast arystokracya krajowa trzyma się zdala od popierania téj świętéj sprawy narodowéj.

Przewodniczącym Macierzy szkolnéj jest L. Rygier, mimo to stowarzyszenie nie ma żadnéj barwy stronniczéj; drogiém jest wszystkim Czechom zarówno, gdziekolwiek się znajdują, wiele téż darów dla Macierzy nadchodzi nawet z Ameryki, od wychodźców tamecznych.

T o w a r z y s t w a n a u c z y c i e l s k i e czyli pedagogiczne istnieją również we wszystkich miastach okręgowych, mają jednak organizacyę i zogniskowane są w centralném towarzystwie nauczycieli czeskich t. zw. „*Ustrzedni jednota czeskych uczitelu*“.

S t o w a r z y s z e ń a k a d e m i c k i c h czyli studenckich w saméj Pradze jest 14, w różnych miastach Czech 7, na Morawie 11, ogółem 32. Główne takie stowarzyszenie „*Akademicky cztenarsky spolek*“, posiadające własny dom, wielką bibliotekę i czytelnię gazet, zostało zamknięte przez rząd austryacki w r. zeszłym za sympatye francuskie. Związek ten ogniskował w sobie całe życie umysłowe i narodowe studentów czeskich, a członkowie jego po zamknięciu przez rząd, wstąpili gromadnie, jak to już wyżéj wspomniano, do wielkiego stowarzyszenia literackiego „*Slavia*“.

Istnieje też w Czechach mnóstwo towarzystw specyalnych technicznych, ekonomicznych i politycznych; te ostatnie, prócz właściwych dążeń stronnictw rozmaitych, mają na celu również powszechne przeciwdziałanie germanizacyi kraju.

Wśród mnóstwa towarzystw rolniczo-wiejskich, rzemieślniczych, śpiewackich, na szczególną uwagę zasługują s t o w a r z y s z e n i a k o b i e c e i g i m n a s t y c z n e.

Główne „Towarzystwo kobiéce“ w Pradze zostaje pod przewo-

dnictwem pani Emilii Bartowéj. Utrzymuje ono swoim kosztem wielką szkołę żeńską przemysłową i handlową, do któréj uczęszcza corocznie około 600 uczennic. Szkoła ma pięć oddziałów specyalnych. W miesiącu maju corocznie szkoła ta urządza wystawę robót kobiecych i posiada własny magazyn. Towarzystwo wydaje czasopismo „*Żenske listy*“ pod redakcyą Elżbiéty Krasnohorskiéj.

Ze znaczniejszych stowarzyszeń kobiecych na uwagę zasługują jeszcze:

Tow. „*Ochrana*“, którego zadaniem jest opieka nad biednemi dziewczętami i sierotami; utrzymuje ono dwa pensyonaty. Towarzystwo kobiéce w Litomyślu, założone w r. 1884; daléj takież towarzystwa w Pilznie, Chrudimie, towarzystwo „Libusza“ w Pacowie, tow. imienia „Karoliny Svietly“ w Libercu, tow. śpiewu i dobroczynności „Dobromila“ w Przibramie, panieńskie tow. śpiewackie „Ludmiła“ w Pardubicach, damski komitet centralny „Macierzy szkolnéj“ w Beneszowie i takiż komitet „*Narod. Jednoty Poszumavske*“ w Bechinie.

O wszystkich tych stowarzyszeniach kobiecych, ich działalności i stanie finansowym podaje szczegółowe wiadomości najpiękniejszy z czeskich roczników, kobiecy „*Kalendar pani a divek czeskych*“ wydawany nakładem F. B. Batowca w Pradze (cena w oprawie 1 flor. 20 kr., z przesyłką 1 flor. 80 kr.).

Dla rozwoju kultury Czech i podniesienia dzielności narodu w walce o byt z wrogiemi żywiołami obcoplemiennemi, ogromnéj wagi są również towarzystwa gimnastyczne, czyli tak zwanych sokołów czeskich. Założycielami pierwszych takich związków w siódmym dziesiątku bież. wieku byli Tyrsz i Figner. W marcu 1889 r. wszystkie stowarzyszenia sokole połączyły się w jeden związek, przez co wstąpiły na nową drogę rozwoju. „Sokoły“ czeskie odznaczyły się już zaszczytnie na konkursie podczas ostatniéj wystawy paryskiéj, gdzie zdobyły trzy nagrody międzynarodowe. Prezesem „Sokoła“ praskiego jest obecnie Podlipny.

W roku zeszłym w Czechach i na Morawie było 184 towarzystw sokolich, które dzieliły się na 11 „*żup*“ czyli okręgów z osobnemi nazwami (żupa Morawska, Fignerowa i t. p.); do każdéj należało 6 do 30 stowarzyszeń. Prócz tego istnieje kilkanaście towarzystw nienależących do związku ogólnego, czeskich 10, morawskich 5.

Własne domy mają następujące towarzystwa sokole: w Pradze, Kolinie, Cesk. Brodzie, Młod. Bolesławiu, Kutnéj-horze, Kral. Hradcu, Wys. Mieście, Werszowicach, Rudniszczu i Karlinie. W 169 stowarzyszeniach, które przystąpiły do organizacyi okręgowéj, było w r. zeszłym 18,415 członków, w tém 4,702 gimnastów rzeczywistych.

Opłata od członków gimnastów wynosi rocznie 6 flor., od zwyczajnych 10 flor.

Towarzystwa sokole prócz istotnéj korzyści humanitarnéj, właściwéj każdéj instytucyi pożytku ogólnego, oprócz kształcenia fizycznego, osiąganego przez systematyczne ćwiczenia, oddały narodowi czeskiemu jeszcze inną ogromną usługę. Historya rozwoju towarzystw sokolich ściśle się wiążę z dziejami świadomości narodowéj, kulturą czeską i odrodzeniem politycznėm. Zachodnio-germańska kultura zapuściła głęboko korzenie w życie Słowian zachodnich, osłabiła w nich silnie ducha społecznego i wspólności działania, jaki przejawiał się w świetnych postępach narodu czeskiego i jego walkach do bitwy pod Białą-górą, a posiada natomiast duch egoizmu kastowego i niesnasek rozlicznych. Lecz oto występują stowarzyszenia sokole, śpiewackie i rozmaite inne, wskazujące wyższe idealne, a każdemu dostępne cele i rozpoczynają wielkie dzieło zmartwychwstania narodowego. Czech przyzwyczaja się coraz bardziéj poświęcać swój czas, swoje trudy dla pożytku społecznego, przywyka stawiać dobro narodu wyżéj nad korzyść osobistą. Hasło sokole głosi: w sercu ojczyzna, w myśli śmiałość, w ręku siła (*v srdci vlast*, *v mysli smelost*, *v pažich sila*). Przyznać trzeba, że Czesi w tym kierunku osiągnęli już olbrzymie korzyści.

A ze wszech miar pocieszającém jest, że idea ta sokołów zaczyna sobie torować drogę i u innych narodów słowiańskich. Na półwyspie Bałkańskim np. towarzystwom sokolim otwiéra się takież samo zadanie, jakie osiągnęły one w Czechach. Jestto iście wielka sprawa cywilizacyjna.

Pragnący bliżéj poznajomić się z rozwojem czeskich towarzystw sokolich i ich specyalną literaturą, znajdą odpowiednie dane w następujących publikacyach:

„*Sbornik sokolsky*“, wydany nakładem A. W. Prahra w Kolinie, za lata ubiegłe od r. 1884 (po kop. 50).

„*Pamatnik Sokola Prażskego*“ wydany z okoliczności 20-éj rocznicy towarzystwa (w 4-ce, str. 340), cena w oprawie 2 flor. z przesyłką 3 flor., u Ferd. Tallowica ml. Praha, Tyn.

„*Sokol*“ czasopismo miesięczne, wydawane rok 16-y, pod redakcyą U. Szrepnera, przedpłata 2 flor.

W Ameryce wychodzi pismo „*Sokol americky*“.

Czesi bardziéj niż inni Słowianie rozproszyli się przez wychodźtwo po różnych częściach świata, obcych państwach i krajach; lecz jako naród wysoce cywilizowany wszędzie zachowują zmysł społeczny

i utrzymują stały związek z krajem ojczystym, a nawet nadsyłają doń hojne ofiary na popieranie szkół, nauki, literatury i sztuki.

W samej Ameryce jest przeszło 100 towarzystw czeskich dobroczynności, gimnastycznych, śpiewackich i t. p. Wiadomości o nich dość jednak skąpo. W innych krajach Europy istnieje również sporo stowarzyszeń czeskich. W Warszawie mieli Czesi swoją „Czesko-słowiańską czytelnię", w Petersburgu mają „Towarzystwo wzajemnej pomocy", podobneż towarzystwa w Belgradzie, Wiedniu, Berlinie, Lipsku, Frankfurcie, Londynie i t. d.

S. C.





DAWNE MIESZCZAŃSTWO POLSKIE.



Władysław Łoziński: „Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII wieku.- (Lwów starożytny, II), 8-vo, str. 307. Z 73 rycinami w tekście. We Lwowie, 1890.

Rzadko spotkać się u nas w dzisiejszych czasach z książką wydaną tak wytwornie, jak obecna. Minął już okres wielkich mecenasów nauk, a nie każdy może się zdobyć na wydanie dzieła swoim nakładem; już w tém wielka zasługa, jeżeli, kto może, nie szczędzi kosztów na drukowanie i bogate ilustrowanie książek, jak to czyni p. Ł. Leży obecnie przed nami tom drugi wspaniałego cyklu, w jakim autor przedstawić nam zamyślił obraz „Lwowa starożytnego.“ W pierwszym mówił nam o złotnictwie lwowskiém, w obecnym opowiada, jak wyglądało mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII-ym w., a opowiadanie to pod względem treści tak świéże, nowe i zajmujące, pod względem formy tak wzorowo wykończone, że książkę tę przeczytać można niemal jednym tchem bez obawy przesytu lub znużenia, jak to się niestety dosyć często zdarza z dziełami historycznemi, których zaniedbana forma niekiedy odstrasza, zamiast pociągnąć i ująć. Autor ma ten głęboki, prawdziwie intuicyjny dar wsłuchania się w przeszłość, w tętno życia bijące w martwych aktach, umié tę przeszłość wskrzesić, powołać do życia; obrazy jego to nie zimne płaskorzeźby, spotykane na kamiennych grobowcach, ale pełne ruchu i życia postacie, ludzie z krwi i kości,—i to główna zaleta téj wielce ciekawéj i zajmującéj monografii.

Lwów, ten różnobarwny i różnojęzyczny Lwów XVI i XVII-go wieku, leżący niejako na pograniczu Wschodu i Zachodu, w którym obok europejskich narodowości, spotykało się co krok niemal azyatyckie twarze Ormian, Turków, Persów, Tatarów, miasto będące głównem emporyum towarów oryentalnych dla całéj środkowéj Europy,

musi być ponętnym i wdzięcznym przedmiotem dla historyka. Lwów ma zresztą za sobą przeszłość wiekową, pełną zaszczytu i chwały, pełną zaburzeń wojennych i bohatérskich walk, wśród których zawsze się ostał, a rzadko uległ; o mury jego i o męstwo mieszczan rozbijały się fale najazdów, jak bałwany o granitową podstawę latarni morskiéj. Mieszczaństwo słynęło nadto z oświaty; prawie każdy z zamożniejszych wyjeżdża na zagraniczne uniwersytety, a uzyskawszy stopnie akademickie wraca do łokcia i miarki, i nie wstydzi się tego; to téż kupiectwo lwowskie odznaczało się rozumem i wykształceniem, i dumne było ze swego stanu; nie uważało się wcale za coś gorszego od szlachty, bo kupiec lwowski bardzo często przewyższał oświatą i majątkiem szlachcica średniéj miary, a stał czasami z senatorem na równi. Poczucie godności swego stanu wyrobiło w mieście patrycyat nawskroś arystokratyczny, na wzór patrycyuszowskich rodzin w miastach włoskich lub niemieckich.

Dopiéro w drugiéj połowie XVII-go w., gdy coraz bardziéj zanikać poczęło to poczucie własnéj godności, gdy nadto Lwów długiemi wojnami wyniszczał, upada jego potęga i świetność, a „nobilitacya“ udzielona miastu przez króla w r. 1659 nie podniosła go, nie przywróciła dawnego blasku. Lwów ubożał i upadał, i to na domiar złego wówczas, gdy proces jego polszczenia już się był ukończył, gdy Lwów zupełnie spolszczał. Interesujące nadzwyczaj są szczegóły, jakie autor przywodzi na dowód tego szybkiego zwycięstwa polskości; język polski wchodzi do aktów już z początkiem XVI w., nazwiska obcych przybyszów tu osiadłych polszczeją nieraz już w drugiém pokoleniu, a z niemi razem ich właściciele. Z niemieckiego Lwowa XV-go w. wyłaniają się bowiem w XVI-ym trzy główne „nacye“: polska, ruska i ormiańska; około nich skupiają się osiedlający tu cudzoziemcy i bądź to polszczeją, bądź ruszczeją. Główny wzgląd wypływał przytém z przekonań religijnych: do polskiéj nacyi przystają Niemcy, Włosi i inni katolicy z zachodu, do ruskiéj—Grecy, Wołosi i inni z półwyspu Bałkańskiego; wiara rozstrzyga tu o ich narodowościowych sympatyach; pierwsi się polonizują, drudzy rutenizują; ormiańska nacya zaś wzrastała ciągłym napływem współwyznawców z pod panowania tureckiego.

Z możnych rodów patrycyuszowskich, kwitnących jeszcze w XIV i XV-ym w., mało tylko przechodzi do XVI w.; wygasły już przedtém albo wygasają z drobnym wyjątkiem, w pierwszéj połowie XVI wieku. Na gruzach starego Lwowa, spalonego doszczętnie w r. 1527, buduje się nowe miasto i nowi osiadają tu ludzie. Z możnych domów XVI i XVII w., przerastają innych znaczeniem i majątkiem Szolcowie-

Wolfowicze, Stanclowicze, Kampianowie, Boimowie, Alembekowie, Wilczkowie, jedyny jeszcze pozostały z dawnych rodów, Hanlowie, Ostrogórscy, Domagalicze i inni. Są to w części familie niemieckie, które osiadłszy we Lwowie szybko polszczeją i tak dalece zaciera się ślad ich pochodzenia, że nawet nazwiska tłómaczą: np. Ostrogórscy nazywali się przedtém Szarfenbergowie.

Ale spotykamy się tu we Lwowie także z licznemi rodzinami włoskiemi, które przynoszą z sobą wrodzone zamiłowanie piękna i przeszczepiają renesans z pod modrego nieba Italii na bruk stolicy Czerwonéj Rusi; są to Genueńczycy, Wenecyanie, Florentczycy, rodziny Ubaldinich, Bandinellich, Marsarich, Vevellich i inni. Kilka kamienic, będących ich własnością, jest do dziś dnia prawdziwą ozdobą i wartościową pamiątką dawnéj architektury Lwowa.

Ten patrycyat lwowski nie ustępował zapewne w niczém patrycyatom miast niemieckich lub włoskich, ani co do dumy rodowéj, ani co do okazałości swych wspaniałych kamienic, ani co do wytworności i zbytku wewnętrznego urządzenia. Szczegółów do tego znajdzie czytelnik w książce mnóstwo. Ale-bo téż mieszczaństwo było w XVI-ym i jeszcze w pierwszéj połowie XVII-go w. bogate, fortun krociowych było wiele; majętniejsi mieszczanie posiadali oprócz ruchomości szacowanych nieraz na kilkadziesiąt tysięcy złp. kamienice, a nawet dobra ziemskie, czasami po kilka wsi. Grek-Kandyota, Konstanty Korniakt, który tu osiadł, był prawdziwym magnatem w całém tego słowa znaczeniu. Lecz zmieniły się czasy; nadszedł okres nawałnic wojennych, a z niemi niedola dla Lwowa. Gdy w r. 1656 po oblężeniach kozackich, tatarskich i szwedzkich opisano oszacowanie majątków mieszczańskich, komisya wyznaczona do tego, otaksowała wszystkie kamienice i realności na 1,757,479 zł., zaś według szacunku ruchomego majątku posiadali Polacy 1,509,000 zł., Ormianie 1,277,000 zł., Rusini 704,000 zł., tak że cały Lwów z ruchomościami i nieruchomościami wart był w r. 1656—5,247,479 złp. Najbogatszy z Polaków posiadał wówczas tylko 120,000 zł. majątku, najbogatszy Rusin 300,000 zł., najbogatszy z Ormian 600,000 złp. Zresztą większe majątki stały się rzadkością. Cyfry téj fazy smutnie świadczą o ogromnym upadku materyalnym, w jakim się Lwów znalazł w drugiéj połowie XVII w.

Ale autor nie miał zamiaru przedstawić nam dziejów upadku; on opowiada dzieje świetności, blasku, rozkwitu. Sam estetycznie wysoko wykształcony, zwraca baczną uwagę na ten pierwiastek duchowy mieszczaństwa lwowskiego, na jego idealne potrzeby, na zamiłowanie do sztuki, idące w parze z rozmiłowaniem się w komforcie, elegancyi, zbytku. Co szczególnie i od razu uderza, to ten silny wpływ wscho-

du, podsycany ciągłemi stosunkami handlowemi, który wycisnął niezatarte piętno, zarówno na życiu domowém, jak sztukach i rękodziełach. Mnóstwo wyszło z pracowni lwowskich broni, rzędów końskich haftów, namiotów, bižuteryi i t. p. z stylowemi znamionami wschodu; tureckie i perskie materye ulubione były we Lwowie, a mieszczanin lwowski często chadzał w swym domu w sukni tureckiéj i tureckich mesztach. Mimo to wszystko, ta „malowniczość wschodnia" jest raczéj „tylko dekoracyą obyczajową, jakimś ciepłym refleksem na całym obrazie," aniżeli podwaliną cywilizacyi lwowskiéj: ta miała swe oparcie, swój grunt na zachodzie.

Domy patrycyuszów lwowskich budowane prawie wyłącznie w stylu odrodzenia (średniowieczny gotyk zaginął bowiem w pożarze 1527 r.), i to przeważnie przez Włochów, odznaczały się bogatą architekturą i prawdziwie artystyczną, niekiedy może zbyt przeładowaną ornamentacyą. Nie wiele się z tego zachowało, co się jednak zachowało, to znajdujemy w książce, odbite w pięknych illustracyach. Jest to niespożytą zasługą autora, że w ten sposób wydobył z rozmaitych zaułków na widok rzeczy, będące nieraz wysokiéj artystycznéj wartości. Wiele z tego ginęło dotychczas w brudzie i zaniedbaniu, i nie wpadały w oko utwory ze znamionami prawdziwego piękna. Nie wiele nam na razie autor o tém podaje, gdyż w tomie 3-im przedstawi szczegółowo zabytki dawnéj architektury i rzeźby lwowskiéj. Tymczasem stwierdza tylko, że „jak zewnątrz, tak i wewnątrz dom patrycyusza lwowskiego ozdobiony był dłonią artysty, a przedewszystkiém rzeźbiarza i malarza." Ornamentacye te kamienne uderzają nieraz oryginalnością motywu i prześlicznèm wykonaniem.

Ściany komnat pokryte były dookoła szpalerami, makatami, arrasami, kobiercami, a nadto wielką liczbą obrazów doskonałego częstokroć pędzla. Liczne inwentarze rzeczy, które autor przeglądał, wymieniają u rozmaitych zamożnych mieszczan lwowskich po kilkadziesiąt obrazów, i to wiele ze szkoły włoskiéj i niderlandzkiéj. Cyfry takie, jak 40, 50, 60, 70 płócien, nie są rzadkością, a u jednego znajdujemy nawet 102 obrazy. Amatorstwo to świadczy bardzo korzystnie o poczuciu piękna u naszych mieszczan. Z ogromnego bogactwa obić, makat, szpalerów i kobierców, jakie spotykamy w inwentarzach, uderzają przedewszystkiém kobierce wschodnie, których zapewne nigdzie tyle nie było, co we Lwowie, gdyż tu były główne składy tego towaru, stąd zaopatrywano niemi całą Polskę i Europę środkową. Kobierce te, między któremi najbardziéj cenione były jedwabne, na złotém tle, t. zw. *Susandschird*, przedstawiały nieraz pokaźną sumę swoją wartością, stanowiły majątek prawdziwy.

Pełno tu dzieł artystycznych w mieszkaniu lwowskiego patrycyusza; czy to wyroby wyższéj sztuki złotniczéj, czy majoliki wschodnie, czy meble rzeźbione i sadzone, przepyszne świeczniki, zegary z figuralną dekoracyą i t. d., najrozmaitsze sprzęty, które autor na podstawie inwentarzów wylicza, wszystko to dowodzi, że zmysł estetyczny wysoko był wykształcony u lwowskich „łyków.“

Obok tego w każdym niemal domu mniejsza lub większa ilość książek świadczyła o zamiłowaniu do nauki. Nawet u ubogich mieszczan, u rzemieślników, spotykamy domowe biblioteczki, złożone nietylko z polskich, ale i łacińskich książek. Starożytni i nowożytni pisarze znajdowali tam miejsce. Nieraz biblioteczka taka obejmowała kilkaset dzieł, jak np. dr. Erazma Syxta, który 800 dzieł pozostawił, co na owe czasy bardzo wiele znaczy.

Jak widzimy więc z tego, mieszczaństwo lwowskie XVI i XVII wieku stało na dość wysokim stopniu cywilizacyi, ażeby być porównywaném z mieszczaństwem niemieckiém i włoskiém; a stosunkowo, jeżeli uwzględnimy czasy, stało może wyżéj od dzisiejszego. To téż Niemcy i Włosi, którzy tu osiadali, nie bardzo zapewne czuli braku swojéj ojczyzny, kiedy tak rychło zrzucali z siebie swoją obcą skórę i przyoblekali polską. Wszystko to bowiem, cośmy dotychczas podnieśli, dotyczy przeważnie, jedynie prawie, nacyi polskiéj. Byli tu jednak jeszcze Ormianie i Rusini. „Ormianie—mówi autor—to oryent pod lwowskiém niebem, ich kolonia ściśnięta około katedry, to kawałeczek Azyi, rzucony na ruską ziemię, ale tylko pod dekoracyjnym względem, bo w téj gromadzie „Persów“, jak ich długo nazywano, ogorzałéj, czarnowłoséj, o krzywych szablach i krzywych nosach, mówiącéj językiem wschodnim — „po tatarsku“, powiada Jan Alembek,—stojący jedną nogą w Azyi, drugą w Polsce, w ciągłym ruchu perpendykułu między Anguryą a Lwowem, między Tohatem a Kamieńcem, między Wanem a Jazłowcem—w téj małéj gminie, podobnéj przez długi czas do odpoczywającéj we Lwowie karawany, są już wszystkie podstawy chrześciańskiego społeczeństwa, cywilizacyi i prawa.“ W ich ręku spoczywał głównie handel wschodni, a jako znawcy wschodnich języków używani bywali także w charakterze tłómaczów przy poselstwach polskich do Turcyi, albo tureckich do Polski. Prześlicznym jest rozdział opowiadający o Ormianach. Ten świat z wybitnym wschodnim kolorytem, wyglądem, ubiorem, wyobrażeniami żywcem wzięty z Oryentu, oryginalnie odbija od reszty Lwowa. Ormianie jako zręczni kupcy, byli najbogatszymi w mieście, a upadek ich szedł w równéj mierze z upadkiem całego miasta. Mimo to jednak, bogactw musiało u nich być wiele, nawet wówczas, gdy gdzieindziéj zanikły; kiedy w r. 1684-ym pewien

zamożny Ormianin wyprawił wesele swéj córce, panna młoda miała na sobie strój godowy, przy którym gasnęłaby niejedna córka magnacka. Na głowie korona dyamentowa ze strusiemi piórami, suknia ślubna cała złocista, o któréj wartości można nabrać wyobrażenia z tego, że spodnia suknia kosztowała 1,200 złp., pończochy i trzewiki haftowane przedstawiały wartość 200 złp. Podobnie i strój pana młodego kapał od złota. Już nie wielu jednak mogło tak wystąpić, zaczęły się i dla Ormian ciężkie czasy, zarówno jak dla całego Lwowa.

Wreszcie mieszkała we Lwowie trzecia nacya, ruska; tu mieli Rusini główną przystań swoję, główne centrum dla popierania i utrzymania swéj narodowości, a raczéj swego wyznania. Co bowiem główną stanowiło cechę odrębności Rusinów, to wyznanie religijne. Ubierali się po polsku, mówili i pisali po polsku, i to nawet u siebie w domu, a jednak mimo to wszystko religia stanowiła ten rozłam, jaki istniał między nimi a Polakami, religia stanowiła różnicę, jaka dzieliła obie narodowości. A tu we Lwowie mieli Rusini główne środki jéj propagandy, tu był episkop, stauropigia, drukarnia i szkoła.

Tożsamość wyznania przyłącza do nich Greków i południowych Słowian, osiedlających się we Lwowie; szczególnie pierwsi, jawiący się tu dość licznie dla handlu, przystają do nacyi ruskiéj. Wyróżnił się z nich i wysoko ponad wszystkich wyrósł Konstanty Korniakt z Krety, który osiedliwszy się około połowy XVI w. we Lwowie, dorobił się olbrzymiéj fortuny, został nobilitowany i skoligacił się z pewnymi domami magnackimi. Jeden z jego synów poślubia wojewodziankę Ossolińską, a córki otrzymują za mężów Herburtów, Chodkiewiczów, Wiśniowieckich, Tarnowskich. Dla stauropigii zdziałał wiele; on jest fundatorem wspaniałéj wieży na wołoskiéj cerkwi, ale mimo to Rusinem w czystém tego słowa znaczeniu nie był. Jaką rolę odgrywała ta nacya w różnych okolicznościach, o tém wiele ciekawych rzeczy dowie się czytelnik z obecnéj książki.

Prawdziwie ujmujący swą prawdą życiową jest rodzajowy obrazek, jaki znajdujemy w ostatnim, ósmym rozdziale, na podstawie księgi rachunkowéj Piotra Kunaszczaka; daje nam tu autor typ małego mieszczanina lwowskiego z XVII w., kiedy przedtém wyłącznie prawie o bogatém mówił mieszczaństwie, o patrycyacie. Tém ciekawszą jest ta znajomość, jaką dzięki autorowi zawieramy z jednym z takich maluczkich, z gminu, z pospólstwa, którzy żyją w ukryciu i giną bez śladu. Szczęśliwym trafem dochowała się tu księga tego Kunaszczaka, z któréj dowiadujemy się o jego losach, o kłopotach i zgryzotach, w ogóle mamy go przed sobą, i niejednokrotnie każe mu autor własnemi słowy opowiadać jego przypadłości.

Na tém się kończy niezmiernie bogata treść tego tomu. Poznaliśmy ją zaledwie w najpobieżniejszych konturach; kto chce cały obraz zobaczyć, wszystkie owe postacie, tysiące lśniących barw, niech zajrzy do książki, a nie odłoży jéj pewnie, zanim ją do końca przeczyta. Mnóstwo tu epizodów wplecionych w opowiadanie, jakby nowelki z XVI lub XVII w.; całą książka czyta się też jak powieść, z tą różnicą, że tu wszystko tchnie prawdą, bo tu wszystko oparte na aktach, na autentycznym materyale przerobionym w twórczéj wyobraźni autora. I śmiało rzec można, że jakkolwiek mamy historyą niejednego miasta naszego, to żadne miasto nie może się poszczycić taką charakterystyką swego mieszczaństwa, jaką otrzymał Lwów w obecnéj książce. A powstała ona na podstawie żmudnych studyów archiwalnych; autor korzystał wprawdzie także wiele z drukowanych rzeczy, ale główny materyał, na jakim swą pracę oparł, są akta miejskie i rękopisy Ossolineum [1]).

F. Bostel.

---

[1]) Jedno tylko mielibyśmy życzenie, wypowiedziane już w sprawozdaniu z 1-go tomu: żeby autor nie pomijał przy swych pracach aktów grodzkich i ziemskich. W aktach tych tak wiele i tak często występują mieszczanie lwowscy, że nie ma księgi, gdzieby ich kilkudziesięciu nie było. Jakkolwiek niezbyt wiele, przecież dałby się z nich wydobyć niejeden szczegół do charakterystyki przez autora podanéj, choćby już z tego względu, że mieszczanie ci, a szczególnie owe możne rody patrycyuszowskie, mieli liczne stosunki ze szlachtą, posiadali nadto dobra ziemskie i z tych względów wiele spraw mieli w grodzie i ziemstwie. Np. o Hanlach zaledwie kilkanaście wierszy podaje autor (str. 114—115), natomiast na podstawie aktów grodzkich możnaby ułożyć dosyć sporą monografię tego rodu, z którego Stanisław widocznie nie był ostatnim, gdyż Hanlowie występują i późniéj; był on synem Marcina, rajcy lwowskiego i matki Anny, a posiadał braci Marcina, Michała i Szymona, oraz siostry Jadwigę za Zybułtem de Achinger (o tych Achingerach, szlachcie niemieckiéj, skoligaconych z licznemi rodami, autor nie wspomina)—i Annę. Musiał ten Marcin być majętnym człowiekiem, kiedy po jego śmierci występuje rodzina (1555 r.), jako spadkobiercy wielkiego i małego Hołoska i Brzuchowic. (Castr. Leop., 32).

Albo weźmy inny szczegół. Na str. 6 i 45 wspomina autor na podstawie kroniki Józefowicza, że cesarz Rudolf II-gi dyplomem z dnia 14 października 1595 roku mianował Szolców-Wolfowiczów baronami de Wolfowicz, ale dokumentu tego nie zna. Tymczasem jest on oblatowany w księdze grodzkiéj lwowskiéj, 356, p. 147—152 (por. Liske A. G. Z., X, 2,710). Czytamy w nim, że Rudolf II-gi, uznając przychylność braci Melchiora i Józefa Scholtzów dla państwa niemieckiego i domu austryackiego, podnosi ich do stanu szlacheckiego (o baronostwie nie ma mowy), a razem z nimi ich bratanków Wolfganga, Baltazara, Erazma Scholtzów, synów po ś. p. bracie ich Stanisławie („ad caetum gradum et ordinem nostrorum et Sacri Romani Imperii nobilium assumimus et aggregamus.“ „Nobiles verum etiam cum in patria vestra permulti non vestrae quidem agnationis aut stemmatis, sed eiusdem cognominis inveniantur, ad differentiam Scholtzios a Wolffowicz dicimus et

nominamus“). W dyplomie tym był wymalowany herb, jaki im cesarz nadał; według opisu wyglądał on: „Scutum videlicet secundum latitudinem in duas partes aequales divisum, quarum inferior nigra, superior rubra existat, ambae vero partes in scuti medio annulum aureum constitutum habeant, a quo tum in dextrum, tum in sinistrum latus glans quercina viridi coloris ascendat, in inferioris autem partis basim unica se duntaxat glans dimittat, triangulum inter se constituentes.“ Na tarczy miał spoczywać zamiast zamkniętego hełmu, jakiego dotychczas używali, otwarty, zaopatrzony w kraty, t. zw. turniejowy, z wiszącemi z obu stron ozdobami czerwonemi i czarnemi, z koroną królewską na szczycie i dwoma rogami bawolemi.

Jak widzimy, opisowi temu zupełnie nie odpowiada herb, umieszczony przez autora na str. 136, jako herb Szolc-Wolfowiczów (fig. 35). Ale za to na str. 8 (fig. 3) znajdujemy herb, którego autor bliżej nie oznacza, a który całkiem zgodny jest z opisem dyplomu. Jest to tarcza trzymana przez lwa, zdobiącego niegdyś dawną wieżę ratuszową, a dziś studnię pod kościołkiem św. Łazarza przy ulicy Kopernika; wszystko kute dość grubo z kamienia. Mamy tu owe trzy żołędzie, wychodzące z wspólnego pierścienia, tworzące trzy kąty; wprawdzie nie widać tu ani kolorów, ani ozdób nie ma, nie może jednak ulegać wątpliwości, że to jest właśnie herb Szolców-Wolfowiczów.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Sprawozdanie komisyi fizyjograficznéj obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu roku 1888, oraz materyały do fizyjografii krajowéj. Tom XXIII. Kraków. 1889, 8-o, str. 1—26; [1]—[275]; 1—200; I—XXVI.

Część I. Materyały zebrane przez sekcyą meteorologiczną. Komisyi fizyograficznéj w Krakowie nadesłano w r. 1888 spostrzeżenia meteorologiczne z 39 miejsc, ale tylko z 30-tu całoroczne.

Z nadesłanych spostrzeżeń podano:

1. Temperaturę powietrza z 38 miejscowości, z których 27 jest kompletnych. Średnie dzienne i miesięczne, wyrażone w stopniach Celsiusza. Pod średniemi miesięcznemi umieszczono maksyma i minima miesięczne, z wyrażeniem dni, w których były spostrzegane. — 2. Ciśnienie powietrza z 16 miejscowości (14 całorocznych) sprowadzone do 0° i wyrażone w milimetrach, a mianowicie średnie dzienne, średnie miesięczne, oraz maksyma i minima ciśnienia w każdym miesiącu, z wymienieniem i godzin, w których je zauważano. 3. Kierunek wiatru średni dzienny z 34 stacyi, oraz liczbę dostrzeżonych kierunków poszczególnych wiatrów i cisz. 4. Stan zachmurzenia nieba średni dzienny i miesięczny z 38 stacyi, w których 28 kompletnych. 5. Opad mierzony w 37 miejscowościach.

Prof. D. Zbrożek zebrał i zestawił spostrzeżenia nad opadem atmosferycznym z 69 stacyi deszczomiarowych w r. 1888.

Dr. Wierzbicki zebrał wiadomości dotyczące gradobić w Galicyi w ciągu r. 1888, z czego okazuje się, że w ciągu tego czasu nawiedzonych i mniéj lub więcéj zniszczonych gradami były 532 gminy w 57 powiatach. Tenże badacz na zasadzie urzędowych wiadomości podaje wykaz wypadków w ciągu roku sprawozdawczego przez pioruny zrządzonych.

Stan wody spostrzegano w r. 1888 na 24 rzekach Galicyi w 92

miejscowościach, z powodu jednak, że w 6 miejscowościach i na 2 rzekach spostrzeżenia prowadzono przez czas zbyt krótki, w wykazie stanu wód uwzględniono tylko 86 wodoskazów, na 22 rzekach. Dla każdéj stacyi i dla każdego miesiąca podano w centymetrach stan średni, najwyższy i najniższy wody, oraz daty dwóch ostatnich. Dla stacyi, które dostarczyły spostrzeżeń całorocznych, podano powyższe ilości i dla całego roku. W oddzielnéj tabeli zebrano dane, dotyczące stanu rzek i liczby dni z opadem, zestawiając je według miesięcy i stacyi, na których spostrzeżenia poczyniono.

H. Cybulski. Spostrzeżenia fitofenologiczne poczynione w ogrodzie botanicznym w Warszawie w r. 1888. Obejmują czas kwitnienia spostrzegany na 72 roślinach.

Wypadki spostrzeżeń magnetycznych, dokonanych w Krakowie i Tatrach w r. 1888, dotyczą zboczenia i nachylenia magnetycznego.

Część II. Materyały zebrane przez sekcye: botaniczną, zoologiczną, geologiczną i chemiczną.

Dr. Stanisław Zaręczny. Studya geologiczne w okręgu krakowskim. Autor wykazuje różnice, zachodzące między jego własnemi spostrzeżeniami a badaniami poprzedników i opisuje formacyę devońską w okręgu krakowskim.

Wł. Boberski. Trzeci przyczynek do lichenologii Galicyi. Autor badał faunę lichenologiczną południowo-wschodnich Karpat. Osiedliwszy się w Rożniatowie czynił on wycieczki w rozmaite strony; nadto zbiérał porosty w rozmaitych innych miejscowościach. Spis obejmuje 87 gatunków, które się mieszczą w 45 rodzajach i XIX rodzinach. Dwa gatunki: *Bacidia commutata* Ach., i *Spharomphale Henscheliana* Kbr. po raz piérwszy autor znalazł w Galicyi.

M. Raciborski. Klony polskie. Autor wymienia 4 gatunki tych drzew: *Acer tataricum*, L. z 2 odmianami, pierwsza z 4, druga z 2 formami. *Acer Pseudo-platanus*, L. z 5 odmianami. *Acer campestre*, L. z 4 odmianami. *Acer platanoides*, L., z 1 odmianą i 2 formami.

K. Olszewski i K. Trochanowski. Chemiczny rozbiór wód studziennych miasta Krakowa. Rozbiorowi chemicznemu w r. 1881 poddano wodę ze 140 studzien Krakowa, przyczém oznaczono: ilości składników stałych, twardość (całkowitą, trwałą i czasową), ilość tlenku wapniowego i magnowego, chloru, kwasu siarkowego, kwasu azotowego, ciał organicznych, amoniaku i kwasu azotowego. Ostateczny wynik rozbiorów mało jest pochlebny dla wód studziennych Krakowa, autorowie bowiem wymieniają jedną tylko studnię, jako dostarczającą wody, która odpowiada wszystkim warunkom dobréj wody do picia. Porównano téż wypadki obecnych rozbiorów z wypadkami analizy

chemicznéj, dokonanéj w r. 1871 przez prof. Olszewskiego, przyczém okazało się, że „zanieczyszczenie wód krakowskich w ciągu dziesięciolecia znacznie wzrosło, gdyż tak ilość składników stałych wzmogła się w przeważnéj liczbie porównywanych wód, jako téż zwiększyła się ilość wód, zawierających amoniak i kwas azotawy". W końcu dodano rozbiory wody z 12 studzien, dokonane w pracowni chemicznéj uniwersyteckiéj w ciągu 1886 i 1888 roku.

Dr. A. Jaworowski. Wirki dotychczas w okolicy Krakowa znalezione. Spis obejmuje 27 gatunków, które należą do 12 rodzai mieszczących się w 7 rodzinach. Przy każdym gatunku oznaczono miejsce i czas znajdowania.

Józef Dzięrdzielewicz. Nowy dodatek do fauny owadów siatkoskrzydłych. W spisie pomieszczono 13 rodzin i 22 gatunki, z tych dwa nowe dla fauny Galicyi, inne zaś znaleziono w nowych miejscowościach. Nadto autor opisuje nowy gatunek *Chaetopteryx polonica* nie znane samice dwóch gatunków, oraz domki niektórych gąsienic.

Julian br. Brunicki. Ptaki spostrzegane w okolicy Stryja. Autor wymienia 104 rodzaje ptaków z 144 gatunkami, oraz objaśnia, że na tym samym obszarze inne osoby zauważyły nadto 3 gatunki, oraz okazy pelikanów i mew (*Larus*).

Maryan Raciborski. O obecnym stanie mych badań flory kopalnéj ogniotrwałych glinek krakowskich. Rośliny znalezione w glinkach w Grójcu wskazują, że glinki należą do górnego retu. W owym czasie na fizyognomię flory téj miejscowości wpływały: Paprocie drzewiaste o olbrzymich liściach; Sagowce o grubych pniach ze skórkowatemi drobno pierzasto nacinanemi liśćmi; Skrzypy mało i tylko na wierzchołku rozgałęzione, o pniach grubości ręki i więcéj. Autor opisał nowego wątrobowca najstarszego ze znanych dotychczas: *Paleohepatica Rostafińskii.* Daléj opisał paprocie: nowe rodzaje: *Sorothyrsus*, *Polysorites*, *Gonatosorus*; nowe gatunki: *Ctenis cracoviensis*, *Thinnfeldia minor*, *Thinfeldia major* i *Ctenopteris irregularis.* Wreszcie p. Raciborski odkrył na odciskach przyrządy owocowania *Thinnfeldii* i tym sposobem ostatecznie rozstrzygnął, że była to paproć grupy *Eusporangiatae.*

J. Krupa. Zapiski mykologiczne, przeważnie z okolic Lwowa i z Karpat stryjskich. Niniejszy spis jest dopełnieniem poprzednio ogłoszonego (patrz: J. Kotula. Zapiski mykologiczne z okolic Lwowa i Podtatrza. Sprawozd. XXII, 12—48). Obok śluzowców zawiéra on tylko grzyby, żyjące na innych roślinach jako pasorzyty. W spisie pomieszczono: *Myxomycetes*, 13 rodzin, 28 rodzai, 78 gatunków. *Hymenomycetes*, 8 rodzin, 38 rodzai, 239 gatunków.

M. Raciborski. O niektórych skamieniałych drzewach okolicy Krakowa. Autor podaje różne szczegóły o budowie *Araucarites* (*Araucarioxylon*, Kraus), *Schrollianus*, Goepp. i *Araucarioxylon Rollei* (Ung.) Kr., pierwszy z dolnego dyjasu, okolic Kwaczały, Babic, Lipowca, Płazy, Zagórza i Bukowicy, drugi z Myślachowic, oraz Okleśni, lecz w têm ostatniém miejscu znajduje się on w drugorzędném łożu w piaskowcu brunatno-jurasowym, w którém autor znalazł drzewo dość zawiłéj budowy cedru i nadał mu miano *Cedroxylon polonicum*. Wreszcie autor wspomina o drzewie skamieniałém z warstw balińskich, znalezioném w Czatkowicach, które przypomina *Cedroxylon pertinax*, Goepp.

Fr. Bartonec. Ułożenie galmanu na drugorzędném łożysku. Autor opisuje drugorzędne łożyska galmanu w okolicy Sierszy, gdzie w zagłębieniach wapienia muszlowego lub innego, prawdopodobnie węglowego, galmany są pomieszane i luźnie nagromadzone z wapieniami, dolomitami, ołowiankami, piaskami i iłami.

Dr. Władysław Szajnocha. O stratygrafii pokładów sylurskich Podola galicyjskiego. Autor oznacza miąższość (165 m.), i położenie himpsometryczne (nachylenie południowo-zachodnie), oraz opisuje bardzo regularną budowę w mowie będących pokładów. Następnie rozbiéra podział pokładów sylurskich na poziomy, przedstawia znamiona paleontologiczne tych ostatnich, wreszcie porównywa badany sylur z sylurem innych krajów europejskich i przychodzi do wniosku, że poziomy galicyjskiego syluru razem wzięte, odpowiadają górnéj i średniéj części angielskiéj grupy *Ludlow-Series*. *A. Wrześniowski.*

Dr. Xawery Liske: Akta grodzkie i ziemskie. Tom XIV. We Lwowie 1889. 4-o stron XVII i 634.

Z nadzwyczajną szybkością postępuje naprzód to niezmiernie ważne wydawnictwo najdawniejszych zapisków sądowych grodzkich i ziemskich Czerwonéj Rusi. W przeciągu czterech lat (1886—1889) przedłożył nam prof. Liske cztery potężne tomy (tom 11—14) obejmujące 313 arkuszy o 2,554 stronach 4-o, na których pomieszczono 19,317 zapisków! Cyfry te zbyt wymownie przemawiają same niezbitą swoją logiką, ażeby do nich jeszcze co dodawać. Zdumienie i cześć głęboka musi nas ogarnąć dla pracy tego człowieka, który długoletnią chorobą przykuty do łoża, mimo to niestrudzoną energią swoją bezustannie jeszcze zdobywa tak olbrzymie materyały dla naszéj wiedzy.

Mamy obecnie najdawniejsze zapiski sądowe ze **wszystkich** ziem województwa ruskiego wydane: w tomie 11 akta sanockie od

r. 1423—1462, w t. 12 halickie od 1435—1475, w t. 13 przemyskie i przeworskie od 1436—1468, wobecnym wreszcie 14 tomie zapiski sądów lwowskich od 1440—1456. Jak widzimy więc, ostatni tom objął najmniejszy okres czasu, bo tylko lat 17, pomimo, że złożyły się nań prawie wyłącznie akta grodzkie, te jednak są tak bogate, tak dobrze zachowane, że niepodobna ich było więcéj w jednym tomie pomieścić. Akta ziemskie lwowskie z XV w. natomiast doszły do nas w nielicznych tylko fragmentach; zniszczały one w wielkiéj części podczas najazdu Szwedów 1704, którzy ksiąg ziemskich używali jako podściółki dla swoich koni, czego namacalne ślady do dziś jeszcze zachowały się na niektórych kartach tychże ksiąg. Z tego powodu zdołał nam wydawca podać z nich zaledwie ułomki z pięciu lat: 1441, 1452—4, 1456, pomieszczone na 14 stronicach. Ogółem mamy w obecnym tomie 1708 roczków i 3831 zapisków. Co się tyczy wartości i znaczenia zawartego w 14 tomie materyału, to przewyższa on pod tym względem poprzednie tomy; główna wartość jego naturalnie dla prawa polskiego, jak wogóle tego rodzaju zapisków, ale i dla kultury, oświaty, zwyczajów i obyczajów mamy tu prawdziwą kopalnię, bogatszą i obfitszą od poprzednich w złoty kruszec, co łatwo wytłómaczyć różnorodnością stosunków prawnych w tak ważnem handlowem wieście, jakiém był Lwów w XV w., oraz tą okolicznością, że akta grodzkie, jakie tu prawie wyłącznie mamy, są zawsze różnorodniejsze, barwniejsze i ciekawsze od ziemskich, z których przeważnie złożyły się tomy 12 i 13.

I znowu mamy tu cały szereg danych do terytoryalnego podziału Rusi czerwonéj w XV w., i znowu sprawdza się, co wydawca podniósł już w poprzednich tomach, że pod względem sądowniczym było tam wówczas znacznie więcéj grodów, aniżeli późniéj, że dopiéro w ciągu XV w. centralizacya poczyniła znaczniejsze postępy i sądownictwo grodzkie i ziemskie ześrodkowało się w czterech głównych ogniskach: w Sanoku, Haliczu, Przemyślu i Lwowie. Mamy tu znowu niezbyt liczny, ale ciekawy bardzo materyał do dziejów sejmików ruskich; rzecz to zupełnie nie tknięta dotychczas; szczegóły zawarte w obecnym i w poprzednich tomach popchną niewątpliwie kwestyą tę znacznie naprzód. Mnóstwo szczegółów znajdujemy tu do możnych rodów ruskich, do historyi urzędów, do żydów, którzy tu licznie zasiedli, do dziejów Lwowa i t. d. Gdyby chcieć na wszystko zwrócić uwagę, trzebaby wiele na to poświęcić miejsca. Podnieść jeszcze należy sprawę litkupu czyli mohoryczu t. j. zapijania sprawy prawno prywatnéj natury, jak kupna jakiejś rzeczy. Zwyczaj ten znany na całéj Rusi; skąd się wziął nie wiedzieć, gdyż równocześnie i na Szląsku i w Anglii znano litkup. Wielce ciekawe do stosunków społe-

cznych na Rusi są częste dosyć sprzedaże ludzi, jakie w zapiskach lwowskich spotykamy; tym handlem niewolników trudnią się przedewszystkiem Żydzi, Ormianie i kupcy włoscy, zapewne Genueńczycy, których najwięcéj wówczas bywało we Lwowie.

Ogółem powiedziéć można, że materyał w niniejszym tomie zazawarty nadzwyczaj bogaty i różnorodny, rzuci wiele światła na rozmaite kwestye, które teraz będzie można już ściśléj opracować, a nawet rozstrzygnąć, że na podstawie tego tomu i poprzednich, będzie już można ułożyć pełny i barwny obraz Rusi Czerwonéj w XV wieku.

Co się strony wydawniczéj tyczy, to nie różni się ona w niczém od poprzednich tomów, ta sama metoda zachowana tam i tu. Od r. 1441 począwszy, podaje wydawca prawie wszystkie zapiski w skróceniu, t. z. esencyonalną ich treść z opuszczeniem wszelkich powtarzających się, a nic nie mówiących formuł sądowych, tak że zapiski zupełnie nic na tém skróceniu nie tracą, a zyskuje się natomiast wiele miejsca. Tekst, jak zwykle, i tu oddany bardzo poprawnie. Indeksy znane od dawna z swéj dokładności, znajdujemy tu znowu trojakie: od wydawcy pochodzą I. Indeks nazw osób i miejscowości i III Indeks wyrazów polskich, oba wzorowe, z których pierwszy obszernością przewyższa znacznie drugi i trzeci; wyborny zaś II Indeks rzeczowy, ułożony przez dr. Oswalda Balzera mógłby również za wzór posłużyć do podobnych wydawnictw Akademii. Na pierwszych 17 stronach znajduje się obszerna przedmowa. *F. Bostel.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Wincenty Kosiakiewicz.* **Druty telegraficzne...** (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1890, str. 260). Jestto zbiór nowel, obrazków, wrażeń, wspomnień znanego już dobrze czytelnikom naszym pisarza, który rzemieślnicze, urzędnicze, aktorskie i małomieszczańskie wogóle stosunki zna dobrze, maluje z zamiłowaniem i serdeczném spółczuciem. Nie naśladując nikogo i tylko jak każdy człowiek inteligentny, zasilając umysł tém, czego może dostarczyć obserwacya życia i lektura, nie popadając w manierę, o którą tak łatwo, p. Kosiakiewicz umié sposobem opowiadania sobie właściwym, a zwłaszcza uczuciem, jakie bez ostentacyi wléwa w każdy swój obrazek, zająć, zainteresować, wzruszyć, a niekiedy łagodnie rozweselić. Większa część zawartych w tym zbiorku utworów zawdzięwcza wartość swoją zdolności wywołania w duszy pewnego tęsknie miłego, bo harmonijnego nastroju. I tak zaraz ten piérwszy obrazek, od którego się zbiór rozpoczyna, „Druty te-

legraficzne“, nie odznacza się ani szczególném mistrzowstwem w odtworzeniu krajobrazu, ani głębią analizy psychologicznéj, ani nadzwyczajną plastyką postaci i sytuacyi, lecz tylko umiejętnością wywołania zadumy, nie wolnéj od niejakiéj goryczy, mogącéj wywołać przy niektórych warunkach łzę z oka, lecz nie prowadzącéj do narzekania i zniechęcenia. Autor widział, jak w zimie, gdy druty telegraficzne pokryte są puchem śnieżnym, ptaszek zwykły, pospolity, nie spostrzegłszy téj przeszkody, uderzył o nią z całéj siły i spadł na ziemię. I widział, jak dozorca drogowy, który pracą usilną doszedł do trzeciego roku na uniwersytecie, widział się nagle zmuszonym, dla wykarmienia siedmiorga osób, szukać zajęcia na kolei, który następnie pokochawszy siostrę swego kolegi, nie mógł wyznać jéj swego uczucia, nie mógł wprowadzić ukochanéj kobiéty do domu, gdzie trzy jego siostry, trzy, stare panny, kłóciły się od rana do nocy. W domu szczęśliwym się nie czuł, a gdy wychodził na linię, nic więcéj nie widział, tylko szare niebo nad sobą, a żółty piasek pod nogami. I oto raz pomiędzy szynami spostrzegł coś czarnego. Przystanął i nachylił się... było to złamane i zakrwawione skrzydło małéj, szaréj ptaszyny... Autor zrobiwszy zestawienie powyższe, nie dodaje od siebie ani słowa; ale czyż tu potrzebny komentarz? Czyż prosty jego obrazek nie jest wymowniejszy od mnóstwa gorących deklamacyi o zwichniętych skrzydłach, zmarnowanych zdolnościach, zagrzebanych talentach... Bardzo ładna, z wielkim artystycznym rozmysłem wykonana jest charakterystyka „Michałowéj“, kobiéty pracowitéj, rządnéj, która w małżeństwie nie doznała szczęścia, bo nie tylko była bita i poniewierana, ale co gorsza nie miała dzieci, a potrzebowała koniecznie kogoś, komuby rzewniejsze, opiekuńcze uczucie objawić mogła. Nie wyszła drugi raz za mąż, bo piérwsze małżeństwo ją zraziło; trzymała psa, ale go jéj ubito, przywiązała się do dalekich krewnych i cieszyła się nad wyraz, gdy na nią dziecko ich „babciu!“ zawołało; i biédna! w złudzeniu o miłości tych krewnych umarła. „Samobójstwo“ znane jest czytelnikom „Ateneum“; a jego przeciwwagą jest „Mój sąsiad“, który pomimo ślepoty, nie spełnił samobójczego zamiaru i żył szczęśliwy, a przynajmniéj zadowolony. Dramatyczny pierwiastek zawiéra nowela „Sarna“, którą podejrzewający narzeczoną gajowy, przebił nożem, gdy mu przeszkadzała wysłuchać rozmowy, mającéj rozstrzygnąć jego zamiary. Charakterystyczném wspomnieniem są „Majowe nabożeństwa“, urządzane dla dzieci klasy rzemieślniczéj przez matkę, co po stracie ostatniego dziecka zrzuciła na ziemię obraz Matki Boskiéj, przed którym o zachowanie życia dla niego z całéj duszy się modliła i długo przyjść do siebie nie mogła, tonąc w mrocznéj zadumie. Nie mało hu-

moru znajdujemy w opisie przygód z życia aktorów prowincyonalnych („Ważne przedstawienie“, „Tylko dwa przedstawienia“, „Ex-aktor“) w odmalowaniu zawiedzionych zalotów „Wujaszka smoka“, w odtworzeniu myśli, uczuć, postanowień hrabiego, który przypadkiem musiał jechać „Trzecią klasą“, i przyjmować posiłek od rzemieślnika, wreszcie w skreśleniu zawodu bezdzietnego małżeństwa („Pierwszy kwiatek“). Że uczucie serdeczne a proste zadawalnia się najkruchszym, choćby zmyślonym nawet objawem sympatyi, bardzo trafnie okazuje „List“. We „Fräulein“ temat ograny miłości zawiedzionéj, nabrał świeżości wskutek szczegółów prawdopodobnie zaobserwowanych. „Pan sędzia poluje“ to udatny zarys poczucia zdrowia po przebytéj ciężkiéj chorobie. Fraszką z dziecinnego życia jest „Wyrok śmierci“. Najmniéj pod względem psychologicznym zrozumiałą jest charakterystyka ubogiego krewniaka, pracowitego i zabiegliwego, który od „Bogatych wujowstwa“, nie doznawszy ani pomocy, ani serdeczności, za największe szczęście poczytuje sobie ich odwiedziny, gdy się już dorobił i od tego czasu pracować przestaje; autor zapewne widział sam fakt, ale nie potrafił go należycie umotywować — tak się nam przynajmniéj zdaje.

= **Obrazki szare**, powiastki i nowele *Klemensa Junoszy* (Warsz. S. Lewental, 1890, str. 375). Autor tego zbioru powieściowego, znany jest jako dobry znawca literatury żargonowéj żydowskiéj i jako trafny malarz życia biednéj klasy mieszkańców wiejskich i miejskich. Pierwsze jego prace przed laty mniéj więcéj szesnastu drukowane w czasopismach wykazywały bystrość spostrzegawczą, umiejętność podpatrywania drobnych znamiennych rysów, dużo uczucia skupionego w sobie, niemało dowcipu żartobliwego i nieco rzewnego humoru. Drobne pod względem rozmiarów, miały artystyczne zaokrąglenie i jakkolwiek nie zdumiewały głębokością myśli, nie wzruszyły wielką grą uczuć, podobały się natomiast powszechnie swoją prostotą i prawdą. Z czasem Klemens Junosza obok małych obrazków i nowelek, w których zawsze celował, zaczął układać kompozycye obszerniejsze i wprowadzać do nich różnorodniejsze żywioły, zaczął pisać trochę za pośpiesznie i zaniedbywać obrobienie artystyczne idąc śladem tych t. z. „humorystów“ naszych, którzy koncept wyżéj cenią nad prawdę charakterów i sytuacyi. Części w tych większych kompozycyach bywały nieraz bardzo ładne, same przez się mogły wybornem być świadectwem rzetelnego talentu autora, lecz ich ustosunkowanie do siebie przedstawiało zazwyczaj wiele wadliwości, a mianowicie brak rozwinięcia sytuacyi, które były konieczne, a zbyt długie traktowanie takich, któ-

rych łatwo się domyśléć, brak naturalnego następstwa zdarzeń, lecz ich dowolne zestawianie, przemiana usposobień niedostatecznie uprawdopodobniona i t. p. W „Szarych obrazkach“ mamy dwa także większe utwory: „Po burzy“ i „Sukcesya po Gozdawach“. W obu jest rozumna myśl przewodnia, któréj powtarzanie za zasługę Junoszy poczytać należy. Charakterystycznie wypowiada ją w prologu do powieści „Po burzy“ chłop odwożący zubożałą rodzinę szlachecką ze wsi rodzinnéj na tułaczkę po miastach: „Podobniéj byłoby pani z panieukami na wsi pozostać. Tu po Niemcu kolonia jest nie duża, możnaby w arendę za małe pieniądze wziąć, parobka sobie przynająć i żyć siako tako... Może ja się nie znam, ale zawdy to wiem, że jak jest ziemi kawałek, to i chléb jest i kartofiel i mléka kapeczka i okrasa, przynajmniéj choć biédnie, to co nieco w gębę można włożyć—a w mieście, na onych twardych kamieniach żyć ciężko. Miałem ja krewniaka co do miasta poszedł, to on mi powiadał, jaki tam smak...“ (str. 12). Smaku istotnie gorzkiego zaznała najstarsza córka tego zubożałego domu, Zosia, która nauczycielski chléb jeść próbowała. Udręczona, oszkalowana, doznawszy serdecznego zawodu, gdy ten, któremu serce oddała, zagnany burzą w kraje daleko, zapomniał tam i o niéj i o ziemi rodzinnéj, dopiéro uspokojenia i szczęścia dostąpiła wówczas, gdy wyszedłszy, po przebyciu ciężkiéj choroby, za mąż, znowu na wsi osiadła. Pierwiastków, żywo mogących zająć w téj powieści wcale nie brak, bo i czas obrany i stosunki przez ten czas sprowadzone i położenia osób i ich uczucia, dostarczały sporo wątku do utworzenia interesującéj i ważnéj całości. Ale wykonanie osłabiło siłę zajęcia nasuniętego treścią. Momentów najważniejszych autor wyzyskać nie umiał; podrzędne zaś zbyt szeroko i karykaturalnie rozwijał: malowania uczuć nie pogłębił, trzymając się tylko zewnętrznéj strony wypadków. Z całéj powieści nie świat wzbogaconych ludzi, nawet nie bohaterka powieści najlepiéj zostały wykonane, lecz dwa poboczne jedynie obrazki: prolog przedstawiający rozmowę chłopów świéżo ze stanu pańszczyźnianego oswobodzonych o zrujnowanych dziedzicach, oraz wyborna maglarka ze Starego-Miasta, która dała Zosi przytułek. W „Sukcesyi po Gozdawach“ z początku zanosiło się na jakąś tajemniczą historyę staroszlachecką, z trumną od trzech pokoleń czekającą na właściciela, z duchami, ukazującemi się w pewnych porach roku, skończyło się na krótkich i dość sucho opowiedzianych dziejach urzędnika, który objąwszy sukcesyę po dziadku rozmiłował się w pracy rolnéj, poślubił dobrą, gospodarną panienkę, stracił ją po dwu latach pożycia, oddał się wychowaniu syna i smutny, ale zrezygnowany czeka zgonu. „Pokój przy familii“ to jedna z „humoresek“, z których chwilowo można

się trochę uśmiać, ale które artystyczną kreacyą nazwane być nie mogą. „Cud na kirkucie“ jest charakterystyką uczonego krawca Dawida, bardzo pochopnego do rozmowy, którą uprzyjemnia drogę temu, u którego się przysiada, rozwijającego mnóstwo zabawnych poglądów na stosunki ludzi ze światem niewidzialnym, opowiadającego wreszcie legendę o zniżeniu się pagórka, na którym stał kościół katolicki, a obok kirkut (w Lublinie). Rzecz ta żywo prowadzona; autor był widocznie w swym żywiole. „Nie odchodź!“ — to temat przedstawiający dla powieściopisarza-psychologa pole do rozwinięcia ciekawego obrazu (łagodne obłąkanie z powodu zawodów moralnych); Junosza przedstawił go w sposób anegdotyczny niemal.

— **Historya pedagogii** ułożona przez *Maryę Bielską*, kierowniczkę zakładu naukowego żeńskiego we Lwowie (Lwów, 1890, str. 196, III). Od czasu wydania „Chowanny“ Trentowskiego (r. 1842), gdzie w trzeciéj części, t. j. w „Epice“ szkolnéj, przedstawiona była obszernie historya wychowania, wykształcenia i oświaty od czasów najdawniejszych aż do pierwszych czterech dziesiątków naszego stulecia, nie mieliśmy drugiéj książki, z któréjby wiadomości te czerpać było można. Jakkolwiek u Trentowskiego, skutkiem jego systematu, w wykładzie panowało pewne naciąganie faktów do formuł z góry ustanowionych, same jednak szczegóły dotyczące urządzenia szkół w różnych epokach, oraz poglądów wychowawczych, oparte były na dokładnéj znajomości rzeczy i w przeważnéj części nie utraciły do dziś dnia swego znaczenia. Szkoda, że autorka „Historyi pedagogii“ nie znała téj pracy, tak że swoją książkę uważa za pierwszą w piśmiennictwie naszém, mogłaby bowiem nietylko uniknąć tego ważnego błędu w zapatrywaniu się na naszą literaturę pedagogiczną, ale także wiele skorzystać z dzieła Trentowskiego, mianowicie w zakresie pedagogii polskiéj. P. Bielska daleko szczuplejsze dziełku swojemu dała rozmiary, i pomieściła w nim zarys najważniejszych tylko faktów z dziejów szkoły i historyi poglądów i systematów wychowawczych. Dzieli całą historyą pedagogii na 3 epoki (przedchrześciańską, średniowieczną, nowożytną, od reformacyi do Froebla, Bell-Lankastra i Jacotot), dodając przy końcu na 30 kilku stronicach obrazek „szkolnictwa współczesnego“ w Austryi, Niemczech, Szwajcaryi, Szwecyi, Francyi, Anglii, Ameryce, czyniąc krótkie wzmianki o Spencerze i Bainie. Czerpiąc wiadomości swe z dobrych podręczników, autorka ułożyła dziełko pożyteczne, mogące mieć praktyczne zastosowanie w szkołach i edukacyi prywatnéj: zwrócić więc winniśmy uwagę, że przy drugiém wydaniu trzeba bardzo starannie poprawić język i styl, które, jak to sama autorka wyznaje (czém krytykę rozbraja) są wielce wadliwe.

= **Ona**, powieść przez *Maryę Rodziewiczównę* (Warsz., T. Paprocki, 1890, str. 222). Jestto jedna z tych powieści, które Niemcy nazywają „*Leihbibliothekromane*“, t. j. które w czytelniach znajdują odbyt, chociaż wartości ani psychologicznéj, ani artystycznéj nie posiadają. Treścią ich jest zazwyczaj jakieś sensacyjne zdarzenie, wywołujące wśród tłumów ciekawość i pobudzające do nieszkodliwego wylewania łez nad książką. Czy powiązanie wypadków jest prawdopodobne; czy objawy uczuć są dobrze zaobserwowane i dobrze opisane, o to autorowie podobnych powieści troszczą się bardzo mało. P. Rodziewiczówna, pozyskawszy rozgłos „Dewajtisem“, ufna w powodzenie, przestała zważać na takie drobnostki jak prawda psychologiczna, lub budowa artystyczna; pisząc żywo i energicznie, dobierając rysów grubych lub ostrych, barw krzyczących, plącząc dowolnie wypadki, sądzi, że tworzy dzieła sztuki, gdy tymczasem daje tylko „roboty“, mające chwilowe powodzenie. „Ona“ w początku, gdy przedstawia smutne, przykre jednostajne życie ubogiéj krewnéj, będącéj popychadłem w domu bogatych, jakkolwiek porusza temat nie nowy, szczegółowém a znamiennem atoli skreśleniem stosunków życia powszedniego zająć może każdego, co lubi obserwacye; lecz w dalszym ciągu, gdzie opowiada nieprawdopodobne awantury o samowolném uwięzieniu Sewera, o jego obłąkaniu, o środkach przedsiewziętych przez Kostusię celem uwolnienia go, o wędrówce po świecie téj dziwnéj pary, stanowi już tylko szereg scen sensacyjnych bez wartości psychologicznéj, ni artystycznéj. Nie posiadają one nawet zalety urozmaicenia, są nużąco jednostajne; autorce bowiem chodziło głównie o wystawienie siły charakteru i poświęcenia Kostusi, nie lękającéj się najtwardszego nawet losu, byle osłodzić cokolwiek bolesne życie ukochanego. Że energiczne kobiéty są, nie wątpimy; ale taki przykład energii, jaki w Kostusi przedstawiła p. Rodziewiczówna, wygląda na bajkę, opowiedzianą dorosłym dzieciom w tém mniemaniu, że się rozwija jakiś wielki charakter.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

W Warszawie karnawał.—Szlachta i humoryści.—Kto jest u nas najuporczywszym zachowawcą.—Wesoła prasa i pojęcia społeczne.—Jarmark wełniany i wyścigi. — Niespodzianka z totalizatorem.—Jak sobie poradzić z niebezpiecznym figlarzem.— Komu i na co potrzebne są wyścigi.—Zabawa możnych na koszt nędzy.—Wakacye. —Niedola biedactwa bez promocyi. — Zdrowie i wieś.—Kolonie letnie. — Jakiego poparcia potrzebują usiłowania d-ra Fritschego.-—Muzeum rzemieślnicze.—Milczenie zainteresowanych. — Atak powszechny na Muzeum przemysłu. — Zapomniany bazar.—Za i przeciw.—Dlaczego należy założyć bazar.

W Warszawie dogorywa t. zw. karnawał letni. Główną przyczyną jego jest podobno jarmark wełniany, a punktem kulminacyjnym—wyścigi.

Jakoby nawet fizyognomia ulic miasta naszego zmienia się wskutek napływu ogorzałych twarzy i zawiesistych wąsów ziemian. Nie jestem na to dość biegłym obserwatorem i znawcą — na ulicach nic szczególnego nie widzę, tém więcéj, że rzemieślnicy warszawscy noszą czapki z takiemiż daszkami i lampasami, jak maciejówki szlacheckie. Gdybym jednak zachorował na jaką długotrwałą nonnę (podobno jest już ona blisko, bo do Radomia przybyła), i obudził się chociażby po wielu nawet latach w karnawale letnim, to poznałbym go po rysunkach i dowcipach pism humorystycznych.

Pomimo iż młodsze pokolenia dostarczyły, zdaje się, sporego zapasu pracowników wesołego ołówka i wytworców rymowanych dowcipów, to jednak humoryści nasi robią wrażenie dziwnie zatwardziałych konserwatystów. Podobni są do starca, który wzrok i słuch postradał, opowiada tylko anegdotki zasłyszane niegdyś od kogoś o dawno zaginionych, a nawet może o wcale nieistniejących ludziach i wypad-

kach. Życie przesuwa się tuż obok w coraz nowych odmianach, a oni odgrzéwają co roku w zimie téż same koncepty o balach, w lecie téż same anegdotki, niestety płaskie przeważnie, o bankrutujących szlachcicach, siedzących w kieszeni u żyda-arendarza i trwoniących pieniądze za wełnę w towarzystwie kokotek po knajpach warszawskich. Przerwy łatane są obrazkami z półświatka, nie wiem—ciekawemi czy budującemi.

Dosyć uważnie studyuję płody humorystyki naszéj i nie mogę znaleść niemal szczegółu jednego, któregobym w kilku postaciach nie widział lub nie czytał kilka razy w latach dawnych. Nikt z pewnością nie pielęgnuje tak starannie spuścizny po ojcach, jak nasi humoryści peryodyczni. Coraz natarczywiéj domagamy się od powieściopisarzy, aby nam dawali postaci i sytuacye rzeczywiste, aby życie chwytali na gorącym uczynku; od malarzy żądamy zaniechania konwenansowych, zużytych poz i fizyognomii,—sądzę więc, że humorystów chociażby poprosić można: bądźcie panowie łaskawi, rzućcie już raz tę piłę, nie powtarzajcie więcéj starych konceptów na całkiem wyczerpane tematy, które wy w dziennikarskim języku nazywacie „*actualité*“; przyglądajcie się życiu, ilustrujcie je, zamiast przy pomocy samego natchnienia dorabiać koncepty do pory roku.

Prośba podobna jest tém bardziéj uzasadniona, iż dowcipki o szlachcie głupiéj i lekkomyślnéj, o szewcach-pijakach, żydach-szachrajach, o chłopach-idyotach po tylotysiącznéni powtórzeniu wsiąkają w pojęcia ogółu, lub przynajmniéj pewnéj jego części, i jakąś rolę odgrywają w tworzeniu się sądów społecznych.

O wyścigach nic napisać nie mogę, bom ich nie oglądał, ale téż i nic pisać nie potrzebuję, gdy nie ma chyba umiejącego czytać człowieka, którýby nie był dostatecznie uraczony opisami gonitw we wszystkich pismach codziennych. Przytém przyjęte jest wyścigi opiewać stylem świątecznym i przeplatanym okrzykami angielskimi, a nie jest mi znane źródło, skąd szanowni sprawozdawcy czerpią imponującą wiedzę lingwistyczną — posiadam wprawdzie najnowszą metodę p. Bergera, ale wobec niepewnego skutku nie chce mi się narażać na stratę czasu.

Dla ścisłości kronikarskiéj, ufając na słowo kolegom-dziennikarzom, dodać muszę, iż wyścigi tegoroczne bogate były bardzo w wypadki nadzwyczajne: zwyciężały konie, które zwyciężyć nie powinny były; totalizator płacił sumy, jakich nigdy dotąd nie płacił.

Nie wiem, czy wszyscy czytelnicy moi wiedzą, co jest totalizator? Krótko mówiąc, jestto pośrednik w zawieraniu zakładów. Urzą-

dza go towarzystwo wyścigów i za łaskawe pośrednictwo pobiera 10%, a więc piękny procencik (gdzieniegdzie nazywany lichwą) od cudzego kapitału.

We wszystkich mniéj więcéj krajach rozpoczęły się już prześladowania totalizatora. Roznamiętnia on niemniéj niż gra hazardowna w karty lub ruletka, jeżeli więc domy gry nie wszędzie są tolerowane, jeżeli w miejscach publicznych we Francyi np. nie wolno jest grać o pieniądze nawet w bilard, to z jakiéj racyi zrobiono wyjątek dla totalizatora?

W różnych miejscach przedsięwzięto przeciwko totalizatorowi różne środki. W Warszawie zniesiono możność stawiania sum mniejszych, niż dziesięć rubli. Spodziewano się, iż środek ten usunie od gry większą i biédniejszą część miłośników ryzyka, a koniecznym skutkiem tego byłoby zmniejszenie się obrotu. Tymczasem totalizator zawiódł rachuby. Dawnych lat obrót jednodniowy sięgał 12—13 tysięcy, w tym roku doszedł do 18 tysięcy rubli!

Po fakcie zjawisko objaśnić nie trudno. Starzy gracze o wygraną nie dbali, z namiętnością rozstać nie chcieli, wciągnęli nowych i stawiają z nimi do współki, a nieraz może i sami wyżéj ryzykują. Słowem, złe wzrosło, potrzeba usunięcia jego stała poważniejszą i pilniejszą.

Ale co począć? Znieść totalizatora zupełnie? Kto zaręczyć dziś może, że to znowu nie pogorszy sprawy? Ludzie zakładać się będą na boku, powstaną totalizatory ukryte, pobierające nie 10, ale 50% i więcéj.

Jeden jest tylko środek pewny, ale zarazem niewykonalny — znieść same wyścigi.

Wyścigi nietylko dają zawsze, pomimo wszelkich zakazów, możność gry i hazardu, ale jednocześnie uprawniają niejako totalizatora. Są one uznawane powszechnie za rzecz pożyteczną, dowodzi tego pochodzenie pieniędzy na pewną część nagród, można więc bronić twierdzenia, że i ogół przyczynić się winien do popierania instytucyi, przynoszącéj korzyść krajowi. Innéj zaś drogi zbierania podatku w danym razie nie ma.

Nie chcę bynajmniéj twierdzić, że rozumowanie podobne jest słuszne. Nigdybym się nie zgodził, aby dla jakiegośkolwiek celu można było demoralizować obywateli i rozwijać w nich szkodliwe instynkty. Zaznaczam tylko, iż dopóki istnieją wyścigi i dzisiejszy pogląd na nie, możliwą jest podobna obrona totalizatora. Gdyby nie ta okoliczność, byłby on już niewątpliwie zniesiony, jeżeli nie wszędzie, to przynajmniéj w wielu miejscach.

Nie spotkałem się nigdy i zapewne wielu czytelników „Ateneum“ nie spotkało się również z poważném rozpatrzeniem rzeczy, czy rzeczywiście hodowla koni zyskuje co na wyścigach. Od czasu do czasu jakieś pismo rzuci gorzkie słowo na „pańską igraszkę“ bez żadnego znaczenia społecznego. Ale utyskiwania takie podobne są nieco do humorystyki naszéj, wyglądają na powtarzanie staréj piosenki, bez szczegółowéj znajomości rzeczy. Byłoby więc bardzo pożądane, aby ktoś, dobrze świadomy rzeczy, zechciał wyświetlić, czy rzeczywiście racyonalna hodowla koni potrzebuje wyścigów i czy dzielne bieguny wpływają na poprawę rasy koni pociągowych, o jakie dziś przedewszystkiém, albo nawet wyłącznie chodzić może.

Prawdopodobnie pytania wypadną twierdząco, wobec tego, że wyścigi konne traktowane są jak instytucya użyteczności publicznéj, niemal jak np. Towarzystwo Dobroczynności, gdyż dla ostatniego urządzaną jest loterya, dla tamtych zaś totalizator. Zawsze jednak byłoby lepiéj miéć rzecz wyłożoną czarno na białém i nie potrzebować pocieszać się wiarą w powagę cudzego zdania.

Gdyby się wbrew prawdopodobieństwu okazało, iż wyścigi w saméj rzeczy są tylko igraszką sportsmanów, totalizator wtedy wystąpiłby w świetle jeszcze potworniejszym: byłby środkiem ściągania pieniędzy z biédaków na zabawę dla panów.

Dodać trzeba, że wiele magnackich rodzin w Galicyi (Sanguszkowie, Dzieduszyccy, Sapiehowie, Zamojscy i t. d.), pomimo że posiadają świetne stajnie, stadniny, nie posyłają wcale koni na wyścigi, nie widząc istotnéj potrzeby i pożytku.

Jeszcze jedna zmiana zaszła w składzie ludności warszawskiéj, chociaż i téj okiem dostrzedz nie łatwo— dziatwa szkolna już się rozjechała. Po ciężkich wysiłkach egzaminowych słusznie należy jéj się wypoczynek na świeżém powietrzu. Cóż jednak, kiedy wielu (prawdopodobnie większość) biédaków wraca do domu rodzicielskiego bez promocyi i będzie musiała podczas skwarów lipcowych i sierpniowych kuć łacinę i grekę. Rodzice są powszechnie zbyt pod tym względem wymagający, pamiętać nie chcą, że zdrowie dziecka jest przynajmniéj równie ważne, jak dobra cenzura. Trzeba koniecznie dać wypocząć i umysłowi i nerwom. Nieotrzymanie promocyi nie dowodzi bynajmniéj próżnowania w ciągu roku. Tylko ósmoklasiści wyjechali szczęśliwi, tym we śnie chyba obawa egzaminu zakłóci różowe marzenie o uniwersyteckim raju. Za to przed samém otrzymaniem patentów odsiadywali kozę za znaną malwersacyę z ćwiczeniami.

Dużo dzieci wyjechało, ale dużo téż zostało wśród pyłu miej-

skiego i wyziewów. Tych prawdziwie żałować należy. Nie ulega wątpliwości, że świéże powietrze jest niezbędnie dla zdrowia potrzebne szczególniéj dla organizmu rozwijającego się. Parę miesięcy, spędzonych co roku na wsi, stanowić może o zdrowiu i siłach do pracy na całe życie. U nas jednak nie wszyscy o tém wiedzą, nie wszyscy myślą i nie wszyscy się téż troszczą.

Tém większą jest zasługa d-ra Fritschego, że sprawę tę nietylko poruszył, ale w znacznéj części w czyn wprowadził. Corocznie, nie szczędząc zachodu, wyprawia on do zorganizowanych przez siebie kolonii letnich kilka gromadek dzieci. Kolonie, jak zapewniają ludzie rzecz bliżéj znający, urządzone są wzorowo zarówno pod względem hygienicznym, jak i moralnym. Dzieci biédnéj ludności, które w suterénach przez całe życie słyszały głównie przekleństwa i narzekania zapracowanych rodziców i sąsiadów, spędzają czas pod dozorem wychowawcy i w towarzystwie, które je uszlachetni i niejedno może zdrowe a plenne ziarno rzuci do umysłu i serca.

Ale owoce usiłowań p. Fritschego, to tylko cząstka tego, co w danéj sprawie zrobić można i należy. Nie pamiętam dokładnie w téj chwili, jaka liczba dzieci korzysta z kolonii letnich, w każdym razie jest ona nieznaczna i obejmuje tylko pewien wiek. Tymczasem sam Poznań wysyła rocznie na wieś 800 dzieci! Ale tam ogół niemal posiadaczy ziemskich bierze do serca potrzebę świéżego powietrza dla dziatwy miejskiéj i każdy prawie dom wiejski ofiaruje na czas wakacyjny gościnne przyjęcie dla 4—5 malców. Nie zachodzi więc potrzeba żadnych szczególnych urządzeń, brak środków nie staje na przeszkodzie.

Zdarzają się i u nas obywatele, przychodzący z pomocą w danéj sprawie, ale jest ich niewielu; wprawdzie urządzają oni za to całe kolonie na wielką skalę, ale téż korzystanie z dobrego przykładu jest trudne lub niemożliwe, bo kosztowne. PP. Bersonowie np. dają przytułek u siebie w Lesznie aż 120 dziewczynkom, żydówkom i katoliczkom, dzieląc je na 3 partye, z których każda bawi miesiąc. Kolonie pp. Bersonów pozostaje również pod opieką p. Fritschego.

Koniecznie należałoby spopularyzować wśród ziemian myśl brania biédnych dzieci miejskich na wakacye. Dla wielu dworów nie sprawiłoby to nawet żadnego ambarasu; przypuszczać można, iż nie czynili tego dotąd, bo im nikt uwagi nie zwrócił, nie przekonał o pożytku i potrzebie. Gdy się już znalazł człowiek, co się temu oddał z poświęceniem, gdy istnieje niejako organ centralny, dalszy postęp dobréj sprawy z łatwością poruszać się naprzód może. Trzeba tylko naciskać bierną naturę ludzką.

Kiedy mowa o dziatwie, pośpieszamy przyłączyć się do hołdu, jaki dawni uczniowie składają nauczycielowi swemu, p. Janowi Pankiewiczowi, w 50-letnią rocznicę rozpoczęcia jego działalności pedagogicznéj. Wobec wdzięcznéj pamięci kilku pokoleń,—gdyż na uczcie dla jubilata zasiądą mężowie osiwiali w pracy długoletniéj i młodzież, co wczoraj jeszcze do klasy chodziła, — słowa wszelkie byłyby tylko bladym i zbytecznym dodatkiem. Nie chcemy téż niemi szafować. Natomiast trudno się powstrzymać od smutnéj uwagi, iż nauczycieli, którzy się tak zapisali w sercach uczniów, coraz mniéj.

Rozdźwięk zupełny pomiędzy światem uczącym i nauczanym co roku wzrasta, przestają się one rozumiéć, przestają oddziaływać na siebie. Są jeszcze młodsi koledzy p. Pankiewicza, których spotka może kiedyś taka nagroda za dzisiejsze trudy, ale i ci już wkraczają w drugą połowę życia.

Prof. Pankiewicz główną część swéj pracy poświęcił warszawskiemu gimnazyum realnemu, dzisiaj zaś posiada własną sześcioklasową szkołę w mieście naszém.

Na ostatniém posiedzeniu sekcyi rzemieślniczéj w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu rozprawiano o *muzeum rzemieślniczém.*

Inicyatywę dało prezydyum sekcyi, występując z motywowanym projektem założenia właśnie takiego muzeum.

„Stwierdzoném zostało niejednokrotnie — głosi wstęp do projektu,—iż rzemiosła nasze nie rozwijają się należycie i z téj racyi nie są w stanie wytrzymać konkurencyi z zagranicą. Wyroby dotychczasowe naszych rzemieślników, z bardzo małemi wyjątkami, nie zalecają się ani pomysłowością, ani sposobem wykonania, ani téż zewnętrznym swym wyglądem. Stare, pierwotne sposoby wyrabiania, zabierające wiele czasu i zbyt dużo pracy samym wykonawcom, są przyczyną stosunkowo wysokich cen i t. d.“

Jeden ze środków zaradzenia złemu stanowią właśnie muzea, zagranica korzysta z nich oddawna. Pierwowzorem tego rodzaju instytucyi jest muzeum w Stutgarcie. Założono je w r. 1849 celem podniesienia rękodzieł i całkowicie osiągnięto rezultat. Pod wpływem jego—jak zapewnia prezydyum sekcyi rzemieślniczéj—rękodzieła rozwinęły się bardzo, handel zakwitnął, dobrobyt nastał.

Muzeum stutgarckie w chwili obecnéj jest już instytucyą o wielostronnéj działalności i na wielką skalę. Muzeum warszawskie ma zamiar na początek zacieśnić sferę działalności i głównie współdziałać udoskonaleniu rękodzieł, podniesieniu poziomu rzemiosł. Wedle projektu prezydyum, muzeum miałoby na celu:

1) przedstawienie postępów w sposobach wykonywania wyrobów rzemieślniczych, jako to: ulepszonych narzędzi i maszyn, umożliwiających dokładne wykonywanie robót i w ogóle ułatwiających pracę ludzką, dalej motorów dla rzemiosł i drobnego przemysłu i t. p.;

2) przedstawienie wzorowych i najlepszych okazów nowoczesnéj produkcyi rzemieślniczéj, zasługujących na to tak pod względem pomysłowości i estetycznego wyglądu, jako téż pod względem dokładności wykonania;

3) nagromadzenie środków pomocniczych dla robót w warsztatach rzemieślniczych (rysunki, fotografie, wzory, modele, pisma specyalne, książki i t. p.).

Ponieważ projekt — jak twierdzą inicyatorowie — wymaga bliższego rozpatrzenia szczegółów, uzyskania odpowiednich funduszów i darów, więc prezydyum proponuje sekcyi rzemieślniczéj, aby, przyjąwszy w zasadzie konieczność urządzenia muzeum, zwróciła się do zarządu Towarzystwa o zajęcie się tą sprawą, o wybranie komisyi, którąby obmyśliła wszelkie szczegóły urządzenia i doprowadziła projekt do skutku.

Na posiedzeniu obecni byli rzemieślnicy, a także przemysłowcy, przeważnie więksi. Ostatni wzięli udzial najżywszy w dyskusyi. Rzemieślników trzeba było popychać, ciągnąć niejako do głosu. Ponieważ w sali znajdowali się wybitni przedstawiciele głównych gałęzi rękodzielnictwa, i ponieważ zwykle narady w téj sekcyi są bardzo ożywione, wnosić więc można, iż myśl muzeum była dla nich nowa; nie stawiali żadnych żądań, nie wskazali żadnego ideału swego, gdyż na razie nie zdawali sobie dokładnie sprawy ze znaczenia i doniosłości instytucyi podobnéj.

Tylko p. Juszczyk (krawiec) wystąpił z jedném żądaniem i zdaje się, bardzo słuszném. Dowodził, iż w muzeum znaleść się powinny koniecznie okazy wyrobów dawnych, które częstokroć służyć mogą za doskonały wzór do naśladowania. P. Szewczykowski (ślusarz) myśl tę poparł, stwierdzając, iż wyroby dawne lepsze są od dzisiejszych.

Było to jedyne żądanie ze strony rzemieślników. Wszyscy oni jednozgodnie uznali, że muzeum jest potrzebne, że może przynieść bardzo znaczne rezultaty, ale do dyskusyi szczegółowéj nie udało się ich wciągnąć, pomimo widocznych usiłowań w tym kierunku prezydyum i innych uczestników.

Zaraz na początku zebrania, bezpośrednio po odczytaniu projektu prezydyalnego, p. Dawid Rosenblum oświadczył, że, uważając pomysł za dobry, zobowiązuje się złożyć na jego urzeczywistnienie

300 rs. W czasie dyskusyi p. S. Dickstein obwieścił sekcyi, iż jeden z jego przyjaciół przeznaczył na cel ten znaczną sumę, ale ściśle jéj wysokość ustanowi dopiéro po ostatecznem skrystalizowaniu się projektu. P. Kiślański, wice-prezes Towarzystwa, ofiarował rs. 100 i dodał, że Zarząd bardzo sympatycznie przyjął projekt i wszelkich sił dołoży, aby go doprowadzić do skutku; ręczył téż, że rzecz załatwiona zostanie prędko i dobrze.

Posypały się składki, 50-cio, 10-cio, 5-cio rublowe zapisy. Rzemieślnicy nie pozostali w tyle, stwierdzając, że istotnie myślą, jak mówili, i muzeum uważają za rzecz potrzebną. Ogólna suma ofiar pod koniec posiedzenia wynosiła 705 rubli.

W obec takiego początku należy mieć nadzieję, iż projekt urzeczywistni się i to może w czasie niedługim.

Podczas rozpraw niejednokrotnie i ze stron wszystkich słyszéć się dały głosy sarkazmu i narzekania na Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Nagana była całkiem jednomyślna, połączyło się w niéj prezydyum z przemysłowcami i z rzemieślnikami. Urągano, że stanął gmach wspaniały, a w gmachu nie ma nic, że nadesłane okazy marnują się i t. d.

Nie znamy téj rzeczy bezpośredno, nie wiemy, jakie przeszkody hamowały należyty rozwój Muzeum, nie dajemy więc głosu ani za, ani przeciw. Wypada jednak zaznaczyć fakt niepopularności instytucyi; niepopularność ta rażąco wystąpiła na jaw, musi mieć swoje przyczyny, które powinniby być chyba usunięte.

Co więcéj, wśród rzemieślników dała się słyszéć jakaś, niewyraźna co prawda, nuta niechęci, lub może niewiary w powodzenie muzeum rzemieślniczego, właśnie wskutek fiaska (jak tam utrzymywali) Muzeum Przemysłu. Słowem, bieg spraw Muzeum przemysłu i rolnictwa wywiera wpływ demoralizujący, a to przecie mieć miejsca nie powinno.

Zdaje się, iż muzeum, szczególniéj w połączeniu ze stałą wystawą prób, powinno rzeczywiście dodatnio wpłynąć na rozwój rękodzielnictwa naszego. Pierwsze może udoskonalić wytwórczość, druga zapewne ułatwi i powiększy zbyt.

Pół roku temu była mowa jeszcze o innéj, trzeciéj instytucyi rzemieślniczéj, mianowicie o *bazarze*. Przypomniała go wtedy broszura „Co się dzieje z Bazarem rzemieślniczym,“ sam projekt był o rok wcześniejszym.

Broszura nie wywołała wielkiego skutku — o bazarze wciąż dosyć głucho, możnaby mniemać, że myśl doprowadzenia go do skutku

została zaniechana. Na szczęście podobno tak nie jest, rzecz się posuwa, choć wolnym krokiem.

Pewnym potrzebom, które miał zaspokoić bazar, czyni już zadość wystawa stała, gdyż dla tego i owego rzemieślnika zastąpi ona w pewnéj części potrzebę najmowania sklepu na pryncypalnéj ulicy i urządzania efektownéj wystawy; a nadto znaleść można na niéj adresy i anonse.

Ale to wcale nie wszystko; biédny robotnik potrzebuje innéj jeszcze, czynniejszéj pomocy. I muzeum i wystawa mają na widoku wytwórczość rzemiosła, bazar był pomyślany dla ludzi, dla rzemieślników. Potrzeba jego nie zniknęła, nie zmalała nawet może. Wybijający się na wierzch dobry, zdolny i sumienny rzemieślnik wciąż toczyć musi walkę ciężką z tandetą miejscową i przywiezioną, musi wytrzymać konkurencyę z firmami już głośnémi; środków zaś do walki, do przebrnięcia ciężkiego okresu biédy nie posiada. On potrzebuje nie reklamy wobec nabywców hurtowych na wystawie stałéj, bo hurtownego obstalunku nikt u niego nie zrobi, i on samby go się nie podjął, jemu niezbędną jest sprzedaż drobiazgowa, codzienna i tę miał mu bazar ułatwić.

Początkowo bazar wywołał wiele zapału, pośpiechu, nawet niecierpliwości, z biegiem czasu rzecz cała poczęła coraz głębiéj tonąć w obojętności ogółu rzemieślniczego. Może jednak nie leży wyprowadzać stąd wniosków o naszéj zapalnéj, lecz niewytrwałéj naturze, nie należy wyrokować ponuro o przyszłych losach muzeum naprzykład. Sam pomysł bazaru jest tego rodzaju, że wywołać może różne zarzuty i obudzić wątpliwość co do pożądanego skutku, szczególniéj gdy się kto bliżéj mu przypatrzy.

O ile słyszeliśmy, projekt nie wszystkim wydaje się dziś możliwy do urzeczywistnienia ze względów finansowych. Od 10,000 rubli, jakie przeznaczono na bazar, po wynajęciu lokalu—który przecie musi być obszernym, jeżeli objąć ma wszystkie rzemiosła, zostanie wcale nie wiele. O zaliczkach dla tylu rzemieślników w tylu rodzajach rękodzieł, mowy nawet prawie być nie może. A tymczasem, czy niezamożny robotnik, szewc, krawiec, ślusarz, jest w stanie dawać robotę i użyty towar bez natychmiastowego zwrotu za materyał i bez zaliczki za pracę? Czy więc bazar nie okaże się bezsilnym pod względem udzielania pomocy najbardziéj potrzebującym? Zamożniejsi zaś prawdopodobnie sami sobie poradzą.

Trudność ta dałaby się zapewne usunąć, gdyby bazar otrzymywać mógł jakieś hurtowne zamówienia, np. na mundury dla strażaków od magistratu, na buty dla dróżników od zarządu kolei i t. d. Ale natomiast nasuwa się trudność inna. Wszelka instytucya, powierzając robotę,

musi mieć przed sobą kogoś odpowiedzialnego, kogoś, na kim dochodzićby można było w razie niedotrzymania umowy, w razie złéj dostawy i t. d. A któż może być odpowiedzialnym w bazarze? Jużciż nie ten drobiazg rzemieślniczy, dla któregoby bazar urządzono i który ostatni może grosz nań złożył. Niepodobna sprzedawać na pokrycie pretensyi na licytacyi wyrobów kowalskich, jeżeli ślusarze zawinili.

Gdyby zaś odpowiedzialność sięgała po za udział, to nikt zamożniejszy nie chciałby dać grosza jednego. Wszelkie zaś urządzenie akcyjne, wymagałoby znowu opłacania procentów od kapitału, przez co zysk rzemieślników spadłby do bardzo malucłmych rozmiarów.

Słowem, koło zaczarowane, z którego — wedle opozycyi — wybrnąć niepodobna.

Przytém i same zaliczenia, gdyby się udało je nawet udzielać, mogłyby rozmaicie wpływać. Gdyby rzemieślnicy znajdowali stałą i pewną w każdéj chwili zaliczkę na dostawione przez nich wyroby, produkowaliby ileby tylko mogli, nie rachując się wcale z zapotrzebowaniem rzeczywistém, coby oczywiście wytworzyło nadprodukcyę, upadek cen i wogóle stosunki nienormalne.

Przeciwko tym zarzutom da się téż powiedziéć nie jedno. Istnienie bazaru w niczém nie krępuje rzemieślnika i nie odbiéra mu dotychczasowéj jego klienteli. Możność zaniesienia wyrobu już gotowego, na który nie spodziéwa się w domu znaleść kupca, jest korzyścią, że tak powiem, nadetatową, która pomóc może, a w żadnym razie nie szkodzi. Bazar nie da zaliczek—zapewne, ale bez bazaru rzemieślnik zaliczek nie ma również.

Może wielkich rzeczy spodziéwać się od bazaru nie należy, ale téż i suma 10 tysięcy rubli nie jest wielką.

Trudności finansowe nie stanowią zresztą jedynego zarzutu. Utrzymują ludzie, iż zarząd tego rodzaju instytucyą jest niezmiernie trudny. Sklep będzie omnibusem w całém znaczeniu tego wyrazu, znaleść się w niém mogą wszelkie przedmioty sprzedawane i kupowane, ilu więc ludzi potrzeba, aby każdy rodzaj i gatunek towaru miał jakiegoś znawcę; a znawstwo szczególniéj przy przyjmowaniu towarów będzie potrzebne.

Istnieją wprawdzie wielkie magazyny, bazary, ale tam czuwa właściciel, powodowany interesem osobistym. On pilnuje sprzedających i nie rachuje się z mogącemi stąd wyniknąć przykrościami; on jest panem sytuacyi, dziś sprzedaje niżéj kosztu, jutro robi spekulacyę na jakimś nadzwyczajnym zakupie; łamie głowę jakby przyciągnąć publiczność! Tu zakupów robić nie można, sprzedawać taniéj niepo-

dobna wobec rachunku z całemi setkami dostawców-właścicieli, którzy nie zgodzą się na żadną operacyę, chociażby najbardziéj pożyteczną dla całości, jeśli ma być opłacona ich stratą.

Zarządzałby bazarem jakiś urzędnik najęty. Co za przymioty posiadaćby on powinien, jak całkowicie oddaćby się musiał instytucyi, poświęcić się dla rzemieślników, aby w części chociaż zastąpić właściciela. Nie podobna liczyć, aby zawsze się taki człowiek znalazł.

Te przeszkody i trudności, niewątpliwie rzeczywiste, nie zabiły jednak dotąd bazaru pracy kobiét. Wprawdzie wiele różnic dzieli oba te bazary, ale pewne podobieństwo znajduje się w saméj istocie rzeczy.

Również niejaką analogię wyszukać można pomiędzy bazarem i przedsiębiorstwem zjednoczonych rzemieślników. Z tych przedsiębiorstw jedne (krawców, ślusarzy) upadły, inne (stolarzy) przez lat wiele trzymają się przy życiu. Należałoby zbadać dzieje tych zjednoczeń, prawdopodobnie dostarczyłyby one pewnych wskazówek dla bazaru.

Jedném słowem, kwestya daleka jest bardzo od całkowitego wyjaśnienia, ma wiele różnych stron i pozwala na istnienie różnorodnych zdań. Czy jednak ta okoliczność powinna powstrzymać doprowadzenie bazaru do skutku? Naszém zdaniem — nie.

Przedewszystkiém żadna możliwie słaba strona bazaru nie usuwa bynajmniéj potrzeby, która pomysł jego wywołała. Nikt zdaje się nie przeczy, że ubodzy rzemieślnicy powinni nareszcie doczekać się jakiejś pomocy, że zwłóczyć z tém nie należy. Może bazar nie jest idealném rozstrzygnięciem kwestyi, może nie załatwi sprawy całkowicie skutecznie, ale tymczasem jest jedynym w téj sferze projektem. Na tym padole niemocy i ułomności rzadko kiedy napotkać można doskonałość, jeszcze rzadziéj wyskakuje ona z głowy ludzkiéj niby Minerwa. Instytucye, przy dbałości o to, przystosowują się do potrzeb, rozwijają, przeobrażają, doskonalą. Jeżeli wynalazczość nic lepszego stworzyć nad bazar nie może, a istnieje jakiekolwiek prawdopodobieństwo korzyści zeń, w dodatku sporo już zrobiono i pieniędzy sporo zebrano, nie należy—jak nam się zdaje, zniechęcać do bazaru siebie i innych, lecz rzecz do skutku doprowadzić, dokładając wszelkich starań, aby coś z niego wydobyć, aby sprawa, o którą chodzi, choć o pół kroku naprzód się posunęła.

Lus.

Z POWODU ARTYKUŁU „BŁĘDNE KOŁO“.

A dajże Boże zdrowie panu autorowi artykułu „Błędne koło“, za to, że dotknął sprawy, która już nie jednemu dużo krwi napsuła! Wszak to nie ladajaka rzecz, ciągłe niepowodzenie poważniejszych czasopism naszych. Rozchodzą się one—ale gdzie tam rozchodzą się!... ledwie się rozłażą żółwim krokiem po świecie. Jusciż musi być tego jakaś przyczyna, boć bez przyczyny skutków nie ma, wiadomo dziś każdemu. No, ale jaka to przyczyna?

Pan K. wylicza kilka, jednak w konkluzyi mamy „błędne koło“.

Uchowaj Boże, abym mniemał, iż zaradzę temu, co kompetentnych wprawia w kłopot, ale ponieważ p. K. postawił sprawę (i słusznie) na gruncie nieporozumienia, czy kompromisu, między redakcyą a publicznością, to i ja, choć nie piśmienny, chcę powiedziéć nie pisarz, ani z powołania, ani z rzemiosła, ale członek téj publiczności, mogę wyrazić swe zdanie. A może i panom Wydawcom i panom Autorom przyda się wiadomość o tém, co myśli i czego pragnie ta masa, na którą, kto wié, czy i nie wyrzekacie w duchu.

Tylko wybaczcie, proszę, miłościwi panowie a bracia, staremu, jeśli co nie tak powié, jak wypada. Jam nie uczony, nie żaden literat. Kilka listów do roku, regestr z wydatków ze szczupłéj emerytury — ot i cała moja pisanina. Toć nie jestem biegły w szermierce na pióra, a przytém słów moich w bawełnę obwijać nie lubię: prawda przedewszystkiém, czy się ona komu podoba, czy nie podoba. Owe dyplomatyczne wykręty, kruczki, figielki, dyabła warte. Jeśli sprawa, o któréj mowa, zawiéra się w błędném kole, toć je rozerwijmy! Wyrąbmy się zeń bodaj krzyżową sztuką. Wszak Aleksander Macedończyk rozciął mieczem węzeł, którego nie mógł rozplątać palcami.

Złemu koniecznie potrzeba zaradzić, a wstępem do tego niech będzie szczere, bez ogródek wypowiedzenie swego przekonania.

Nie „cena“, nie „długie rozprawy“, nie „zajmowanie się zbyteczne sprawami obcemi“, nie „polityka“, nie to, „że nasza ciekawość mniejsza“ od zagranicznéj, nie to nawet, że „trzeba przygotować w szkole“ do poważnéj l e k t u r y, są przyczyną niefortunnego losu poważniejszych czasopism naszych.

Najpierwéj cena nie jest wcale wysoka i nie słyszałem, by kto się na nią uskarżał. Za dobrą książkę téj objętości co „Ateneum“,

albo „Biblioteka Warszawskka“ dać asygnatkę (choć tych asygnatek niezbyt wiele) mało kto pożałuje. „Układ artykułów i kolejny ich porządek“ nie da się na seryo wziąć w rachubę. Wszystko to jedno czy się zacznie od polityki, a skończy na sztuce, czy *vice-versa*. Nie da się także utrzymać zarzut (jeśli się komu zrobić go podoba), że czasopisma zanadto zajmują się „sprawami obcemi“.

Trudno się zasklepić w sobie, jak jakiś bonza buddyjski, i medytować założywszy ręce. Owszem, za granicą dzieje się wiele rzeczy, o których wiedzieć nie zaszkodzi, to dla nauki, to dla przestrogi; aby skorzystać z dobrego a uniknąć złego.

Francuzom dało się we znaki, że się byli w sobie zasklepili, jak w skorupie żółwie; toż rozglądają się dziś ciekawie na wszystkie strony, a skoro posłyszą, że się gdzieś coś dobrego czy mądrego stało, czego u nich nie ma, wnet to sobie przyswajają. Myśmy daleko nie w jeduém i za Francyą i za Anglią i za Niemcami — toć nie starać się dowiedzieć, co się u nich dzieje, nie próbować nauczyć się czegoś od tych, co od nas więcéj mają rozumu, byłoby grzechem nie do darowania.

Czy autorowie pozwalają, albo nie pozwalają obcinać swoich artykułów, tego nie wiem, nie należąc ani do piszących, ani do redagujących. Wiem tylko, że jednemu z moich znajomych obcięto parę ustępów a nawet parę niewinnych frazesów, lecz on nie protestował wcale, bo, powiadał: „czy to moje słowa są słowami Ewangelii, abym w nich ani joty zmienić nie pozwolił“.

Nie każdy zapewne zachowa takie umiarkowanie, jak mój kolega, byłoby zatém pożądane porozumienie się w téj mierze, między stronami interesowanemi. Jeśli pismo ma swoje zasady i cele, to i piszący ma swoje. Nie dla zarobku tylko ima się człek pióra. Nikt nie powinien narzucać swego zdania, ale pewne ustępstwa dałyby się zrobić bez ujmy: czemuż nie spróbować polubownéj ugody? Mniemam, żeby się dało przeprowadzić bez trudności.

Czy nasza ciekawość mniejsza od zagranicznéj, o tém, Bogiem a prawdą — zawyrokować trudno. Wieleby się dało powiedzieć *pro* i *contra*. Że szkoła powinna przygotować do poważnego czytania — zgoda. Szkoła ma wiele do zrobienia, a dom jeszcze więcéj. Lecz nie zwalajmy winy ani na szkołę, ani na małą ciekawość, ani na to, ani na owo, kiedy szkopuł, o który się rozbijają starania wystawców i dobra wola publiczności uderza w oczy.

Tym szkopułem to niedostatek „dobrych spółpracowników“, a wskutek tego braku artykuły często nudne, ach, jakie nudne!...

Nie chcę uchybić nikomu; nie mówię bynajmniéj, że panowie spółpracownicy nie znają przedmiotu, który traktują, twierdzę tylko,

że w ten sposób traktowane, nigdy publiczności nie przypadną do smaku, nigdy wydawcom abonentów nie przysporzą. „Wszystkie rodzaje są dobre, prócz nudnego“.

Bo i jaki, właściwie, jest cel poważnego czasopisma?... Jusciż nie inny, jak ten, żeby popularyzować poważne kwestye i światło szerzyć tam, gdzie go brakuje.

Jakże to zrobić?

Dostępném i zajmującém przedstawieniem rzeczy. Wyjąwszy czasopisma dla specyalistów (a i to jeszcze z wielkiém zastrzeżeniem, bo jeśli np. lekarskie obchodzą li samych lekarzy, to przyrodniczym naukom poświęcone, mogą obchodzić i przyrodoznawcę i profana), to wszystkie inne powinny koniecznie mieć na widoku to co ma na widoku każdy dobry pedagog: jasny, treściwy, zajmujący wykład.

Tymczasem pan A, pan B, pan C, pani D, nic o tém wiedzieć nie chcą. Jak sfabrykują artykuł, to uczeńszy, cięższy, niestrawniejszy od niejednego uczonego, ciężkiego, niestrawnego dzieła niemieckiego; jak sfabrykują frazes, toby się go nie powstydził najsubtelniejszy metafizyk z nad Renu, lub Sprei, takie to długie, zawiłe, niesmaczne. Trzeba to odczytać raz, drugi i trzeci, aby zgadnąć o co autorowi idzie. I na co to? Czy taki styl zagmatwany dowodzi głębokiéj nauki lub nadaje powagę?... Bynajmniéj. Czytającemu się zdaje, że pan A, B, C, chce się popisać erudycyą, któréj nie posiada (a która wybornie się godzi z jasnością) i zaimponować prostaczkom, albo — że pan A, B, C, pisać nie umié.

Mógłbym przytoczyć artykuły i nazwiska, ale *nomina sunt odiosa.*

Jest jeszcze drugi rodzaj artykułów, równie pretensyonalny, ale, bodaj czy nie niesmaczniejszy od pierwszego. Ten mianowicie w którym piszący sadzi się na szumnobrzmiące wyrazy, na górnolotne frazesy, na metafory, parabole — kat wié nie co!... I po co te figielki? po co te błyskotki, ten szych?... Chyba na to, żeby rzucić piaskiem w oczy i zakryć ubóstwo treści. Za temi fałszywemi stylowemi ozdobami trudno dopatrzéć się myśli.

Dodać i to potrzeba, że nieraz język haniebny np. „teatr żydowski zawsze robi kasę“. Co to znaczy?... Albo wyrazy: „skonsygnowano“, „ankieta“, „korupcya“, „augmentacya“ i t. d. i t. d. O Chryste Panie! Czyż nie mamy swojskich wybornie je zastępujących? Zawszeż mamy się stroić w cudze pióra?

Owo zapożyczanie się u obcych dobre było wtedy, gdy łacina pospołu z mową naszą, jeszcze nie zupełnie wyrobioną, w powszechném zostawała użyciu, ale dziś, gdy już wyrobiona tak, że najsubtelniejsze myśli, najdelikatniejsze uczucia, najgłębsze prawdy, najśmielsze pomysły wyrazić zdolna, to przyswajanie imion, czasowników, przymio-

tników, które posiadamy, jest grubą nieświadomością (ignorancyą, powiedziałby taki amator językowych pożyczek), albo lekceważeniem własnéj mowy, własnych braci, lub czémś gorszém jeszcze.

Przeciw temu kto żyw protestować powinien [1]).

Nigdzie takie wybryki językowe, jak nasze, nie są tolerowane. Nigdzie, bodajbym się mylił, mowa tak się nie psuje jak u nas. Ten zarywa z francuskiego, ów z niemieckiego, inny ze wschodniego jakiegoś narzecza. Istna wieża Babel. Nieznający francusczyzny i niemczyzny musi co strona zaglądać do słownika. I czytajże chętnie taki artykuł!...

A zdarza się, często zdarza, że po całodziennéj pracy na kawałek chleba, ciężkiéj, bezmyślnéj, nużącéj, radby człowiek przeczytać coś poważnego a nie nudnego, coś coby zajęło, nauczyło, pokrzepiło... Powieści się nie chce, nie każdego obchodzi, czy Numa wyszła za Pompiliusza, na kilkotomowe dzieło nie ma czasu ten, kto cały dzień czy w biurze, czy przy warsztacie, czy na polu przebyć musi, czasopismo poważne nadaje się najlepiéj w takich warunkach. Bierze je więc do ręki taki wyrobnik, czy to on rzemieślnik, czy urzędnik, czy właściciel ziemski — w nadziei, że bracia pisząca, świadoma umysłowego ruchu, da mu onego odbicie w formie mniejszéj, lecz niemniéj wyraźnéj. Podobnie drzeworytnik odtwarza obraz wielkich rozmiarów na małym arkuszu papiéru. Tymczasem w artykule, częstokroć, rzecz się ma inaczéj; czytający wpada albo w topielisko strasznie uczonych, albo pustobrzmiących frazesów. Cóż dziwnego, że zniecierpliwiony i zniechęcony ciska książkę, a bierze fajkę?... Przy fajce przynajmniéj podumać można, a przy ulewie czy frazeologicznéj czy „sawanckiéj“, ani podumać, ani się czegobądź nauczyć można. A szkoda!... Obustronna strata i krzywda.

Wiem ci ja, że temi słowy jedni się oburzą a drudzy powiedzą: „et, co tam zważać na starego szeregowca! Czy on się zna na tém?... Gdérze bo stary“. A ja jeszcze i to powiem:

Jeśli wam panowie autorowie idzie rzeczywiście o oświatę, o dobro braci, to nie obrazicie się na mnie, nie będziecie lekceważyli słów moich; przeciwnie, postaracie się tak przemawiać, aby ta brać nieoświecona, często łaknąca duchowéj strawy, dostała od was, uczeńszych i wykształceńszych, pokarm taki, jakiego potrzebuje: nie wykwintny,

---

[1]) Od téj reguły wyjmuję naturalnie wyrazy długoletniém użyciem rozpowszechnione i wszystkim znane, a które sięgają może téj epoki, gdy łacina réj wodziła—niemniéj wyrazy techniczne jakiéjś umiejętności właściwe, a przyjęte przez wiele, a może i wszystkie języki europejskie.

nie pieprzny, lecz posilny, zdrowy, przygotowany tak, aby jak najwięcéj organizmów spożyć i przyswoić go sobie bez trudności mogło.

Wtedy poważne czasopisma, i bez prospektów a reklamy, będą się rozchodziły, bo społeczeństwo nasze niemniéj ciekawe od zagranicznego, ale czasopisma zagraniczne ciekawsze od naszych.

Zechciéj Szanowny Panie Redaktorze, umieścić moją odezwę w swojém czasopiśmie, choćby się ona z przekonaniem waszém nie zgadzała, bo mniemam, że w sprawie, raz w druku poruszonéj, każdy, kogo ona bardzo obchodzi, ma prawo głos zabrać i zdanie swoje wypowiedzieć.

Szeregowiec.

Kwiecień, 1890.—Jouvisy.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.*—Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено ценвурою. Варшава, 19 Іюня 1890 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w m. maju i czerwcu 1890 r.

1. **Ogrody** czyli opis prowadzenia sadu, ogródka owocowego, ozdobnego, ogrodu warzywnego, inspektów, oraz wskazówki użytkowania owoców. Przez *E. Radło....* członka towarzystwa ogrodniczego Helweckiego związku (z licznemi drzewor. w tekscie). Warszawa, skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa, 1890, 8-o, str. XI, 241 i IV.
2. **Wiadomość bibliograficzna** o badaniach historyczno-matematycznych w Polsce. Przez *S. Dicksteina.* Warszawa, 1890, 8-o, str. 21.
3. **Przegląd Europejski.** 1889. Zeszyt I. *Leon Winiarski.* Stosunki społeczne w Anglii. Paryż, 8-o, str. 74.
4. **Iwonicz** w r. 1889 opisał *d-r Klemens Dębicki.* Lwów, 1890, 8-o, str. 36.
5. **Uprawa koniczyny** czerwonéj. Napisał *Jan Biedroń.* (10 centowa „Czytelnia Rolnicza". Rok I. Książeczka 3). Cieszyn, 1890, 8-o, str. 24.
6. **Ueber die Bewegung von Flüssigkeiten,** Wasser und Petroleum, in weiten Röhren. Von *H. Merczyng.* Leipzig, 1890, 8-o, str. 8.
7. *Wincenty Rapacki.* **Hanza.** Powieść z XV-go wieku. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1890, 8-o, str. 236.
8. **Busko.** Wody siarczano-słono-wapienne, jod i sól glauberską zawierające, opisał *d-r Julian Majkowski.* Warszawa, skład gł. w księg. Wendego i S-ki, 1890, 8-o, 152 i III.
9. **Sprawozdanie komisyi** do badania historyi sztuki. Tom IV, zeszyt III. (Artykuły *M. Sokołowskiego*, *Leonarda Lepszego*, *Wł. Łuszczkiewicza* i *Stan. Tomkowicza*, z 4 tabl. litogr. i 20 rysun. w tekscie). Kraków, 1889, 4-o, str. 87—137 i LXXV.
10. **Pamiętnik Akademii umiejętności** w Krakowie. Wydziały: filologiczny i historyczno-filozoficzny. Tom VII. Kraków, 1889, 4-o, str. 261.
11. **Prawa, przywileje i statuta** miasta Krakowa (1507—1795) zebrał i wydał *d-r Franciszek Piekosiński.* Tom II, zeszyt 1. Kraków, 1890, 4-o, str. LII i 597.
12. **Pisarze dziejów polskich,** tom XIII. Kraków, 1889, 4-o, str. 465, tom XIV, str. 366.
13. **Rozprawy** i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademii umiejętności, Tom XXIV, 8-o, str. 365 i LXV.
14. **Archiwum do dziejów** literatury i oświaty w Polsce, tom VI. Kraków, 1890, 8-o, str. 421.



Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

